

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/218

1965



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

P. HOSTOWIEC : **ABRAM TERC**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **KAFKA W ROSJI**

J. MACKIEWICZ : **WŁADYSŁAW STUDNICKI**

INDEKS AUTORÓW

I TEMATÓW « KULTURY » ZA R. 1965

SPIS RZECZY

Paweł Hostowiec:	<i>Abram Terc</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Kafka w Rosji</i>	8
Marek Hłasko:	<i>Piękni, dwudziestoletni (2)</i>	14

WIERSZY

Ks. Bonifacy Miązek:	<i>Spacer po cmentarzu</i>	32
» »	<i>Rysunek brzozy</i>	33
» »	<i>Moje mieszkanie</i>	33
» »	<i>Eschatologia</i>	34
» »	<i>List do Hebrajczyków</i>	35
» »	<i>Jesień</i>	35
Wacław Iwaniuk:	<i>Obrazy wnętrza</i>	36

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Rosja między Europą a Azją</i>	41
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	48

SPRAWY I TROSKI

Z. S. Siemaszko:	<i>I beg to differ</i>	58
------------------	------------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Józef Mackiewicz:	<i>Władysław Studnicki</i>	67
-------------------	----------------------------------	----

KRONIKA KULTURALNA

Benedykt Heydenkorn:	<i>Zofia Bohdanowiczowa</i>	80
Adam Czerniawski:	<i>Uwagi o krytyce literackiej</i>	83
Maria Danilewiczowa:	<i>Toast niespełniony (2)</i>	85

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Michał Chmielowiec:	<i>Nie ma zbawienia poza prawdą</i>	96
Michał Chmielowiec:	<i>Bez iskry bożej</i>	107

KSIĄŻKI

W. A. Zbyszewski:	<i>„Europa in flagranti” — St. Mackiewicz</i>	110
Tadeusz Nowakowski:	<i>„Drum-majorette” Alicja</i>	123
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	138



T. Andrzejewski, E. K. Bernaut, T. Z. Gasiński, F. Goldschlag, Zb. Grabowski, H. Z. Komar, J. Konarzewski, M. Kukiel, J.O. Sokołowski, J. Słowacki, R. Toren, J. Ulatowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	139
---	--------------------------------	-----



—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1965</i>	150
---	--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1965

INSTYTUT



LITERACKI

**REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
I NOWOROCZNE**

WPŁATY NA FUNDUSZ “KULTURY”

Bezimiennie z W. Brytanii	136,50 F
Janusz Laskowski, Paryż — zamiast życzeń świątecznych po- trzebnych i niepotrzebnych — po raz szósty	25,00 „
Edward Baumiller, Leonard, Mich. (USA) po raz trzeci	122,50 „

DZIĘKUJEMY



Do wykazu wpłat z ub. miesiąca wkradł się przykry błąd korektorski, mianowicie zniekształcone zostało nazwisko ofiarodawców z Sunshine, Vic. w Australii, które winno brzmieć : pp. *K. i B. Singler* (a nie Sigler) za co przepraszamy.

REDAKCJA

Abram Terc

Od samego początku Abram Terc, o którym skąd inąd nie wiedziałem, wydawał mi się pisarzem znacznie większego formatu niż na to wskazywały jego pierwsze opowiadania drukowane w *Kulturze*. Talent jego wzrastał w każdym nowym utworze aż do *Lubimowa*, gdzie Terc ukazuje się jako pisarz wysokiej klasy, należący do wielkiej literatury.

Przede wszystkim zwróciło moją uwagę, że Terc był pierwszym pisarzem rosyjskim, który znalazł drogę do polskiego wydawnictwa na emigracji i okazał mu zaufanie. Pisarze XIX wieku, walcząc również z cenzurą, szukali raczej innych dróg. Terc pierwszy przekroczył imponderabilia dzielące Rosjan od Polaków.

Zaufanie jego do polskiego wydawnictwa ma pewne tło historyczne. Podczas ostatniej wojny deportowano na Syberię półtora miliona Polaków, z których połowa tylko wróciła do kraju. W więzieniach i łagrach Polacy znaleźli się razem z inteligencją rosyjską i nawet z dygnitarzami sowieckimi. Jeden z moich przyjaciół emigrantów opowiadał mi niedawno, jak po długim więzieniu znalazł się w celi skazanych na śmierć, gdzie spędził 39 dni. Towarzyszami jego byli tam m. in. wysoki sędziownik sowiecki i prezes Akademii Nauk. Opowiadanie jego różniło się znacznie od *Ciemności w południe*. W powieści Koestlera widzimy tylko koszmarny mechanizm terroru, w relacji mego przyjaciela ukazują się też żywi ludzie, wymieniający ostatnie uściski dłoni przed zejściem do fatalnego podziemia.

Kontaktów takich nie zapomina się; nie ma dla nich przedawnienia. Jeżeli kiedykolwiek nawiążą się jakieś głębsze przyjaźnie między inteligencją polską i rosyjską — spodziewać się ich można raczej po tych rozmowach przed złowróżbnym pro-

giem niż po oficjalnej działalności skazanego na nieuleczalną anemię T-wa przyjaźni polsko-radzieckiej.

Jak daleko sięgały ówczesne kontakty? Od niemieckiego znajomego, który spędził 11 lat w łagrach i znał tam wielu Polaków, słyszałem, że w obozie pod Pot'mą pokazywano mu odpis artykułu z paryskiej *Kultury*.

Nie wiem skąd Abram Terc dowiedział się o polskim wydawnictwie w Paryżu, którego wielu współpracowników przeszło przez więzienia i łagry sowieckie w okresie tzw. kultu jednostki. Mógł o nim słyszeć jak inni. W pierwszym okresie destalinizacji miał zapewne prawo przypuszczać, że odległość między sowiecką a polską inteligencją zmniejszyła się dostatecznie, aby mógł zrobić ostatni krok i powierzyć paryskiemu wydawnictwu rękopisy, których druk w Rosji wydawał mu się na razie niemożliwy.

Abram Terc wyciągał trochę śmieiej od innych wnioski z perspektyw, jakie zdawała się otwierać sławna mowa Chruszczowa na XX Zjeździe partii. Zapowiadająca się wówczas odwilż każe wciąż czekać na siebie. Tercowi przybyły nowe motywy drukowania się za granicą. W 1963 pisze o nich w zakończeniu swej powieści *Lubimow*. Słowa swe wkłada w usta bibliotekarza, zwracającego się do ducha profesora, który kiedyś namówił go do pisania kroniki miasteczka:

„Mówiąc między nami, zełgałem ci wczoraj na temat naszej dobrej sytuacji. Sytuacja taka, że gorszej nie znajdziesz. Śledztwo trwa nadal. Lada chwila zaczną się w mieście nowe aresztowania. Siedzę i trzęsę się, że zrobią rewizję i znajdą pod deską podłogi ten rękopis, a wtedy po jego przeczytaniu wyłapią nas co do jednego. Słuchaj-no, profesorze. Przecież jesteś współautorem. Schowaj do czasu gdzieś u siebie to nasze opowiadanko. Niech się odleży, póki co, w niedostępnej kasie ogniotrwałej. Masz chyba jakiś zaciszny kącik. Skrytkę jakąś. Przytul do czasu. Czyż to nie twoja własność?”

W słowach tych słyszymy przyjmujące akcenty. Tak matka mogłaby prosić o ocalenie dziecka. Skąd ten rozpaczliwy ton? Domyśleć się zeń można, że autor jest nie tylko bardzo przywiązany do pisanego ukradkiem, wśród niezliczonych trudności, rękopisu, ale, bardziej wykształcony od większości kolegów, jest świadomy wartości swego utworu.

Niektórzy brali opowiadania Terca za utwory ukrywającego się pod pseudonimem emigranta. Przypuszczenie takie może budzić przynależność opowiadań, a zwłaszcza powieści *Lubimow*, do rodzaju rzadko uprawianego w Rosji. Rodzaj ten — powieść fantastyczna, satyryczno-filozoficzna — stworzony przez Lukiana z Samosaty, ma na Zachodzie imponującą tradycję. Złożyli się na nią m. in. Rabelais, Swift, Voltaire, Samuel Butler (*Erewhon*)

i Anatol France (*Wyspa pingwinów*). W Rosji jedynym sławnym przykładem powieści tego rodzaju była *Historia jednego miasta* Sałtykowa-Szczedrina. U dawnych autorów, bliższych Lukiana, powieści fantastyczne miały formę relacji z podróży, u nowszych — kroniki miasta. Terc, bliski Sałtykowa, wybrał tę drugą formułę.

Rzadkość tego typu powieści w Rosji zdaje się mieć dwie przyczyny. Pierwszą jest późniejsze pojawienie się w Rosji literatury i brak w niej okresu renesansowego i barokowego, gdy naśladowano wzory antyczne. Druga, bardziej subtelna, zasługuje również na uwagę. Rzecz w tym, że do połowy XVIII wieku żadna powieść nie mogła się ukazać bez pomocy protektora, ponoszącego koszty druku. Liczba czytelników nie miała większego znaczenia. Sytuacja taka sprzyjała powieści fantastycznej, zwracającej się do nielicznej publiczności, znającej się na żartach. Powieści późniejszego okresu, których druk zależał od poparcia szerszej publiczności, musiały się liczyć z jej wymaganiami. De Foë był pierwszym pisarzem, który w braku mecenasa musiał zabiegać o popularność, i jemu przypadło w udziale zrobienie odkrycia, że dla zdobycia czytelników powieść powinna ich wzruszać i dawać złudzenie rzeczywistości. Tak wzrost liczby czytelników i rozszerzanie się rynku wydawniczego przyniosły z sobą tryumf powieści realistycznej. Rozwijając się w tym czasie i nie znajdując na miejscu wzorów barokowych, powieść rosyjska przybrała od razu charakter realistyczny.

Powieść fantastyczna jest w literaturze sowieckiej zjawiskiem nowym. Można przypuszczać, że pojawieniu się jej sprzyjały szczególne warunki literatury nielegalnej, zwracającej się do niewielkiej publiczności wtajemniczonych. W podobnych warunkach pisali Lukianos, Rabelais, Swift i Voltaire. Mając przed sobą niewielką grupę czytelników wtajemniczonych, Terc znalazł od razu formę literacką odpowiadającą tej sytuacji.

Nie są to wszakże jedyne powiązania jego formy z czasem i okolicznościami, w jakich wypadło mu pisać. Stworzony przez Lukiana typ powieści fantastycznej pozwala dowolnie przekształcać znaną z doświadczenia rzeczywistość, pozbawiać ludzi i rzeczy ich zwykłego ciężaru, ukazywać w innym rozmiarze, wiązać wypadki w nieoczekiwane zespoły. Lukian posługiwał się w tym celu efektem oddalania, z którego sprawy pasjonujące Greków wydawały się błahe, i sam nawet los, dla którego szacunek Hegel uważał za podwalinę wszelkiej filozofii moralnej, nabierał figlarności przypadku. Zresztą, tak u Lukiana jak u jego następców, groteska była pełna ukłonów w stronę myśli krytycznej, wolności, porządku i tolerancji.

Wnioski ogólne, jakie nastrocza ten typ powieści, można by

streścić tak: Jakiegokolwiek byłyby prawa natury i historii, w praktycznym zetknięciu się z nimi otwierają się pewne luzy, przez które można, chociażby na chwilę i tylko w wyobraźni, uchylić się od rygorów losu. Byłoby to coś w rodzaju malutkiej ewangelii wolności.

Zważywszy potęgę wyobraźni, jaką rozporządzają autorzy powieści fantastycznych, byłoby to niewiele. W pewnych okolicznościach jednak, w braku innego pocieszenia, nawet skromne przypuszczenie o istnieniu luzów może, jak rzadki kamień, stać się czymś cennym i poszukiwanym. Lukianos był urzędnikiem rzymskim za cesarza Kommodiana, jak Sałtykow za Aleksandra II i przypuszczalnie Terc za Stalina. Były to widocznie czasy zamówienia społecznego na powieść fantastyczną.

W Lubimowie znajdujemy na ten temat uderzającą stronicę. Powieść ta jest kroniką małego miasteczka, podobnego być może do Wiatki z czasów młodości Sałtykowa. Pewien młody mechanik, przy pomocy czarnej magii, sugestii i hipnotyzmu, dochodzi w nim do władzy dyktatorialnej, ogłasza niepodległość miasteczka i próbuje nim rządzić. Komitet okręgowy postanawia szybko rozprawić się z „rewizjonistami” i wysyła przeciw nim eskadrę bombowców. Oto, co pisze o tym kronikarz Lubimowa:

„Ale gdzie sprawiedliwość? U nich — samoloty, dzienniki, czasopisma, radio, domy dla wariatów, telefony, a u nas — nic, rozumiecie, nic o co by ręce zaczepić. Tylko naga wyobraźnia. Ale czy nie stać nas, przyduszonych do ziemi i oczekujących godziny śmierci, czyż nie stać nas, aby rzucić się na spotkanie samolotu i rąbnąć go w warczącą mordę pierwszą, jaka przyjdzie na myśl, potworną, krwawiącą hiperbolą?!”

Metafory i hiperbole są słabą bronią w walce z samolotami. Nikt też nią nie zamierza wojować. Walka taka nie wyjdzie poza granice literatury dla wtajemniczonych. Pozostanie jako wspomnienie, jako jeden z iluzorycznych luzów, niezbędnych do przetrwania, do utrzymania się przy życiu.

Abram Terc odświeżył i przyswoił na użytek współobywateli jeden z najślawniejszych rodzajów literackich. Napisał powieść nową, świadczącą o wielkim talencie i sile wyobraźni oraz, rzecz ważna, niosącą czytelnikom nie tylko rozrywkę, lecz także pocieszenie.

Po rozkonspirowaniu i aresztowaniu Abrama Terca, który nazywa się Andriej Siniawskij, władze sowieckie stanęły wobec wyboru: albo przekazać go sądowi, albo, w uznaniu jego wybitnego talentu, przyznać mu odpowiednią nagrodę literacką. Jeżeli przyjdzie do rozprawy, sądzony będzie nie tylko Andriej Siniawskij, ale także, chociaż z innego paragrafu, jego sędziowie.

Jakkolwiek potoczą się jego losy, czytelnicy na pewno nie zapomną Abrama Terca. Na Zachodzie wyrok sądowy, zwłaszcza skazujący, jest manną dla wydawców, najlepszą i najbardziej poszukiwaną reklamą. *Lubimow* ma więc szanse awansowania na *best seller*'a.

Paweł HOSTOWIEC

Kafka w Rosji

Ingres Kafki do Rosji ma swoją historię. Przez kilka dziesięcioleci wizjoner z Pragi należał, i teoretycznie należy po dziś dzień, do Przeklętej Trójcy: Proust-Joyce-Kafka. Piętnowano tę Trójkę przy każdej sposobności, aż stała się w końcu klasyczną sztancą negatywną, czymś w rodzaju „bloku Trockij-Zinowiew-Bucharin” na odcinku literackim. Nic nie przeszkadzało sowieckim Inkwizytorom, że nie czytali przeznaczonych na spalenie autorów. Ich współwyznawcy na Zachodzie, którzy Kafkę czytali, też domagali się dlań płonących stosów. Hostowiec przypomina: „Tygodnik komunistyczny *L’Action*, którego redaktorem był Pierre Hervé, ogłaszał w roku 1946 wyniki ankiety przeprowadzonej wśród czytelników na temat: czy należy spalić dzieła Kafki? Ale dlaczego je palić? Redakcja motywowała to mniej więcej w ten sposób, że ponury pesymizm Kafki, będący produktem moralnego rozkładu burżuazji, rzuca cień na świetlane perspektywy, jakie roztoczył przed ludzkością geniusz Stalina. Na pytanie postawione w ten sposób, ze wszystkich departamentów Francji odezwały się ryki barbarzyńców: „Palić, palić!”! Dopiero na samym końcu jakiś złośliwiec oświadczył, że uważa ankietę za bezprzedmiotową, bo dzieła Kafki spalili już hitlerowcy: pozostało jedynie wydanie zürichskie, wątpić zaś można by udało się namówić Szwajcarów do spalenia go. Na tym ankietę zakończono”.

Ankietę uznano za bezprzedmiotową i zakończono we Francji, ale w Rosji i w krajach demokracji ludowej nowe wciąż ręce podsycaly symboliczny ogień niszczący, jakby chodziło co najmniej o święty znicz rewolucji. Kafka prześcignął nawet swoich dwóch towarzyszy proskrypcji, zdawał się zagrażać samym podstawom „socjalizmu”, widziano w nim kwintesencję „trucizny”. W jego rodzinnej Pradze poszukiwanie przez podróżnych śladów i pamiątek po autorze *Zamku* uchodziło za „akt prowokacji”. „Do roku 1962 — przyzna po latach germanista czeski i ex-oskarżony w procesie Slanskiego, Edward Goldstücker — było w naszym kraju nielada sztuką, wymagającą uporu i wytrwałości, dotrzeć do większości książek Kafki i o Kafce”. Gdyby nie obawa że

zostaną posądzeni o zabobonność, nowi władcy Hradczyna kazaliby zrównać z ziemią grób pisarza na cmentarzu żydowskim w Pradze. Odwiedzali zresztą ten grób tylko nieliczni przybysze z Zachodu. Może po nocach czarny duch suchotnika o żagwiących oczach szybował, podobny do samotnego kruka, nad miastem golemów.

Pierwszy sygnał do stopniowego gaszenia symbolicznych stosów dano w Polsce, która posiadała sprzed wojny znakomity przekład *Procesu* pióra Brunona Schulza. Nie bez wymowy jest tu wybór tekstu i dokładna data polskiego ingresu Kafki: *Kolonia karna*, w tłumaczeniu Witolda Wirpszy, ukazała się w *Twórczości* z października 1956 roku. Dla wielu czytelników — zwłaszcza młodszych, poderwanych już do rewolty we własnej kolonii karnej — był to tekst o „profetycznym brzmieniu”.

Z Polski niedopalony Lucyfer przeniknął, niosąc swe mroczne światło, na Węgry, do rodzinnej Czechosłowacji i do Jugosławii; ale jedynie jako przedmiot dyskusji w kołach heretyków partyjnych i ich innowierczych kusicieli. Za punkt naprawdę zwrotny należy uznać lipiec 1962 roku. Na Światowym Kongresie Pokoju w Moskwie Jean-Paul Sartre upomniał się o otwarcie o Kafkę. Zrobił to w sposób dyplomatyczny, usiłując przekonać gospodarzy że autor *Ameryki* tępiony na Wschodzie przeistacza się automatycznie w „oręż zimnej wojny” na Zachodzie. Siew z tak dostojnej i kokietowanej ręki musiał wydać szybki plon. Pod koniec tegoż roku cenzura sowiecka pozwoliła Wiktorowi Niekrasowowi poskarżyć się na nieznamość Kafki w notatkach z podróży do Włoch: do takiego „zawstydzającego wyznania” doszło w rozmowie pisarza rosyjskiego z Moravią. W tym samym czasie ruszył w Pradze do ataku wspomniany wyżej Goldstücker. Wezwał „marksistów oświeconych” do odebrania Kafki Brodowi, który wziął go bezprawnie i bezkarnie w pacht jako myśliciela rzekomo religijnego. „Zanim się to stanie, winniśmy spełnić jeden ważny warunek: jest naszym obowiązkiem dopilnować, by w najbardziej nawet ponurej wyobraźni nie powstała analogia między naszymi urzędami i kafkowską wizją szykan i okrucieństw biurokratycznych”. Co zabrzmiąło, wbrew intencjom autora, jak opowiadanko Kafki do drugiej potęgi.

W maju 1963 roku Goldstücker zorganizował w Liblicach konferencję, która postawiła sobie za cel dopasować Kafkę do społeczeństwa socjalistycznego. Ernst Fischer, komunistyczny pisarz i krytyk z Wiednia, zadał gospodarzom dramatyczne pytanie: „Dacie w końcu Kafce wizję wjazdową?” Roger Garaudy, niepomny widać że w jego partii macierzystej zastanawiano się niegdyś czy należy spalić dzieła Kafki, skierował po mistrzowsku proces autora *Procesu* na nowe tory: dla uniknięcia z góry niebezpiecznych analogii, które niepokoiły „marksistów oświeconych”, zaproponował przypisać odtwarzany przez Kafkę stan „alienacji” raczej współczesnemu społeczeństwu przemysłowemu, niż jakimkolwiek określonymu systemowi politycznemu.

Kafka wypłynął z kolei w Leningradzie w lipcu 1963 roku, pod-

czas międzynarodowego sympozjonu na temat powieści. Fiedin powtórzył tam *ex-cathedra* oficjalną formułkę o Przeklętej Trójcy. Goście z Paryża, Nathalie Sarraute i Robbe-Grillet, nie ukrywali swej irytacji. Goście z Pragi, Jiri Hajek i Ladislaw Mnaczkowski, wystąpili energicznie w imieniu „oświeconych marksistów”. Zmobilizowano więc na gwałt Wielkiego Moderadora, czyli Erenburga, który powiedział że Kafki nie lubi ale nie przeczy że jest to pisarz znaczący.

Rosyjski ingres Kafki był przygotowany. Odbył się w styczniu 1964 roku, na łamach *Inostrannoj Literatury*. Wybrano na tę uroczystość *Metamorfozę* i *Kolonie karną*.



Priscilla Johnson, we wstępie do zbioru dokumentów *Khrushchev and the Arts. The Politics of Soviet Culture 1962-1964*, uważa ten ingres za sensacyjny: „Szczególnie zaskakuje udostępnienie czytelnikowi sowieckiemu *Kolonii karnej*, która jest przypowieścią o dyktaturze, opisem trudności jakie ma względnie łagodny władca z wyrzuceniem na śmietnik narzędzia tortur swego bezlitosnego poprzednika”. Wypada tu dodać że redaktor *Inostrannoj Literatury*, Borys Riurikow, uchodzi za jednego z najbardziej niepoprawnych biurokratów stalinowskich. Z noty Knipowicza towarzyszącej przekładowi rosyjskiemu, i z artykułu Zatonskiego w *Literaturnoj Gazecie*, można by wnosić że drogę do Rosji utorowali Kafce w ostatecznej instancji „socjalistyczni” pisarze na Zachodzie: stało się zbyt kłopotliwe zwalczać dalej ogniem i mieczem autora, którego „dobrzy towarzysze” i „przyjaciele Związku Sowieckiego” zagranicą pasowali na „realistę”, odkrywszy w jego pismach „przecucie faszyzmu”.

Wtajemniczonym to „przecucie faszyzmu” coś przypomina. Przed laty, po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, podobnego chwytu amnestyjnego użyto wobec innego banity stalinizmu, Dostojewskiego. *Biesy* ukazały się z komentarzem, wskazującym na obecne w nich nieustannie „przecucie hitleryzmu”. Okoliczności sprzyjały takiej delikatnej operacji. Nie było winą lustra, że zamiast jednego zamierzonego odbiło dwa „przecucia” bliźniacze.

Zagadnieniem istotnym jest: jak reagują na *Kolonie karną* czytelnicy sowieccy? Zgodnie z receptą oficjalnych komentatorów? Czy rozszerzając, wraz z polskimi czytelnikami *Twórczości* z października 1956 roku, „profetyczne brzmienie” przypowieści na doświadczenia o posmaku bardziej swojskim? Innymi słowy: lustro odbiło jedno „przecucie”, czy znowu dwa? Próby odpowiedzi na te pytania nie mogą naturalnie wyjść poza domysły. Ale, jak zobaczymy, domysłem nie brak tu solidnego gruntu pod nogami.



Propozycja realistycznej interpretacji Kafki nie jest wynalazkiem „oświeconych marksistów”, skoro od dawna używało się

przymiotnika „kafkowski” w odniesieniu do licznych, przeważnie ponurych, zjawisk naszych czasów. Nazywając Kafkę myślicielem religijnym, porównując go do Pascala i Kierkegaarda, Max Brod miał w zasadzie słuszność, popełniał jednak równocześnie błąd typowy dla każdego zazdrosnego egzegety, który swój „klucz” zaleca jako jedyny, definitywny i nie dopuszczający uzupełnień. Trzeba przy tym pamiętać że Brod wydał swoją biografię w roku 1937, kiedy proroczy realizm pewnych wizji Kafki nie był jeszcze dostatecznie jaskrawy. Później jego gwałtowna polemika przeciw Güntherowi Andersowi, który w Kafce widział coś w rodzaju nieświadomego antycypatora totalizmu, była już uporem posiadacza i obrońcy „prawdy nietykalnej”. Zapewne, wina w *Procesie* ma charakter *par excellence* nadprzyrodzony, ale autentyczna procedura sądowa kazała nam niebawem podobne procesy oglądać na własne oczy lub przeżywać na własnej skórze. Zapewne, *Zamek* jest powieścią o Łasce odmawianej człowiekowi u wrót Władzy Nadziemskiej, ale udoskonalona władza z tej ziemi przyzwyczaiła nas niebawem do podobnego daremnego pukania i oczekiwania. Stąd powstał i zdobył sobie popularność przymiotnik „kafkowski” na określenie analogii, których tak obawia się Goldstücker. Rzecz trafnie uchwycił Willy Haas, zauważając że Kafka miał wspaniały dar wyprowadzania realnego z realnego, startowania z czegoś konkretnego i pogrążania się myślą w czymś co wydaje się stokroć bardziej konkretne. Znaczy to że punktem wyjścia była zawsze dla Kafki rzeczywistość, ale *in statu nascendi*, niewidzialna jeszcze dla jego współczesnych, słabo widzialna nawet dla niego samego. Drażnił ją myślą i „tajemnym wzrokiem” tak głęboko, aż w powieści lub opowiadaniu pojawiały się trzy wymiary: wizji rządzącej się prawami własnej logiki („fantazje” Kafki), konfrontacji człowieka z Bogiem czy Losem („parabole religijne” Kafki), wyolbrzymionej projekcji zarodkowych tendencji realnych („szkła powiększające” Kafki). Ten trzeci wymiar rósł w miarę dojrzewania i obrastania w ciało zarodków.

Oto dlaczego Kafka jest dziś nieporównanie bardziej „realistą” niż był nim za życia i wkrótce po śmierci, a kafkowskie „przeczcucia” i „proroctwa” stały się monetą obiegową, nie bez uszczerbku zresztą dla trójwymiarowej całości jego dzieła. Wszystko zależy od tego, kto, gdzie i kiedy Kafkę czyta. Kiedy Brod czytał *Kolonję karną* w Pradze u progu pierwszej wojny światowej, była ona dla niego tylko nowoczesną transpozycją Księgi Hioba, obrazem człowieka który nie rozumie okrutnych i niesprawiedliwych wyroków Boga. Trudno oczekiwać, by do takiej interpretacji ograniczył się czytelnik polski lub sowiecki w Roku Pańskim 1956 czy 1964.

„Przeczcucie faszyzmu” nie jest więc mistyfikacją, ma nawet — jak widzieliśmy — antenata w „antycypacji totalizmu” Günthera Andersa, ale w wypadku tego opowiadania Kafki paralelizm uderza swoją niespodzianą specyficznością.

„Podróżujący naukowiec” z zagranicy zwiedza kolonję karną. Znakomitego gościa zapraszają na egzekucję żołnierza, który ma

zginąć w nieopisanych męczarniach pod ruchomą bronią przemysłowej maszyny tortur. „Osobliwy przyrząd” jest wynalazkiem poprzedniego komendanta. „Zorganizowanie całej kolonii karnej jest jego dziełem, i my (wyjaśnia oficer kierujący egzekucją), jego przyjaciele, wiedzieliśmy już w chwili jego śmierci, że organizacja kolonii jest tak skończoną całością, iż jego następcę, choćby miał w głowie tysiąc nowych pomysłów, przez wiele lat co najmniej nie będzie mógł starych urządzeń zmienić”. Stary komendant „jednoczył w sobie wszystko: był żołnierzem, sędzią, konstruktorem, chemikiem, rysownikiem”. Czy skazaniec zna wyrok? „Nie — odpowiada oficer, — byłoby zbyt ciężkie obwieścić mu wyrok skoro i tak przecież pozna go na własnym ciele”. Czy dano mu sposobność do obrony? Egzekutor tłumaczy cierpliwie: „Sprawa przedstawia się następująco. Mianowano mnie tu w kolonii karnej sędzią. Zasada, według której rozstrzygam, brzmi: *wina jest zawsze niewątpliwa*. Być może, inne sądy nie uznają tej zasady, ponieważ są wieloosobowe, a poza tym mają jeszcze wyższe sądy nad sobą. Tutaj to nie zachodzi, a przynajmniej nie zachodziło za dawnego komendanta”. Skazaniec przypatruje się maszynie tortur obojętnie, interesują go tylko jej szczegóły konstrukcyjne. Nakłuwająca ciało brońa pomyślana jest tak, aby inny za każdym razem napis z odpowiednim przykazaniem mógł być odcyfrowany przez ofiarę własnymi ranami. Oficer wzdycha do minionej epoki: „Kiedy dawny komendant żył, kolonia pełna była jego zwolenników; tłumy publiczności przyglądały się egzekucjom, wiedząc że dokonuje się sprawiedliwość”. A teraz? Teraz „podróżujący naukowiec” z zagranicy jest jedynym widzem. Co więcej — oficer podejrzewa, że znakomity gość został zaproszony na egzekucję po to by jego oburzenie wykorzystać jako pretekst do likwidacji dawnego systemu. Nowy komendant toleruje bowiem genialny wynalazek swego poprzednika raczej niechętnie. Oficer jednak ma nadzieję wywołać w gościu nie oburzenie lecz podziw, i w ten sposób ocalić niezrównaną maszynę tudzież cel któremu służy. W pewnej chwili, wyjaśnwszy mu już dokładnie działanie „osobliwego przyrządu”, błaga go otwarcie o wstawiennictwo u nowego komendanta. Gość odmawia. Wobec czego oficer każe usunąć skazańca z łoża pod bronią, rozbiera się do naga, kładzie się na jego miejscu i puszcza maszynę w ruch. „Jeśli procedura sądowa, której oficer był zwolennikiem, znajdowała się rzeczywiście w przededniu likwidacji, to oficer postąpił teraz zupełnie słusznie”. Maszyna zabija kata, ale zaraz potem sama się rozpada. Z miejsca kaźni „podróżujący naukowiec” udaje się z powrotem do głównego osiedla kolonii karnej, gdzie pokazują mu grób starego komendanta z inskrypcją na kamieniu: „Tu spoczywa dawny komendant. Jego zwolennicy, którzy obecnie nie mogą nosić żadnej nazwy, wykopali mu ten grób i położyli ten kamień. Istnieje przepowiednia, że komendant za jakiś czas zmartwychwstanie i poprowadzi swych zwolenników na ponowny podbój kolonii. Wierście i czekajcie!”.

Wiadomo sporo o reakcjach polskich czytelników na *Kolonie*

karną w październiku 1956 roku. Łatwo odgadnąć jak tę profetyczną przypowieść, uświetniającą ingres Kafki do Rosji, odczytali ex-podkomendni sowieccy Starego Komendanta. A może redaktora *Inostrannoj Literatury* wzruszył i zachęcił do druku ów napis na kamieniu grobowym?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Post-scriptum

Już po napisaniu tego szkicu nadeszła z Moskwy wiadomość o wydaniu rosyjskiego tłumaczenia *Procesu* Kafki. Nakład rozchwytno w ciągu kilku godzin.

Zapowiedzi wydawnicze

ARTHUR KOESTLER

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

wzięte z dwóch tomów autobiografii autora, obrazujące jego współpracę z partią komunistyczną, pobyt w Związku Sowieckim, historię jego rozczarowań i powody jego ostatecznego zerwania z komunizmem.

Seria „Archiwum Rewolucji”

Piękni, dwudziestoletni (2)

WROCLAW, OBORY, WYSPA RÓŻ

Igor Neverly załatwił mi trzymiesięczne stypendium Związku Literatów Polskich; ponieważ nie miałem mieszkania w Warszawie — wyjechałem do Wrocławia.

Neverly bardzo mi pomagał. W tym czasie znajdował się u szczytu powodzenia: jego „Pamiętka z Celulozy” uznana została za arcydzieło; nie było tygodnia aby nie pisało o nim; chodzono przed nim na dwóch łapach; nachodziły go dziesiątki ludzi i właściwie miał mało czasu do pracy. Neverly’emu nie uderzyła woda sodowa do głowy; był skromny; nie cierpiał pochlebców. Pamiętam, że kiedyś powiedziałem mu, iż wolę jego książkę od książki Gorkiego „Życie Matwieja Kożemiakina”, Neverly zachnął się; było mu nieprzyjemnie. Wreszcie powiedział: „Chciałbym, żeby moja książka przeżyła chociaż jeden plan pięcioletni, to wszystko”. Wiem, że powiedział prawdę.

„Celuloza” jest książką bardzo dobrą; czytałem ją wielokrotnie. Nie wiem dlaczego Neverly pisze tak mało; ostatni raz widziałem go dwanaście lat temu. Wyklął mnie wtedy; zachowywałem się niezdolnie i wreszcie stracił cierpliwość. Jeśli o mnie chodzi, to wszyscy tracili cierpliwość; ja natomiast zyskiwałem inne rzeczy. To jak w tej opowieści o dwóch Żydach którzy razem zaczęli robić interesy: jeden z nich miał pieniądze: drugi — doświadczenie; po jakimś czasie pierwszy zyskał doświadczenie, drugi — pieniądze.

Neverly mówił mi czasem o sobie; był człowiekiem z opowiadań Londona; miał dziesiątki zawodów; był przez jakiś czas sekretarzem Janusza Korczaka. Mówił mi zawsze, przy każdej rozmowie, że najniebezpieczniejsze w mojej sytuacji będzie przejście na wczesne zawodowstwo. „Te książki których pan nie

przeczytał, a które pan musi przeczytać, przeczyta pan nocami — powiedział do mnie. — I nauczy się pan wielu rzeczy potrzebnych aby pisać wcześniej, niż pan przypuszcza. Inni ludzie panu pomogą. Ale, na Boga, nie przechodź pan na zawódstwo. Niech pan to zrobi koło czterdziestki. Niech pan popatrzy na tych wszystkich młodych. Niech pan się ich zapyta ile kosztuje kilo cukru; żaden z nich panu tego nie powie. Wiedzą natomiast, że do budowy domów używa się betonu. Ale dowiedzieli się tego z innych książek. I w ogóle proszę pisać jak najmniej. Niech pan robi wszystko co chce, tylko niech pan pisze jak najmniej”.

Kiedy po roku wróciłem z Wrocławia do Warszawy, opowiedziałem mu pewien pomysł. Neverly popatrzył na mnie i powiedział: „Pan jest człowiekiem chorym”. Nie wiem, czy Neverly pamięta tę naszą rozmowę; ja ją pamiętam.

Wyjechałem więc do Wrocławia gdzie zamieszkałem u wuja. Miałem trzymiesięczne stypendium i trochę pieniędzy które dostałem ze „Sztandaru Młodych” za moje opowiadanie „Baza Sokołowska”. Był to piękny czas; byłem nareszcie sam, mogłem czytać, pisać, chodzić do teatru — ale nie wiedziałem, co mam robić najpierw. Kiedy zaczynałem pisać — zdawało mi się, że powinienem czytać, gdyż pomoże mi to w pisaniu; kiedy czytałem — zrywałem się i wybiegałem na miasto, gdyż wydawało mi się, że powinienem podglądać ludzi; rozmawiałem z ludźmi i wtedy znów wydawało mi się, że tracę czas na rozmowy a przecież powinienem pisać — Chryste Panie, myślałem, że zwariuję. Czytałem jednego dnia Misia-Czeszkę; drugiego — Balzaka; potem odrywałem się od Dostojewskiego, aby czytać słownik Lindego: nocami szukałem wuja, i znów wracałem do moich książek. Nie wiem, ile książek przeczytałem tego roku we Wrocławiu; przypuszczam, że kilkaset. I z każdym dniem wiedziałem mniej; i z każdym dniem popadałem w rozpacz, że nigdy nie przeczytam tego, co powinienem przeczytać. Wreszcie dano mi Gombrowicza do czytania i wtedy już oszalałem zupełnie.

Nieprawdą jest to, co sam Gombrowicz pisze o sobie w którymś ze swoich Dzienników, że oceniono jego pisarstwo zbyt późno — zdaje się, że to miało jakiś związek z artykułem Sandauera. Nie wiem co powiedział, czy też napisał, Sandauer; wiem natomiast, że Gombrowicz był uwielbiany przez młodych i starych. Ja sam pożyczyłem „Ferdydurke” — ale musiałem zastawić za to swój zegarek, gdyż właściciel nie miał do mnie zaufania; i słusznie. Egzemplarz „Ferdydurke” który ja czytałem w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, przeszedł już przez setki rąk; kartki były posklejane, pobrudzone. To samo z „Pamiętnikiem z okresu dojrzewania”. Tych książek nie można

było kupić; pożyczano się je na dni; czasem na pół dnia. Tego oczywiście Gombrowicz wiedzieć nie może; ale ja tam byłem i widziałem.

We Wrocławiu nie czułem się dobrze; jestem warszawiakiem i nie bardzo umiałem żyć bez Warszawy. Pracując w „Page-dzie” miałem kolegów warszawiaków i postanowiłem tam pojechać, aby przynajmniej móc z nimi pomówić w języku warszawiaków; w tym języku którego żaden polski aktor, nawet Dymsha, naśladować nie potrafił.

Odnalazłem ich; doznałem przyjęcia więcej niż zimnego. Nie mogłem zrozumieć dlaczego; potem jednak powiedziano mi — chodziło o moje opowiadanie wydrukowane w „Sztandarze Młodych”. Przestałem być już w ich pojęciu robotnikiem; natomiast stałem się piewcą dozorczy niewolników. Inni natomiast byli dla mnie przesadnie czuli i uprzejmi; ale ani ci, ani ci, nie byli już tymi ludźmi z którymi spałem, jadłem i pracowałem.

A jeszcze trzy lata temu chodziliśmy razem przez granicę, aby dorobić sobie trochę. Brało się spirytus i słoninę; z Czechosłowacji przynosiliśmy pończochy, sztuczną biżuterię. Granica była częściowo zabronowana ale wyżej, górami, można było przejść gdyż góry znaliśmy lepiej od żołnierzy WOP'u. W tym celu brało się tylko za pazuchę kilka kotów; słysząc ujadanie psa prowadzonego przez żołnierza WOP'u puszczało się kota i wtedy pies — choćby najlepiej trenowany — biegł za kotem. Inni okręcali nogi szmatami umaczanymi w ropie naftowej, ale to nie był system pewny. Jest rzeczą zabawną, że sami Czesi nigdy nie przechodzili na naszą stronę — bali się. Po pewnym czasie ktoś zasypał pomysł z kotami i wtedy zaczęto się interesować skąd nagle pojawiła się w okolicy taka ilość miłośników zwierząt. I nie można było już przejść na Czechy.

Nasi koledzy z innej Bazy wpadli na pomysł o wiele lepszy i stwarzający możliwości lepszego przerzutu towarów. Mieszkając blisko granicy podpalali jakąś chatę, a ponieważ nasza polska straż ogniowa była dość daleko — biegli pędem do żołnierza WOP'u i zawiadamiali go o pożarze; żołnierz telefonował po czeską straż pożarną. Tam już Czesi ładowali swoje pończochy i błyskotki a nasi kierowcy odpalali im spirytus i słoninę, o którą wtedy w Czechosłowacji było trudno. W ten sposób puszczano co prawda z dymem kilkadziesiąt chałup, ale przypuszczam, że per saldo musiało się to jednak opłacać. Byłem świadkiem podobnej sytuacji jako gość Bawarskich Wymiarów Sprawiedliwości. Otóż każdej niedzieli wchodził rankiem do naszej celi *Wachmeister* i pytał ilu jest kandydatów na *Gottesdienst*. Nigdy przedtem nie myślałem, że wiara chrześcijańska jest jednak rzeczą tak silną i głęboko zakorzenioną; meldowali się wszyscy

— włamywacze, szantażyści, oszuści matrymonialni i sutenerzy. I tak szliśmy do kościoła a tam dokonywało się handlu wymienionego z facetami z Izby Chorych — chodziło o to, że chorzy nie mieli możliwości palenia i spacerów tak, że jedyną sposobnością wymiany towarowej była msza w kościele.

Wróciłem z powrotem do Wrocławia i dalej próbowałem pisać. Nie znałem we Wrocławiu nikogo prócz Stefana Łosia i Tadeusza Zelenay'a. Stefana Łosia wypuszczono właśnie z więzienia; siedział około roku, po czym oświadczone mu, że stała się mała pomyłka i wypuszczono go. Wkrótce potem umarł; rozmawiając z jednym z lekarzy dowiedziałem się, że śmierć nastąpiła właściwie na skutek pobytu w więzieniu i niehumanitarnego traktowania, co przy słabym zdrowiu Łosia przesądziło sprawę. Od samego Łosia nigdy nie dowiedziałem się co przeszedł; znał mnie od dziecka, mimo to bał się. Oświadczył mi krótko, że przy zwolnieniu z więzienia podpisał deklarację, że z nikim na te tematy rozmawiać nie będzie gdyż w wypadku gawędziarstwa grozi mu ponowny pobyt w więzieniu z tym jednak, że tym razem nie będzie już żadnej pomyłki.

Wiem jednak od innych ludzi co wyprawiali z Łosiem. W tych relacjach na temat tortur zadawanych ludziom przez UB nigdy oczywiście nie wiadomo co jest, a co nie jest, prawdą; fakt jednak, że nie musiało być najlepiej jeśli mówiono o tym, że oficerowie bezpieczeństwa biją ludzi wyciorami od karabinów, plują na nich, oddają im mocz na twarz i tak dalej, nie mówiąc już o prostych sposobach jak bicie człowieka do nieprzytomności. Łosia stawiano w karcerze w lodowatej wodzie po pas pozostawiając mu czas do kontemplacji i wspomnień z okresu dzieciństwa; po czym znów prowadzono go na kolejne przesłuchanie. Łosiem zainteresował się serdecznie pułkownik Jacek Różański; Łoś do chwili mego ostatniego widzenia z nim nie wypowiedział nigdy nazwiska Różański. Mówił: brat Pana Borejszy. Samo nazwisko Różański przyprawiało go o ataki histeryi.

Mówiąc już o Łosiu chciałbym napisać parę słów o pułkowniku Różańskim, którego poznałem w dwa czy też trzy lata później. Interesowali mnie zawsze oprawcy; ciekaw byłem jak wyglądają ci, którzy innym ludziom wyrywają paznokcie i włosy i łamią żebra. Ułatwiono mi kontakt z Różańskim i poszedłem do niego. Był to pan o wyglądzie fanatyka, i o tym wiedział. Mówił interesująco, jego aktorstwo było dobre i gdybym chciał porównać go z jakimś aktorem porównałbym go z Marlonem Brando który także mówi bardzo wolno, nieefektownie, męczy się jakby w czasie wypowiedzania dialogu, co stwarza złudzenie, że Brando nie mówi tekstu napisanego uprzednio przez Rap-

paporta, lecz że szuka własnych słów i własnych sformułowań. Tak więc i z Różańskim; było nas tam parę osób i Różański rozpoczął gawędę.

— Cóż wy, powiedział Różański, wiecie o Rewolucji? Pisze-
cie o tym tyle, jest parę dobrych pozycji, ale co wy o tym
wiecie? Ja miałem podwładnego w partyzantce i kochałem go
jak syna. Dzielny żołnierz, ideowy, inteligentny. Po wojnie wzię-
łem go do aparatu bezpieczeństwa i zrobiłem go majorem. Kie-
dyś przesłuchiwał jakiegoś sabotażystę. Ten sabotażysta był głu-
pim chłopkiem, ale w czasie przesłuchania zachowywał się bez-
czelnie i prowokująco w stosunku do prowadzącego śledztwo.
Ten mój chłopak był tak wykończony nerwowo, gdyż nie spał
już od paru nocy, że w pewnym momencie nie wytrzymał i dał
mu w pysk.

Pułkownik Różański zrobił efektowną pauzę.

— I co? — zapytaliśmy.

— Musiałem mu dać pięć lat — powiedział Różański. —
Był majorem bezpieczeństwa i nie wolno mu było uderzyć czło-
wieka podczas przesłuchania. Ale nie to wam chciałem powie-
dzieć. Wiecie ile dostał ten sabotażysta? Dwa lata. To był wie-
ski głupek i sam nie wiedział co robi, tak, że trzeba go było
sądzić z zastosowaniem wszelkich okoliczności łagodzących. Ale
wobec pracownika aparatu bezpieczeństwa, który łamie konsty-
tucję będąc powołanym do jej obrony — okoliczności łagodzą-
cych zastosować nie można było. To jest rewolucja.

Potem opowiedział nam inną anegdotę: otóż wioząc kiedyś
samochodem z Łodzi do Warszawy jakąś młodą kobietę musiał
ulec jej prośbie i zatrzymać samochód, aby młoda dama mogła
pójść sama do lasu. Pułkownik Różański zapytał ją, czy da
mu słowo honoru iż nie będzie próbowała uciekać tak, żeby
nie musiał wysłać z nią strażnika który mógłby ją krępować w
czasie wykonywania czynności fizjologicznych; młoda dama dała
słowo honoru i rzeczywiście wróciła.

Pamiętam, że wyszliśmy potem na ulicę i jeden z moich
przyjaciół powiedział mi:

— To jest silny człowiek. Pomyśl: słowo honoru które dała,
mogło go kosztować...

— Nic go nie mogło kosztować — przerwał mu ktoś inny
— Po prostu nie ma dokąd uciekać.

Różański opowiadał mi także, że przez wiele lat nie mógł
pozbyć się uczucia strachu gdyż wiedział, że wielu ludzi chce
go zabić — mówię w tej chwili o pierwszych latach powojen-
nych kiedy działały jeszcze szczątki organizacji politycznych wal-
czących przeciw reżymowi. Ale, aby przemóc w sobie ten strach,
zrezygnował z przysługującej mu eskorty osobistej i udawał się

codziennie rano piechotą do pracy. Pamiętam tę opowieść o sabotażyście i nieszczęsnym majorze; jak również i tę o młodej damie, która swe słowo honoru ceniła wyżej od wolności osobistej — prawdopodobnie tylko dlatego, że mówił to wszystko człowiek o którym wiadano, że był najbardziej okrutnym pracownikiem aparatu bezpieczeństwa. Pomysł, aby poświęcić mu parę rzewnych słów przyszedł mi do głowy teraz, kiedy piszę o Stefanie Łosiu, który do końca swego życia bał się wymówić nazwisko tego człowieka.

Łoś był nieszczęśnikiem; przed wojną napisał dość głupiutką książeczkę dla młodzieży pod tytułem „Strażnica”; była to zdaje się opowieść o dzielnych żołnierzach Korpusu Ochrony Pogranicza, gromiących bolszewickich agentów. Po wojnie go oczywiście nie drukowano i biedak zagłodził się. Pamiętam, że nazywano go „Kuzynem Ponsem” gdyż zawsze pojawiał się u znajomych w porach posiłków. Ludzie pomagali mu jak mogli. Tadeusz Schmidt, nasz najprzystojniejszy chłopak w filmie zawsze zapraszał go do domu pod rozmaitymi pretekstami, aby go nieco podkarmić; tak samo inni ludzie. Jednak pobyt w więzieniu pozbawił go kłopotów w zdobywaniu środków do życia. Napisał do mnie przed śmiercią list już ze szpitala; list ten nie zastał mnie, a kiedy chciałem mu odpisać dowiedziałem się, że biedak już nie żyje.

Drugim piszącym człowiekiem którego poznałem we Wrocławiu, był Tadeusz Zelenay. Był to dziwak chodzący w jakiś dziwaczny sposób przechylony w lewo. Pamiętam, że ktoś tam umarł a ja z nudów poszedłem na pogrzeb, aby popatrzeć na wdowę rzucającą się do grobu ukochanego męża. Staliśmy wszyscy w deszczu słuchając kolejnego mówcy; nagle pędem nadbiegł zdyszany Zelenay i wręczył oniemiałej wdowie pudełko czekoladek. — Nie mogłem dostać kwiatów — oświadczył. W kilka lat później, przeglądając stare roczniki „Przekroju”, zobaczyłem identyczny dowcip, tak, że do dziś nie wiem czy to Zelenay naśladował genialnego Mariana Eile; czy też Eile zastosował *praktikal jock*.

Nie bardzo mi szło z pisanem we Wrocławiu. Nigdy przedtem nie miałem tak wiele czasu dla siebie; teraz mogłem czytać i pamiętać uczucie rozpaczki pogłębiające się we mnie z dnia na dzień. Zrozumiałem, że nie starczy mi życia na przeczytanie wszystkiego co chciałbym poznać — miałem trzymiesięczne stypendium. Nie chciałem się jednak poddać; postanowiłem pracować na *over-time* i znajomi koledzy lekarze dawali mi kombinacje z benzodryną, abym nie śpiając mógł pracować dzień i noc. Obawiałem się, że stanę przed Neverlym z pustymi rękami i będę musiał wrócić do pracy, a wtedy koniec z pisanem.

Trudno mi już dzisiaj powiedzieć co z przeczytanej przeze mnie masy książek zrobiło na mnie wrażenie a co nie. A przede wszystkim — nie umiałem czytać. Czytając artykuły w starym „Odrodzeniu” czy „Kuźnicy” nie rozumiałem połowy z tego co czytam; nie było w dodatku nikogo, kogo mógłbym o to spytać, gdyż nie było we Wrocławiu tego, co zwie się środowiskiem. Musiałem mieć pod ręką słownik; a czasem i to nie pomagało gdyż w połowie czytanego artykułu musiałem odkładać pismo i szukać książki, o której autor tylko wspominał aby podbudować swą tezę. I starałem się zrozumieć na czym polega zagadnienie typowości w literaturze; zdaje się, że byłem wtedy jedynym durniem w Polsce, który starał się o zrozumienie tej metody. Nie używam w tym momencie cudzysłowu i czynię to świadomie.

Ponieważ na ten temat typowości w literaturze bełkotali wtedy wszyscy i już zupełnie niczego nie można było zrozumieć, postanowiłem zabrać się do tego na swój sposób; poszedłem do biblioteki miejskiej i odszukałem wszystko co napisano na temat „Popiołu i Diamentu”, aby w ten sposób poznać opinię wszystkich mędrców na temat mojej ukochanej książki. Wtedy wpadłem w osłupienie.

Krytycy na ogół rozplýwali się w zachwytach zarzucając jednak Andrzejewskiemu, że komuniści w jego książce są postaciami nie tak silnymi jak postać Maćka Chełmickiego czy też postacie negatywne — również i teraz świadomie nie używam cudzysłowu. Pamiętam, że profesor Stefan Żółkiewski napisał: „Postać Szczuki poznajemy od strony najbardziej konwencjonalnej — ze strony poglądów moralnych”. Szczuka, człowiek zmęczony, człowiek bez złudzeń nie wierzący w możliwość szybkiego zwycięstwa rewolucji — nie wydawał się krytykom marksistowskim postacią prawdziwą.

Te same zarzuty stawiane były Podgórskiemu, innemu komuniście z „Popiołu i Diamentu”. Podgórski przegrywa swój pierwszy pojedynek z nową rzeczywistością; jego system ocen moralnych i etycznych kruszy się w zetknięciu z doświadczeniem i Podgórski rezygnuje z możliwości uwięzienia człowieka, który pełnił funkcję kapo w obozie koncentracyjnym. Podgórski usiłuje człowieka sądzić, ale sądzić innego można miarą własnego doświadczenia; Podgórski nie był w obozie koncentracyjnym; nie przeżył tego co przeżyć musiał mistrz jego młodości i nie czuje się na siłach skazać człowieka, którego wystawiono na zbyt ciężką próbę. I puszcza go wolno; na tym polega świetność tej sytuacji. Krytycy marksistowscy z tego właśnie czynili zarzuty Andrzejewskiemu; wtedy rozumiałem, że rozumu nie można zastąpić wiedzą o tym jak należy myśleć.

Po wojnie wszyscy zachwycali się książką Borowskiego „Po-

żegnanie z Marią” i na mnie także książka ta wywarła wrażenie. Ale czegoś mi tam brakowało i przez całe lata myślałem czego; nie umiałem tego sformułować. Zrozumiałem to wiele lat później czytając przypadkowo list jednego z naszych najlepszych pisarzy do mego przyjaciela; pisał co drażni jego osobiście w literaturze polskiej lat wojny — brak uczucia zazdrości. Pomyślałem sobie, że tego mi brakuje u Borowskiego: elementu zazdrości u bitego. I tego, że bity wolałby być bijącym. I tego, że bity marzy aby bić; ci dobrzy bici i ci źli bici. Pięciotomowe wydanie dzieł Borowskiego powinno być lekturą obowiązującą ludzi zaczynających pisać w Polsce; Borowski zaczyna jak anioł gniewu a kończy jak szpicel. Zaczyna od tego, iż pragnie pokazać prawdę i tylko prawdę; kończy nazywając faszystą, kanalią i piewcą bomby atomowej i wojen bakteriologicznych Faulknera, którego książek prawdopodobnie nie czytał; Faulknera którego obsesją jest stosunek do bliźniego.

W roku 1954 odbył się w Oborach Zjazd Młodych, na który i ja pojechałem. Nie wiele już pamiętam z tego zjazdu; mówiono znowu dużo o typowości w literaturze; my z kolegą Bernsteinem spaliśmy na zmianę: on pięć minut, ja pięć minut po czym jeden budził drugiego. Z daleka wyglądało to dobrze; jeden z twarzą ukrytą w dłoniach i pogrążony w głębokiej kontemplacji; drugi siedzący sztywno z wytrzeszczonymi oczyma — jak to powiada Szwejk — jak kocur srający w sieczkę. Po czym następowała zmiana; jeden budził drugiego i ten z kolei zaczynał wytrzeszczać oczy a drugi chował twarz w dłoniach. Po zakończonych obradach szliśmy znów z Bernsteinem na nocne uciechy.

Była tam jedna dziewczyna, której nazwiska nie mogę sobie przypomnieć; pamiętam tylko, że była wyjątkowo ładna. Pewnego dnia odczytała nam fragment swojej prozy; była to opowieść o funkcjonariuszach Bezpieki. Panowie ci, po długich i serdecznych rozmowach przekonywali więźniów nad którymi została im powierzona opieka, iż ci działali niewłaściwie i więźniowie i rzucali im się na pierś z łkaniem wyrażając skrucę i obiecując poprawę. To wszystko co pamiętam z tego zjazdu; było tam wielu *commies*, ale nawet oni zachowywali pełne żenady milczenie, a ja patrząc na śliczną buzię czytającej myślałem sobie: — Dlaczego ona nie może zostać po prostu dziwką? Dlaczego musi jeszcze pisać?

Potem wyjechaliśmy z kolegą Bernsteinem na Mazury. Edward był piękny jak młody bóg i czytając „Biesy” myślę zawsze o nim. Podczas gdy ja miotałem się przez całe życie, on był wyjątkowo i przerażająco spokojny. Był poza tym mistrzem bójki towarzyskiej obdarzonym niezwykłą siłą fizyczną; boksował przez

jakiś czas. Ilekroć dochodziło do rozpraw Edward ustawiał sobie przeciwnika tak jak fotograf ustawia model przed wykonaniem zdjęcia, i dopiero wtedy uderzał w szczękę; nie musiał nigdy uderzać po raz drugi gdyż ofiara pogrążała się w sen czy też w niebyt. Nawet w bójce zachowywał jakiś przerażający i niezrozumiały spokój. Pamiętam jak kiedyś w Orzyszu pijany tajniak rąbnął mnie w zęby trzymając w lewej ręce pistolet: Edward spokojnie podszedł do niego nie zwracając uwagi na broń i huknął go w czaszkę.

Był i jest moim największym przyjacielem. Na Mazurach opowiadał mi o książkach, które przeczytał, a których ja, nieznający wówczas niemieckiego i angielskiego nie znałem. Mieszkaliśmy w miejscowości nazwanej malowniczo Wyspą Róż i za towarzystwo mieliśmy czterech rybaków wyrzuconych z Dalmoru za pijaństwo i bójki. Jeden z nich miał jednak żonę i dziecko, które postanowił ochrzcić; w tym celu nabył pięknego prosiaka i zapowiedział uroczystość. Tak więc wszyscy śledziliśmy z napięciem, z dnia na dzień, czy prosię przybiera na wadze w sposób proporcjonalny do naszych apetytów. W tym czasie nie było łatwo o mięso; myśmy z Edwardem jedli węgorze, które Edward mistrzowsko przyrządzał. W dzień łaziliśmy po wyspie i próbowaliśmy pisać; wieczory schodziły nam wesoło ponieważ ci z Dalmoru również z entuzjazmem śledzili pracę Polskiego Monopolu Spirytusowego.

Nie pamiętam już, czy to ja czy Edward zgłosił projekt zaproszenia na rzeczne chrzciny Wilhelma Macha; w każdym razie Mach odpisał, że przyjedzie i rzeczywiście zjawił się tak zwanego fatalnego ranka — jak o tych sprawach piszą gazety. Mach zjawił się i po nieprzespanej nocy poszedł spać, a my wszyscy pracowaliśmy nad przyrządzeniem prosięcia które tegoż ranka pozbawiłem życia strasznym ciosem noża. Ci z Dalmoru zachowywali się niespokojnie; czekało ich pijaństwo i spodziewali się towarzystwa kobiet, którego pozbawieni byli od miesięcy. Tu trzeba dodać, że do najbliższego miasta było około dwudziestu kilometrów tak, że ulubionym tematem wieczornych wspólnych rozmów i pieśni była nikczemność i przewrotność kobiet. Wreszcie zjawili się goście; była tam tylko jedna ale za to bardzo ładna dziewczyna; posadzono ją po prawej stronie Wilhelma Macha któremu, zapewne dzięki jego godnemu wyglądowi, ci nożownicy z Dalmoru nadali tytuł profesora. Trzeba wyjaśnić że Wilhelm Mach nie interesował się w sposób przesadny kobietami, co było dziwne przy jego silnie rozwiniętych instynktach rodzinnych; mam na myśli jego bratanków. W czasie biesiady zauważyłem skurcze przerażenia i wstrętu przebiegające po twarzy Macha i domyśliłem się że młoda dama czyni mu daleko

posunięte awanse. Zauważyli to także nożownicy z Dalmoru, którzy ostrzyli sobie zęby w związku z pobytem owej młodej damy, i usłyszałem, że w rozmowach poruszają sprawę porachunków z „profesorem”. I rzeczywiście; około północy zaczęła się ogólna rzeź. My z Wilhelmem zamknęliśmy się na górze a tamci gonili się po całej Wyspie Róż uzbrojeni w noże do patroszenia ryb. Nie wiem co by z nami było, gdyby nie kolega Bernstein który z początku zachowywał wobec walczących pełną życzliwości neutralność, ale kiedy ryki ich pozbawiły go — jak to genialnie mówi poeta — możliwości zasłużonego odpoczynku, uniósł ze snu skroń i w sposób pełen szlachetnej prostoty pozbawił ich wszystkich przytomności: jednego po drugim. Nazajutrz, przerażony i postarzały o lat dwadzieścia Mach opuścił Wyspę Róż.

Potem pojechałem znów do Warszawy i zgubiłem się z Edwardem. Po jakimś czasie zacząłem go szukać, ale ponieważ zarówno kolega Bernstein jak i ja znajdowaliśmy się w ciągłych konfliktach z władzami wymierzającymi sprawiedliwość — nie posiadaliśmy stałego adresu i nie łatwo nam było się znaleźć. Wreszcie spotkałem pewnego kolegę, który skończył akurat szkołę filmową i wstąpił w związki małżeńskie. On także znał Edwarda; siedzieliśmy na tarasie kawiarni, w której on umówiony był z żoną na którą czekał; wysłuchawszy mnie, rzekł:

— Możesz go spotkać w bardzo prosty sposób. Jeśli usłyszysz od jakiejś kobiety, że czytała „Biesy” i że jest zachwycona, to znaczy, że jest przyjaciółką Edwarda. Przez nią zdobędziesz jego adres.

W kilka minut później nadeszła oczekiwana przezeń żona. Przedstawiono nas sobie wzajemnie i młoda osoba powiedziała:

— Właśnie czytałam „Biesy”. Co pan o tym sądzi?

Ujrzałem że twarz mego kolegi powleka się upiorną bladością: zapłaciłem co rychło i wyszedłem. Jego pomysł był prosty, ale też i niełatwy: krąg miłośniczek Dostojewskiego okazał się zbyt duży i nie naprowadził mnie na ślad.

W tym czasie moje łapsy zjawiły się znów. Na próżno tłumaczyłem im, że żyję sam i że wszystko co mogę zrobić jest napisanie donosu na samego siebie, i że chętnie to zrobię. Łapsy wysłuchały mej mowy i powiedziawszy: — Oj, bo się pogniemy — odeszły. Pamiętam do dziś ich smutne twarze i zapach ich gumowych płaszczy. Wracając w parę dni później do domu zobaczyłem ich i pieśń zamarła mi na ustach. Poszedłem do swego innego przyjaciela i wybełkotałem mu całą sprawę prosząc, abym mógł u niego zostać przez parę dni, a może coś wspólnie wymyślimy. On zgodził się, żona jego także. Zrobił

herbatę a ona wyszła. Siedziałem naprzeciw niego i widziałem krople potu spływające po jego twarzy. W pewnym momencie wstał, wziął mnie za rękę i wyprowadził na korytarz. Powiedział mi, że żona jego poszła po milicję i poradził, abym uciekał. Powiedziałem mu na to, że jestem już zbyt zmęczony tym wszystkim i nie będę uciekał; niech przyjdą, niech mnie wezmą i niech robią ze mną wszystko co chcą. Wtedy zapukał do sąsiednich drzwi wepchnął mnie tam i powiedział do jakiejś młodej i zaspanej osoby: — Ukryj go. Szuka go milicja. — Po czym zniknął; owa młoda i samotnie mieszkająca osoba okazała się studentką; nocami przychodził jej narzeczony i zaczynały się pertaktacje trwające do świtu. Narzeczony przyjeżdżał pod okno i siedząc na motocyklu z niewyłączonym silnikiem zaczynał mowy w stylu klasycznym, budowane na wzór mów Cicerona. A więc najpierw od argumentów najważniejszych: miłości i pożądania potem przechodził na tematy ogólnoludzkie, co nie było jego silną stroną, znów powracał do miłości następnie o świecie apelował do jej poczucia sprawiedliwości i kończył na kwestii początkowej na — miłości i pożądaniu. Od czasu do czasu włączał przy tym silnik na pełen gaz: motor był starego typu i gaśł. Do mów jego włączali się sąsiedzi, budzeni potężnym rykiem silnika o pojemności sześciuset kubików: jedni dawali mu dobre rady, drudzy ostrzegali przed kobietami, inni przeklinali go i grozili milicją a jeszcze inni okraszali jego dramat szyderczymi komentarzami i mówili co uczyniliby na jego miejscu. W ten sposób cała kamienica brała udział w tym dramacie; od czasu do czasu zjawiali się milicjanci wzywani przez któregoś z widzów, pozbawionego uczucia tragizmu i chcącego spać; wyrzucano go, lecz następnej nocy powracał znowu. I długo to trwało.

W parę lat później przypomniała mi się znów ta cała historia. Było to już w Izraelu; mieszkając w Tel-Awivie chodziłem od czasu do czasu do kina na Ben Jehuda; było to kino bez dachu gdzie wyświetlano tylko filmy z Eddie Constantinem. Filmy te odznaczają się szlachetną prostotą akcji; po prostu Eddie Constantin bije przez dwie godziny innych artystów po twarzy. Ale tu należy dodać, że nie bije ich pięścią, lecz otwartą dłonią co sprawia niezapomniane efekty akustyczne. Ponieważ jest przy tym także producentem własnych filmów może bić nieszczęśliwych aktorów jak tylko chce, co sprawia, że dramat przybiera na ostrości i wyrazie. W kinie tym, którego nazwy już nie pamiętam, nie było połowy krzeseł — gdyż widzowie zaczęli bić się w czasie przedstawienia, jeśli ktoś rzucał pod adresem Constantina parę szyderczych uwag, nieprzekonany co do słusz-

ności jego działania. I tam również widzowie — jak mieszkańcy owej warszawskiej kamienicy — włączali się do akcji dając artystom dobre rady lub przeklinając ich głupotę i nie było w tym żadnego szyderstwa, lecz po prostu chęć uczestniczenia w dramacie. Jeśli jednak poczynano wyrywać krzesła i bić nimi po głowach — kierownik kina wyłączał obraz i dawał widzom czas na zakończenie bójki, po czym projekcja zaczynała się od nowa. Kierownikiem kina był zapewne także jakiś miłośnik dzielnego Constantina, który chciał aby walczący na sali nie stracili nic z toczącego się przed ich oczami dramatu. Wchodząc do tego kina, widzowie nie zwracali uwagi na tytuł filmu. Pytano po prostu biletera: — Ile trupów? — i jeśli ilość przez niego podana odpowiadała ich wymogom duchowym, nabywano bilet. Potem kino to spalono: jak mi opowiadali przyjaciele z Tel-Awivu, wyświetlano tam obraz pod tytułem „Panna”, produkcji amerykańskiej. Była to historia bohaterskiej Niemki, amerykańskiego jeńca i nikczemnych sowieckich oficerów, których przedstawiono w sposób prosty i wyrazisty: otóż jeden z nich grając na fortepianie przerywa produkcję duszoszczepiatelnych pieśni tylko po to, aby celnym strzałem położyć następnego członka osłupiałej rodziny niemieckiej, której rzeczona już panna była córką. Tak się skończyła historia tego kina gdzie bilet kosztował tylko sześćdziesiąt piastów. Obraz duszy rosyjskiej przedstawiony w ten sposób wydał się publiczności izraelskiej zbyt uproszczony; kino puszczono z dymem, a kierownika ciężko pobiwszy — z torbami.

Nasz narzeczony stał się wreszcie dla mnie tym samym koszmarem co moi dwaj o smutnych twarzach i płaszczach pachnących gumą. Skończył był jednak w sposób w jaki powinien był skończyć; zleciał po pijanemu wraz ze swym wiernym rumakiem stalowym z jakiegoś mostu i połamawszy ręce i nogi zamienił się z pełnego wigoru młodego mężczyzny, we wzruszającego inwalidę. Nie byłoby w tym nic przykrego, gdyby nie fakt, że ewentualnym kandydatem do małżeństwa stałem się z kolei ja; drogą tak zwanej, naturalnej eliminacji. Wyszeptąłem wtedy niezbędną ilość najświętszych słów i oddaliłem się w sobie tylko wiadomym kierunku.

Wiedziałem, że nie da mi się już bawić dłużej z moimi łapskami i drżałem na myśl, że dokonują analizy mych donosów i posuną się przy tym poza analizę stylu. Poszedłem do jednego z moich znajomych piszących, o którym wiedziałem, że pracował kiedyś w Informacji Wojskowej, i opowiedziałem mu o wszystkim. Uśmieł się serdecznie i obiecał pomoc. Powiedział przy tym:

— Nic się nie przejmuj, synu. Powiadają, że młody Adaś Mickiewicz też zajmował się donosami. Daniel Defoe był agentem policji. Tak samo mówią o Kraszewskim; tak samo o Brzozowskim. Idź dalej śmiało tą drogą. Ale jeśli nie chcesz, pomogę ci.

I nigdy już ich nie widziałem; pamiętam tylko ich smutne twarze i zapach gumowych płaszczy, i łączący się z tym wspomnieniem ryk motocykla od nocy do świtu. Nie jestem właściwie pewien czy postępuję *fair* pisząc o moich łapsach tak krótko i bez sympatii; oni przecież dali mi podniecie twórczą i czasami pisząc donosy ponosiła mnie fantazja a wtedy cytowałem wymysłone przeze mnie wypowiedzi i wkładałem je w usta swoich ofiar, dbając jednak przy tym aby każda z postaci mówiła odrębnym stylem i używała odrębnych sformułowań. W literaturze nie wydaje mi się to konieczne; w literaturze decyduje wizja i szaleństwo; to dobrze jeśli ludzie mówią tak samo, jeśli depczą sobie po piętach i bredzą bez przerwy o tym samym. Jednak forma donosu policyjnego wymaga absolutnego klasycyzmu formy i stylu, oraz pewnego wykwintu, który może dobry jest u początkującego pisarza, ale drażni u prawdziwego mistrza. Jeśli chodzi o formę donosu policyjnego, tak zawsze aktualną w polskiej literaturze, należy dbać o to, aby każda z działających postaci mogła własnymi i prostymi sformułowaniami zasłużyć na parę lat ciężkiego więzienia. Ale — trzeba również strzec się kwietyzmu, gdyż może to wzbudzić nieufność przełożonych w policji. Istnieją wypadki, kiedy trzeba użyć określeń topornych i ciężkich, męskich i brutalnych — to dla więźniów długoterminowych i pozbawionych prawa palenia tytoniu w więzieniu. Wypadki bagatelne, powiedzmy do dwóch lat kryminału — można opisywać stylem felietonowym, cytując anegdoty i opatrując je własnymi komentarzami, pamiętając jednak o tym, że nadużywanie komentarza krępuje postać działającą na scenie. Mając powyższe na uwadze napisałem kilkaset donosów uskrzydłony myślą, że jestem prawdopodobnie jedynym na świecie informatorem *à rebours*. Dzisiaj, kiedy myślę o nich zaczynam czuć coś w rodzaju wdzięczności: zjawili się wtedy, kiedy nie pomyślałem nawet jeszcze o tym, aby bawić się w życiu piórem i gdyby nie ich proste a pełne zachęty słowa, obiecujące mi przykry okres abstynencji — miast pisania traciłbym zapewne zdrowie w restauracjach opowiadając mym przygodnym towarzyszom i towarzyszkom historię mego złamanego życia. Myślę, iż w tym to właśnie okresie, z konieczności, która stała się potem upodobaniem, nabrałem miłości do formy krótkiej i zwięzłej. To jedyne, co w tej zabawie liczy się dla mnie naprawdę. Tyśiąc policjantów można zmienić jednego dnia i tysiąc więźniów

można pognać jednego dnia przez tysiąc kilometrów. Ale nie to jest ważne. Ważne jest tylko to, że w twoim życiu może nadejść tysiąc dni w ciągu których nie zdołasz napisać ani jednej strony. Gdyby mój dorobek pisarski upoważniał mnie do dawania rad młodym, powiedziałbym im: każdy z was powinien przez jakiś czas popracować dla tajnej policji, aby wyrobić sobie styl i jasność myślenia. Książki trzeba pisać tak jak donosy, pamiętając przy tym, że głupio napisany donos może zniszczyć przede wszystkim ciebie.

Skończyłem z moimi łapsami; nie miałem jednak w dalszym ciągu ani pieniędzy, ani mieszkania. Poszedłem do Józka Lenarta ze „Sztandaru Młodych” i poprosiłem go, aby wysłał mnie na reportaż; Lenart dał mi zaliczkę i pojechałem gdzieś w okolice Wrocławia gdzie miałem odszukać młodą lekarzkę, która dostała przed rokiem nakaz pracy na wsi, i opisać jej sytuację oraz słoneczność jej światopoglądu. Odnalazłem tę wieś i zacząłem pytać o panią doktor; zdziwiło mnie jednak, że chłopci, których pytałem, dają mi dziwaczne odpowiedzi patrząc na mnie błędnymi oczyma i zachowując się przy tym jak Ofelia w scenie szaleństwa. Wreszcie ona sama zjawiła się. Zapytałem ją, co jest właściwie z tymi ludźmi, z których każdy wygląda jak lunatyk. Z początku ta młoda osoba tłumaczyła mi to w ten sposób, iż są to chłopki zza Buga którzy nie mogą przeboleć straty swej ziemi rodzinnej i pożerani tęsknotą niebardzo już wiedzą w którym kościele dzwoni. Ta interpretacja, jakkolwiek oparta na motywach psychologicznych i historycznych, nie wydała mi się jednak prawdopodobną. Wreszcie, skonsumowawszy z panią doktor poważne ilości leczniczego spirytusu, udało mi się wykryć prawdę: otóż była to wieś morfinistów. Lekarka, zarabiając grosze nie wystarczające na utrzymanie, wpadła na genialny w swej prostocie pomysł: zmorfinizowała całą wieś i chłopci, stawszy się nałogowcami, płacili jej haracz, aby otrzymać niezbędną już do życia porcję narkotyków. Zapytałem ją co robi, jeśli jej pomysłem zainteresuje się prokurator. Powiedziała mi, że ma dosyć wszystkiego i że jeśli dowie się w jakiś sposób, że grozi jej aresztowanie, to duża dawka morfiny z barbituratami bez trudu przeprowadzi ją od życia do śmierci. Nic nie wyszło z mojego reportażu.

Także i drugim razem moja kariera reportera zakończyła się w sposób dziwaczny. Otóż posłano mnie do jednego z Państwowych Gospodarstw Rolnych gdzie udało się chłopom stworzyć teatr amatorski, którego duszą była żona kierownika owego PGR. Pojechałem tam w sobotę; w niedzielę miała odbyć się premiera sztuki któregoś z naszych mistrzów realizmu socjalistycznego. Nie pamiętam już treści tej sztuki: chodziło zdaje się

o konflikt człowieka pracującego na wiertarce z człowiekiem pracującym na obrabiarce; i w tym wszystkim kryła się myśl o walce pokoleń. Nic bliższego nie jestem już w stanie o tym napisać.

Przyjechałem wieczorem: kierownik PGR zorientował się natychmiast że istnieje okazja uczczenia gościa z Warszawy i zaprowadził mnie do głównego amanta swego teatru. Amant był właśnie zajęty sporządzaniem kielbas ze świni, którą uprzednio wraz z dyrektorem PGR ukradł i pozbawił życia. Prowadziliśmy rozmowę towarzyską na najwyższym poziomie wznosząc puchary i konsumując kielbasy; po czym udaliśmy się spać. Następnego dnia wieczorem zebraliśmy się wszyscy w świetlicy. Znowu żeby uczcić gościa z Warszawy, kierownicza teatru kazała miejscowemu tenorowi odśpiewać coś przed przedstawieniem. Na scenę wbiegł młody człowiek i zaryczał: „San Remo, białe miasto ponad morzem — ja kocham ci...” Zdumieni chłopcy siedzący w watowanych kurtkach wytrzeszczali oczy; ale ja bawiłem się dobrze. Następnie zaczęła się sztuka: w momencie kiedy główny bohater — postać szlachetna i pełna patosu — wygłaszał długą tyradę na cześć obrabiarek, przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i tp., na scenę wbiegł jakiś człowiek o dzikim spojrzeniu i z okrzykiem „A ty, Jadźki p... nie będziesz...” wraził bohaterowi nóż w klatkę z piersiami. Chodziło o jakieś osobiste zatargi na tle miłosnym. Nic z reportażu.

Wróciłem do Warszawy. Miałem już w tym czasie umowę wydawniczą z „Iskrami”. Kierownicza „Iskier” Celina Mińska, wiedząc że jestem nałogowym żebrakiem, wysłała mnie do Władysława Broniewskiego abym — dokonał wraz z nim wyboru wierszy, przeznaczonego dla młodzieżowego czytelnika. „Iskry” były bowiem domem wydawniczym nastawionym na czytelnika młodzieżowego. Również i w tym wypadku nie używam świadomie cudzośłowu. Oczywiście, że można po prostu napisać „czytelnika młodego”. Ale pisząc to wszystko pragnę zachować język tamtych czasów: ową dziwną mieszaniną slangu, komunikatów urzędowych, języka używanego na wiecach partyjnych i na ulicy. Jestem jeszcze zbyt młody i zbyt mało znaczę, aby pisać pamiętniki. Piszę o ludziach których znałem i których kochałem. Jak już powiedziałem: pragnąłbym dla tych właśnie ludzi napisać dlaczego nie mieszkam w Warszawie. Pragnąłbym to napisać dlatego, że wiele tym ludziom zawdzięczam, że nie przestałem ich kochać, i że nie potrafię ich zapomnieć. Nie bardzo wiem jednak, czy to ma sens; czytając wczoraj w nocy książkę Adolfa Rudnickiego — jednego z ludzi, który mi pomagał i któremu dużo zawdzięczam, natrafiłem na następujące zdanie: „Kiedy równo dwa lata temu pewien młody człowiek z dworu,

„jeden z nas”, wyjechał, i w Paryżu zaczął na nas psy wieszać, zadawałem sobie pytanie: Dadzą mu więcej pieniędzy, więcej swobody, więcej wszystkiego, ale czym zastąpią mu dwór? Skąd wezmą dla niego dwór? I co on zrobi bez dworu?” Czyżbym to ja był tym młodym człowiekiem? I na kimż to ja psy wieszałem? Czyż jeśli powiedziałem, że pragnę tylko żyć w takim kraju gdzie gest braterstwa nie zamienia się w gest samozniszczenia — czy wszystkie książki Rudnickiego nie są tym samym wołaniem o tę jedną, jedyną sprawę? Czy też Rudnicki przestał już myśleć?

Tak więc poszedłem do Władysława Broniewskiego który mieszkał wtedy na Mokotowie. Broniewski nie chciał rozpocząć dyskusji na temat wyboru swoich wierszy bez uprzedniego pokrzepienia się alkoholem: po strasznej walce wewnętrznej uległem jego prośbie. Dziwny to był człowiek; oficer legionów, komunista nie należący do partii, więzień naszych kapryśnych braci, najbardziej polski poeta jakiego można sobie wyśnić — a komunizm potrzebny mu był tylko z jednego powodu: ponieważ on, Broniewski, najbardziej lubił pisać o komunizmie. Żadne inne względy nie mogły tu wchodzić w rachubę i nie interesowały go zupełnie. Był przy tym zadziornym szlachcizną: opowiadał mi, że Bierut zaprosił go kiedyś do Belwederu i wzięwszy go pod ramię poszedł z nim do ogrodu a w pewnym momencie powiedział: „Towarzyszu Broniewski: już najwyższy czas, abyście napisali nowy Hymn Narodowy”. Broniewski wysłał go do wszystkich diabłów. Po czym napisał wiersz, że klania się rewolucji radzieckiej po polsku, czapką do ziemi.

Ze swego pobytu u Broniewskiego niewiele już pamiętam poza jedną tragiczną sytuacją. Pewnego dnia Broniewski przestał pić i zaczął pisać nowe wiersze i nawet dobrze mu szło. Po jakiejś godzinie ktoś do niego zadzwonił i zapytał co u niego słychać: Broniewski powiedział: że zabrał się do roboty i że ma nadzieję miesiąc lub dwa solidnie popracować. Na własne nieszczęście powiedział przy tym, że nie pije: jego rozmówca pogratulował mu i rozmowa się skończyła; Broniewski znów zabrał się do pisania. Po piętnastu minutach znów telefon; dzwonił ktoś inny, kto rozmawiał z uprzednim rozmówcą Broniewskiego i dowiedziawszy się, że Broniewski postanowił nie pić, gratulował mu i prosił, aby wytrwał w postanowieniu; Broniewski podziękował mu i znów zabrał się do pracy. Po dziesięciu minutach znów telefon; znów przestroga i znów podziękowanie ze strony Broniewskiego. Ósmy telefon był od towarzysza Jakuba; Broniewski, blady i roztrzęsiony przyszedł do mnie i powiedział: „Idź po wódkę”. Po czym opowiedział mi, że w dniu śmierci swej jedynej i ukochanej córki został zabrany wprost z

pogrzebu do Wonieścia, szpitala dla alkoholików — z polecenia KC.

Gdyby ludzie wiedzieli, że nie ma lepszego sposobu na wpędzenie w powtórny alkoholizm jak przypominanie człowiekowi który pił, o tym co się stać może z chwilą kiedy znów pić zacznie — może przestaliby udzielać tych przeklętych, dobrych rad. Ludzie wciąż jeszcze nie wiedzą, że w uczuciu wdzięczności jest piekielnie dużo nienawiści. Nie pisałbym o tym, gdyby nie to, że ludzie obrzydzili mi połowę mego życia wtrącaniem się w moje sprawy i daniem mi przestrog.

Tak więc Broniewski rozpoczął cykl, który miał trwać wiele dni. Dziwny był to pijak; mógł być śmiertelnie pijany i zataczać się z kąta w kąt ale z chwilą, kiedy ja mu deklamowałem na przykład „Ulicę Miłą” i pomyliłem się choćby o jedno słowo — Władysław Broniewski natychmiast korygował mnie i to w sposób dość ostry. Żał mi go; zamęczyli go ludzie i na pewno męczyli go przez całe życie. I był dziwakiem: kapitan Legionów, kawaler orderu *Virtuti Militari* był dumny, że zdobył ten order walcząc przeciw bolszewikom, którym kłaniał się czapką do ziemi. Więzień Stalina kiedy zapytawszy mnie co o nim sędzę usłyszał, że trudno mi go sądzić, ponieważ boję się bandytów przed którymi nie ma gdzie uciec — dostał ataku furii który mógł skończyć się dla mnie tragicznie, o czym poniżej. Nie to było ważne, że Ziutek-Słoneczko wymordował ileś tam milionów ludzi i zbudował największy na świecie obóz koncentracyjny, nie to było dlań ważne, iż on sam siedział w więzieniu sowieckim — ważne było dlań jedynie to, że on, Władysław Broniewski, napisał wiersz na cześć człowieka, którego ja obraziłem. Pobiegł na górę dygocząc z wściekłości; po jakiejś chwili zbiegła na dół przerażona służąca i powiedziała mi, abym wynosił się natychmiast, ponieważ pan Broniewski jest pijany i dzwoni do Urzędu Bezpieczeństwa. Złapałem palto i rażno wybiegłem w mrok.

Po roku 1956 ten stary i chory już człowiek miał na tyle odwagi, że do mnie, pętaka, podszedł i powiedział iż prosi o przebaczenie. Nie że przeprasza, ale że prosi o przebaczenie. Zrobiło mi się nieprzyjemnie; poszliśmy znów na wódkę i znów Broniewski mnie korygował aż do chwili kiedy wspólnie straciliśmy przytomność usnąwszy na jednym łóżku, przy czym ja spałem przytulony do niego, jak szczenię do suki. Myślę o nim często; myślałem o nim czytając znakomity esej Miłosza o Gałczyńskim. Czyżby również i Broniewski był poetą dworskim? Mieroszewski napisał o nim, że Broniewski nie miał pojęcia o marksizmie, dialektyzmie, ekonomii i polityce. Komunizm urzekał go stroną malarską — pędzące nań w roku dwudziestym hordy Tuchaczewskiego, piece Magnitogorska, elektrownie na

Włodze, kanał Białomorski w czasie budowy którego straciło życie ileś tam tysięcy; sybirskie bataliony idące na odsiecz Moskwy, mowy wojenne Generalissimusa Stalina w których Stalin swoim twardym i chropawym głosem nakazał narodowi radzieckiemu wojnę świętą i ojczyźnianą — to był komunizm, który interesował Broniewskiego. Inne sprawy go nie interesowały; wybaczył im nawet pobyt w więzieniu ponieważ mógł pisać o tym wszystkim wiersze. Na całe dla mnie szczęście, ludzie nie brali nocnych telefonów Broniewskiego na serio; mogło się to skończyć w sposób dla mnie mało zabawny.

Cóż mi jednak z tego, kiedy ja jestem takim samym Polakiem jak i on? Nie potrafię o nim myśleć inaczej, jak dobrze; nie potrafię przestać czytać jego wierszy; i nie potrafię przestać ich kochać. I kiedy myślę o nim przypomina mi się najgenialniejsza scena śmierci jaką czytałem w „Wojnie i Pokoju” kiedy jeden człowiek umiera a drugi pyta: „I gdzie on teraz jest?” Ja także pytam się siebie: I gdzie on teraz jest? Ten komunista nie znoszący partii; ten bolszewik zdobywający order za dzielność w walce przeciw innym bolszewikom; ten więzień Stalina który chciał uwięzić innego człowieka za to, iż obraził jego oprawcę; ten wielki, nieszczęśliwy poeta i dobry człowiek — gdzie on teraz jest? Czy istnieje dla nas, ludzi, takie miejsce — jak w tej murzyńskiej pieśni — gdzie spotykamy się wszyscy: czyści, dobrzy i bez gniewu. A jeśli spotkamy się tam, to o czym rzeczywiście będzie pisał i w co będzie wierzył?

Marek HŁASKO

(c.d.n.)

© Copyright by „Kultura”. 1965.

Wiersze

SPACER PO CMENTARZU

Pamięci ks. Józefa Wroniszewskiego

Wiatr w złożonych rękach gałęzi
zielony
rozsypany się wiatr
w jego odbitej głębi
umierają nawet kamienie
a odchodzą tak szybko
jak kwiaty
rzucone w zimno białej nocy

Tutaj
drogą wyrzeźbioną w powietrzu
ciężką jak pętla rzeki
przychodzi koniec
płaczące złoto liter
nakrywa krajobrazem ciszy
— ta przynależy bowiem
ziemi obiecanej —
za nią w bezdennych wirach
swoje miejsce słyszysz
w obszarach gdzie Jeremiasz
noc w lamencie łamie

Odchodzą
łagodne zwierzęta ogrodów

*i drzewa broczące w przestrzeń
jak dzwony przez wieże
— teraz jeszcze powrócę
pod natchniony kościół
ale jutro
w tej ziemi odnajdę przymierze*

RYSUNEK BRZOZY

*Brzoza za oknem jest ukłonem wiatru
muzyczną ciszą pod pękniętym dzwonem
Zna mowę nocy z podręcznika kwiatów
otwartą ciepło ponad nieboskłonem
Brzoza za oknem jest śpiewem popiołu
zielonym sznurem rozchylonym w niebo
Czas nim kotysze i kłęka na oczach
rozpogodzoną ostatnią potrzebą*

*Brzoza za oknem...
więc czym jest ta brzoza
w której sklejo no początek i koniec?
Ukłonem wiatru czy pękniętym dzwonem
— sznurem mijania? Nie wiem.*

MOJE MIESZKANIE

*Łagodne są drogi pielgrzyma jak ogród
w ciepłym deszczu za miastem
Cisza kotysze okna
jabłonie proszą rozważa
czy znasz ten zapach przyptywów?*

*Stół żarzy kroplami słońca
w którym wysokie naloty ptaków
rozkotysały horyzont
i wiatr przygasił czas
pod błyszczącą warstwą politury*

Pod ścianą z książek tapczan
— tam zawsze łądzie obłoków —
czytam je w pochyleniu dnia
Stąd naucza mój święty patron

Krzysztof Kamil Baczyński
i Rainer Maria Rilke
stwarza świat w srebrnej wyobraźni
Tutaj wysoki Lechoń u nóg aniołów
nawołuje w zielone liście
o żyzna ziemio samotnych
czemu stawiasz krzyże wybranym?

Jest jeszcze w tym pokoju
sieć i ryby z Jeziora Genezaret
Chodzą za mną w codziennych krzyżach
nim je jutro w inne poniosę miejsce

ESCHATOLOGIA

— nie dostaniesz księżycy
jego ramiona krają ziemię zielono
przez połowę a rzeki
jak jabłko darowane ciszy rąk dziecinnych

— nie dostaniesz litości
bo żelazo w ręku człowieka ma kolor krwi
i zaskakuje cierpieniem
potem śpiewa hosanna

— nie dostaniesz niczego z rzeczy
wcześniej oczy wypali oczekiwanie
i drzewo krzyknie na powiekach
nim podniesiesz się w gwiazdzistych drogach
które ptaki kładą pod skrzydła

ręce rozgotowane na wargach nieba
głębokie jak echo w kamieniu kładę na ołtarz
przyjmij Panie
i wywiedź z mroków milczenia
nim na oczy spadnie czułość miedzi

LIST DO HEBRAJCZYKÓW

Był grudzień. Czterdziesty pierwszy
Wiatr w kałużach roztopiał szkło
W cieniu krzyża
za pnem starej wierzbry
noc uderza w lekliwy głos

Głos był boso
z rękami przy wargach
Żółta gwiazda i łachman przez plecy
Był skomlącą w chorobie skargą
którą tylko
chleb mógł uleczyć

Ale drzwi
nie otwały się chlebem
przerażone
uciekły jak złodziej
Księżyc-żandarm przetoczył się niebem
Łachman odszedł
choć nie odchodził

Teraz pójda złożyć wieniec na grobie
znicz zapalić w mgle listopada
Kości milczą
Krew poszła w ogień
Ludzka pamięć wyciera ślady

JESIEŃ

Chciałbym pisać rzecz o spadłych liściach
rozpalonych u brzegu nocy żółtym echem
Chciałbym otworzyć muzykę co wzbiera
w łańcuchu spinającym przyczynę i skutek

Lecz droga liścia
zamyka się w oczach
i ginie wilgotnym zapachem

*w miękkim wsiąkaniu w piasek
które wiatr przeraża
Czy tutaj poeta przykleknie
aby podnieść granice wieczności?*

*Chciałbym określić wniebowstąpienia gałęzi
obejrzeć każde włókno w którym głowę złożę
póki do moich okien dobija się błękit
i księżyc na jabłoni tnie liść krzywym nożem*

Ks. Bonifacy MIAZEK

Obrazy wnętrza

CI, KTÓRYCH NOC UWALNIA

*Ci, których noc uwalnia, niosą z sobą ciemność.
Idą jak chmury dymów z pogorzelsk.
A gdy przechodzą przez próg horyzontu
Dzień odwraca się do nich plecami jak człowiek.
Przed nimi drzewo poci się i drży,
Cienki kształt liścia ciemnieje od wnętrza.
W korę o skórze pomarszczonych ropuch
Wbiegają z hukiem krople rosy
I wchodzi, zatraskując drzwi, świętojańska noc.
I tylko człowiek będzie biegł i krzyczał,
A za nim dzikie spłoszone zwierzęta —
Odludne sowy, zając z szarej miki
I nagie nietoperze. Ich bezszelestny lot,
Grubo tkany, wtargnie w zadrzewienie nocy
Nim czerwony ząb świtu sny za gardło chwyci.
Ci, których noc uwalnia, niosą z sobą ciemność
I wchodzi w nasze wnętrza skrytymi kruchtami,
By nas, znienacka, nakryć zapomnieniem.*

GDY W NOWYM JORKU UMIERAŁ DYLAN THOMAS

Gdy w Nowym Jorku umierał Dylan Thomas
Padaly razem z nim walijskie drzewa
I wszystkie płaczki zbiegły się na lament.
Śmierć! Śmierć! On, który wszedł zaledwie w życie,
Już kwiatem słowa klaniał się ciemności
Bezradny w swej podróży. Poeta umierał!
O, jakież jady wchodzi w nasze ciało
I zmartwychwstają w jego zgonie?
Chociaż śmierć nad nim nie będzie mieć władzy
Zadnej — świeckiej, ani z krzyżem w dłoni.
Gdy do mnie przyjdzie, nie będę się bronić
Ani uciekać w mój z popiołów świat.
Przeciwnie, położę się twarzą do zenitu
Jak on, i po schodach wyłożonych wiatrami
Wspinać się będę, dochodzić do celu,
'And death shall have no dominion'
Nad nami!

OD RAZU NAS WPROWADZA...

Robertowi Lowellowi
autorowi 'For the Union Dead'

Od razu nas wprowadza, jesteśmy u siebie!
Podobny do płomienia który wolno wstaje,
Rzeźbiony palcami tlenu. Jak obraz miasta
Otoczonego wzgórzem, nad morską zatoką
Do której fale wnoszą swoje instrumenty,
Tak jego słowo mówi różnymi głosami.
Jest w nich asceza, jest klasyczny kształt,
Strusie przestrzenie, biała przyzba piany
I pracowita ewangelia rąk.
Człowiek jego przechodzi przez zasieki lat,
Uprząta gruzy, buduje z rozsądkiem.
W niedzielę robi rachunek sumienia
Uprawną w polu zielenią, wyoraną bruzdą,
Jakby był sam ciosany z kamienia historii,
Jakby łączył czasy i piękno natury

Widział okiem Homera. Jakby w nim Tacyt
Pisał naszą historię. Stawił rytm.
Tak on od razu wprowadza nas w słowo
W jego zgęszczone mocne tkanki.
Łukiem do brwi podobnym spiętrza samogłoski
I zdaniom każe spadać jak wodospad
Pod którym obraz gniazdo swoje wije.

TAKA CISZA, JAKA CISZA WE MNIE?

Taka cisza, jaka cisza we mnie?
Taka cisza, że od warg odrasta.
Twardsza chyba od ciszy po burzy,
Pączkującej z ludzkiego podszycia.
Taka cisza, jak pełnia w naturze —
Wiatr gdy miota dzwonnica drzewa,
Gdy układa wzorzyste rośliny,
I w kryształach łupie krople jasne.
Taka cisza, co liście całuje
I o życiu im mówi. Cisza pszczoł,
Które w pracy szukają wytchnienia.
Taka cisza, że całe powietrze
Jakby ze mnie początek swój brało
I mówiło moimi wierszami.
Taka cisza, że nim się obejrzyś
Jesteś jej ułem i witrażem,
I nie możesz z niej wyjść jak z ubrania.

JAK ONE ROSNĄ, TE MILCZĄCE DRZEWA

Jak one rosną, te milczące drzewa
I jakie piękne są, piękniejsze niż człowiek?
Jednym ruchem, jednym liściem potrafią wyśpiewać
Więcej niż mówi tła ludzka u powiek.
W jakim napięciu są ich nagie ciała
Oczekujące jak matka na syna.
A kiedy giną, giną dumnie
Twarde jak granit, odporne jak bursztyn.
Jak owoc w nich dojrzewa samodzielnie,
W ciemnych komorach, pod suchą warstwą kory.
O, jakie piękne są drzewa w jesieni!
A człowiek jaki smutny i jaki upiorny.

CO POZOSTAŁO NAM, KTÓRZYŚMY PRZESZLI

*Co pozostało nam, którzyśmy przeszli,
Więcej niż piekło dantejskie — bo piece?
Co pozostało w nas nie dopalone?
W czyścicu, co przeszło przez igielne ucho?
Co zdruzgotane leży po dziś dzień?
Po jakiej drodze przyjdzie nam iść teraz,
I w którą stronę patrzeć dojrzałą pamięcią?
Kogo mam szukać, żywych czy umarłych?
Oni wciąż przy mnie, wchodzą w moje sny,
Cisną na wargi, zamieniają w słowa
I mówią do nas jak do urn z popiołem.
Tym bardziej żywi, im bardziej umarli.
A my, słuchamy — ziarna na dnie morza —
Nieobecni dla siebie, a obecni dla nich.*

DLA MOICH ZWIĘZŁYCH SŁÓW

*Im większa groza narasta na słowa,
Im ciemniej w dzień, tym noc jest przystępniejsza,
Ścieżka o świcie, jakby makiem siął
Dla moich związanych słów. Ich stanu milczenia.*

ŻADNE GRUZY NIE SĄ TAK WSTRZĄSAJĄCE

*Żadne gruzy nie są tak wstrząsające
Jak martwy wiersz. Poeta
Odgradzony od słowa
Pozostawi po sobie
Tylko krzyk papieru.*

MOZART

*Ptakom otwiera głosy on.
Drzewom eliksir wlewa w zieleń.
W sonacie jest jak anioł, który
Wie że aniołem jest i nie wie.*

CO ZE MNIE POZOSTAŁO

*Co ze mnie pozostało?
Co ze mnie uciekło?
Czy to co pozostało?
Czy to co uciekło?*

KRZYCZEĆ? ACH, PO CO?

*Krzyczeć? Ach, po co? Wśród martwych przedmiotów,
Najbardziej martwy, jest najbardziej żywy.
Jak kropla kiedy wchodzi w pień tłustego drzewa,
I miłość dziecka w obfitą pierś matki.
Gdy ptak powietrze żłobi i gdy wzbiera liść,
Ich ruchy są jak dłuto mojej wyobraźni.
Wszystko, ach wszystko czeka w uniesieniu,
Kiedy wargami zbliżam się do słowa.
Krzyczeć? Nie, milczeć i obole też
Włuskiwać słowem w ziarna ziemi.
Iść wygonami pól odartych z pieszczot,
Drzew które wiosna opinała kwiatem,
I lato narzucało na nie syte blaski.
Tak, wczoraj jeszcze sady kipsały owocem —
Dziś tylko we mnie pozostał ich kształt.*

Wacław IWANIUK

Rosja między Europą a Azją

Swego czasu Chruszczow ogłosił, że Rosjanie wynaleźli „broń absolutną”. Nigdy nie podano żadnych szczegółów na ten temat lecz według relacji korespondentów zachodnich — Chruszczow miał na myśli super-bombę atomową o potencjale przekraczającym 150 megatonów. Tego typu super-bomba umieszczona w odpowiednio obliczonej orbicie — miała powodować „burzę ogniową” na przestrzeni tysięcy kilometrów kwadratowych. Nie jest istotne czy Rosjanie posiadają apokaliptyczne super-bomby czy nie — istotne natomiast jest, że polityki światowej nie da się robić w oparciu o broń, których *de facto* nie można bezpiecznie użyć. Paradoks sytuacji polega na tym, że nie super-bomba lecz *super-schron* stanowiłby dopiero prawdziwy przewrót w strategii nuklearnej. Tylko mocarstwo całkowicie zabezpieczone przed atomową „burzą ogniową” — mogłoby innym zagrażać swoimi super-bombami.

Przed kilku tygodniami w prasie zachodniej ukazała się wiadomość, że Sowiety rozbudowują na wielką skalę ośrodki szkolenia piechoty morskiej (*marines*). Broniami atomowymi można grozić, lecz nie można niczego okupować. Lekcja wietnamska nie poszła w las. Amerykanie wykazali swoim przyjaciołom i przeciwnikom, że są potęgą światową nie tylko w teorii lecz i w praktyce. Waszyngton zademonstrował również, że jest gotów bronić swojej polityki światowej choćby za cenę nowych amerykańskich cmentarzy wojennych na obcych, dalekich lądach. Wietnam jest rewią nieporównanej organizacji i planowania jak również wystawą najnowocześniejszego sprzętu wojennego. Lecz ani wrogowie ani przyjaciele Stanów Zjednoczonych nigdy nie wątpili w technologiczne i organizacyjne uzdolnienia Amerykanów. Wątpiono natomiast — i to nie tylko w Pekinie i w Moskwie — w gotowość Amerykanów do płacenia za swą politykę nie tylko dolarami, lecz i krwią swoich żołnierzy.

Rosjanom nie brak ani patriotyzmu ani żołnierskich cnót. Lecz by móc zaangażować niemal 200 tysięczną armię za oceanem — nie

wystarczają patriotyzm i cnoty żołnierskie. Trzeba mieć dynamiczną gospodarkę i nieograniczone wprost środki finansowe. Rosji nie brak złota — lecz rosyjskie złoto potrzebne jest na zakup pszenicy. Najważniejszym jednak elementem potęgi nie są ani złoto ani technologia, tylko ład społeczny. Rząd danego mocarstwa podejmujący kosztowną wojnę musi się cieszyć całkowitym zaufaniem swojego społeczeństwa. Dyktatorzy nigdy nie cieszą się zaufaniem społeczeństwa i dlatego jakakolwiek wojna stanowi dla nich podwójne niebezpieczeństwo. Nie można bowiem prowadzić wojny przeciwko własnemu społeczeństwu i przeciwko obcemu wrogowi. Wyjątek stanowią wojny czysto obronne lecz i wówczas dyktatorzy kupują poparcie społeczeństwa koncesjami. W czasie najazdu hitlerowskiego partia — chcąc zapewnić dostawy żywności dla armii na frontach i dla miast — obiecywała chłopom zniesienie po wojnie kołchozów w Związku Sowieckim.

Zarówno Wietnam jak i zatarg indyjsko-pakistański wykazały rosnące znaczenie broni konwencjonalnych. Pekin mógł słusznie wnioskować, że w razie chińskiej interwencji — Waszyngton pod naciskiem opinii światowej nie zdecyduje się na użycie broni atomowej. W Pekinie wiedzą jednak doskonale, że Amerykanie dysponują tak wspaniałą konwencjonalną maszyną wojenną — że zniszczenie chińskich zakładów atomowych w sposób ściśle konwencjonalny nie przedstawiałoby dla Pentagonu najmniejszych trudności.

O bagnetach Napoleon wyraził się, że można z nimi wszystko zrobić lecz nie można na nich usiąść. Na broniach atomowych można usiąść — jeżeli są dobrze zabezpieczone w schronach podziemnych — natomiast nie można użyć ich jako bagnetów. Być może Amerykanie nie górują dzisiaj nad Związkiem Sowieckim jeżeli za miernik przyjąłoby się potencjał mierzony w megatonach. Lecz Amerykanie górują nad Sowietami różnorodnością *delivery system* — co decyduje o wszystkim. W sumie, tak system operacyjny broni nuklearnych jak i arsenał broni konwencjonalnych zależą od technologii. Technologia zależy od sprawnie funkcjonującej gospodarki narodowej. Fundamentem sprawnie funkcjonującej gospodarki narodowej jest ład społeczny.

Cam Ranh Bay leży około 200 mil na północny wschód od Sajgonu. Sądzę, że od czasów Marco Polo do lipca br. nic się nie zmieniło na piaszczystych plażach zatoki. W chwili obecnej 10 tysięcy amerykańskich inżynierów, saperów i specjalistów buduje w Cam Ranh bazę i port dla oceanicznych statków. W najbliższym czasie przypłynie do Cam Ranh gotowe nadbrzeże długości 400 stóp. Będzie to jedna z największych holowniczych operacji w dziejach żeglugi. Gotowe nadbrzeże przyholują z południowej Karoliny poprzez Pacyfik specjalne oceaniczne holowniki. Baza i port będą gotowe za rok. Magazyny podziemne w Cam Ranh, gdy zostaną wykończone, będą zdolne pomieścić zapasy potrzebne do żywienia armii amerykańskiej w Wietnamie przez półtora miesiąca.

Wybrałem przykład portu i bazy w Cam Ranh — ponieważ

Cam Ranh znakomicie ilustruje rozmach amerykańskiej strategii azjatyckiej. Amerykanie nie budują niczego w Azji na rok ani na dwa. Wiele projektów, obecnie w stanie budowy, gotowych będzie za 5 lat. Stany Zjednoczone są dziś wielkim mocarstwem azjatyckim i zamierzają nim pozostać.

Pomiędzy Pakistanem na Zachodzie, Japonią na północy, a Indonezją na południowym wschodzie, rozciąga się obszar azjatycki zamieszkały przez ponad 1,5 biliona ludzi. Przed drugą wojną światową istniały tylko cztery niepodległe państwa azjatyckie — dziś cyfra ta podniosła się do 16. W Europie mamy tylko jedno państwo „podwójne” a mianowicie Niemcy. W Azji natomiast mamy dwie Republiki Chińskie, dwa Wietnamy i dwie Republiki Koreańskie.

Nie trzeba być specjalistą od zagadnień azjatyckich, by dożyć główny problem. Wystarczy dokładnie przestudiować mapę. Na obszarach Chin komunistycznych, północnej Korei i północnego Wietnamu — żyje około 750 milionów ludzi. To jest „wschodnia Europa” Azji. W nie-komunistycznej części Azji żyje około 870 milionów ludzi na łącznej przestrzeni nieco mniejszej niż powierzchnia Stanów Zjednoczonych. Lecz łączny dochód narodowy wolnej Azji wynosi tylko jedną piątą *gross national product* Stanów Zjednoczonych. O ile wolna zachodnia Europa jest wysoko uprzemysłowiona i bogata — o tyle azjatycka „zachodnia Europa” jest biedna.

W teorii zadania polityki amerykańskiej w Azji są podobne jak w Europie. A więc powstrzymanie ekspansji komunistycznej, podniesienie stopy życiowej, rozbudowa i umocnienie instytucji demokratycznych oraz stworzenie systemu równowagi sił *vis à vis* Chin. W Europie zachodniej analogiczny program przyniósł rezultaty po kilkunastu latach. W Azji to są zadania obliczone na dziesiątki lat.

Można by w tym miejscu zadać pytanie: jeżeli możliwe było w Europie ułożyć się z Rosją i wykreślić linię podziału wpływów — dlaczego nie można by podobnie ułożyć się z Chinami? Trzeba tylko uznać Chiny — tak jak uznajemy Rosję Sowiecką i doświadczenia zdobyte w Europie zastosować w Azji. Bardzo poważni publicyści i politycy po obu stronach Atlantyku wysuwają tego typu koncepcje.

Wyobraźmy sobie jednak następującą sytuację. Związek Sowiecki domaga się ewakuacji Amerykanów z całej Europy, likwidacji NATO i baz wojskowych. Rosja nie uznaje rządu w Bonn i domaga się wcielenia Niemieckiej Republiki Federalnej do NRD.

Rzeczywista sytuacja w Azji przedstawia się znacznie gorzej niż imaginacyjny układ w Europie opisany powyżej. Nie brak jednak wybitnych skąd inąd pisarzy politycznych, którzy przyznają, że sytuacja w Azji jest fatalna i właśnie z tej przyczyny doradzają generalny odwrót. Charakterystyczną dla tej kategorii poglądów była wypowiedź prof. Richarda Lowenthala na łamach „Encounter’a”, który doradzał Amerykanom nie tylko wycofanie

się z Wietnamu lecz porzucenie polityki *containment* w stosunku do Chin. Amerykanie — zdaniem zachodnio-berlińskiego profesora — winni skupić się na problemie Europy, która mimo wszystko jest najważniejsza.

Czy istotnie jest najważniejsza? Dla kogoś mieszkającego w zachodnim Berlinie, Europa jest oczywiście najważniejsza. Lecz dla tysięcy rodzin amerykańskich, których ojcowie i synowie polegli na Pacyfiku — Europa z całą pewnością nie jest najważniejsza. Największą klęskę w dziejach Stanów Zjednoczonych zadali Amerykanom w Pearl Harbour nie Europejczycy, lecz Azjaci.

Amerykanie nie są imperialistami — innymi słowy, celem ich polityki nie jest podbój tylko bezpieczeństwo. Bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych nic nie zagraża ze strony Europy. Pozycja Rosji Sowieckiej w ostatnim okresie uległa wybitnemu osłabieniu. Rosjanie w całej Azji tracą grunt na rzecz Chińczyków a na polu polityki międzynarodowej ponoszą jedno niepowodzenie za drugim. Związek Sowiecki jest w defensywie i w niczym nie zagraża bezpieczeństwu ani Europy zachodniej ani Stanów Zjednoczonych.

Polityka *containment* przyniosła w Europie rezultaty dzięki pomocy gospodarczej i rozbudowie sił sojusznich. To jest pogląd ogólny i klasyczny. Z polskiej strony należy dodać, że polityka *containment* przyniosła rezultaty, ponieważ porzucono politykę „wyzwolenia” i pogodzono się z utratą wschodniej Europy.

W Azji jednak nawet kompromisowy układ nie jest w tej chwili możliwy. Pekin nie jest zainteresowany w kompromisie tylko w zwycięstwie. Chińczycy domagają się oddania Formozy. Można być sympatykiem Czang Kai-szeka lub nie — faktem natomiast jest, że rząd narodowych Chin dysponuje 650.000 armią — największą, najlepiej wyszkoloną i wyposażoną jednostką wojskową na obszarach wolnej Azji.

Ktoś powie „sprzedali” wschodnią Europę dla ustalenia *modus vivendi* z Rosją Sowiecką — dlaczegóż nie mogą „sprzedać” Formozy dla ustalenia *modus vivendi* z Chinami? Gdyby lista żądań chińskich ograniczała się tylko do Formozy — cynicznie i realistycznie usposobiony polityk mógłby taką ewentualność brać pod uwagę. Lecz Chińczycy domagają się nie tylko Formozy. Domagają się ewakuacji Amerykanów z całego zachodniego Pacyfiku i z całej wolnej Azji.

Zwolennicy *appeasement'u* argumentują, że Chińczycy są militarnie słabi, działają tylko poprzez „5-te kolumny” i przez najbliższe pół stulecia nie wydobędą się z kryzysów gospodarczych. Jeżeli istotnie tak jest, Stany Zjednoczone mają przed sobą 50 lat, by pomóc wolnej Azji stanąć na własnych nogach.

Wreszcie punkt ostatni — Japonia. „Cudowi gospodarczemu” Japonii towarzyszą różne inne „cuda”. Wyższe wykształcenie, dostępne dawniej tylko dla elity, jest dziś niemal powszechne. Jedynie Stany Zjednoczone i Izrael posiadają wyższy procent młodzieży na uniwersytetach niż Japonia. W dziedzinie wyposażenia

elektrycznego — telewizja, lodówki, telefony, pralki i td. — Japonia stoi na drugim miejscu bezpośrednio po Stanach Zjednoczonych. Japończycy są narodem ciułaczy. Oszczędzają co roku 30 % dochodu narodowego i w tej dziedzinie, jak w dziesiątkach innych, są całkowicie bezkonkurencyjni. Studiując statystyki japońskie Wschodnio-Europejczyk może pozielenić z zazdrości. Ten naród w 20 lat po bezprzykładnej klęsce — dosłownie dościga Amerykę.

Japonia jest oknem wystawowym amerykańskiej „ideologii sukcesu” w Azji. Jak słusznie zauważył Temple Wanamaker w swej doskonałej książce „American Foreign Policy Today” — Japonia w przeciwieństwie do Niemiec jest w całości „produktem amerykańskim”. W Japonii nie było sojuszniczych stref okupacyjnych, nie było wojsk sowieckich — tylko jednolity wpływ amerykański.

Podobnie jak w Polsce czy w Niemczech wschodnich również i w Japonii z inicjatywy amerykańskiej przeprowadzono reformę rolną. Lecz rezultaty owych reform jakże są różne! Po 20 latach od zakończenia wojny rolnictwo japońskie wysunęło się na pierwsze miejsce i pod względem uprawy, mechanizacji i wydajności stoi wyżej niż rolnictwo w Stanach Zjednoczonych.

Japonia wydaje poniżej dwóch procent dochodu narodowego na zbrojenia. Artykuł IX Konstytucji z roku 1947 postanawiał, że Japonia nie będzie utrzymywać sił zbrojnych lądowych, morskich ani powietrznych. W następnych latach przepis ten został zmieniony i dziś Japonia — zgodnie z nowym artykułem konstytucji może posiadać siły zbrojne „konieczne do obrony”.

Japonia wydobywa się wolno z szoku Hiroszimy i z pacyfistycznej reakcji która nastąpiła po katastrofie. W przyszłym azjatyckim systemie „równowagi sił” — Japonia, sojusznik Stanów Zjednoczonych, z całą pewnością odgrywać będzie czołową rolę. Lecz gdyby dziś Amerykanie całkowicie wycofali się z Azji nad przyszłością Japonii zawisłby ponury znak zapytania. To samo dotyczy Indii, które prawdopodobnie uległyby rozpadowi.

Niewątpliwie jest rzeczą możliwą doprowadzić do podobnego układu w Azji jak w Europie. Amerykanie przekonali Rosjan, że w Europie przesunięcie „żelaznej kurtyny” o jeden kilometr na Zachód byłoby wstępem do trzeciej wojny światowej. Chińczycy, w przeciwieństwie do Rosjan, nie są przekonani. Trzeba ich dopiero przekonać.

Pacyfik i Azja posiadają podstawowe znaczenie dla Stanów Zjednoczonych. Do czasu pierwszej wojny światowej system kolonialny a przede wszystkim letarg Chin — zapewniały stabilizację tej części świata. Jak słusznie zauważył Sinarayan Ray (z uniwersytetu w Melbourne) w jednej ze swych prac — Chiny przypominają obecnie hitlerowskie Niemcy z lat trzydziestych. Pekin z przesłanek ideologicznych wywodzi poczucie swej wyższości i jest pewien zwycięstwa. Chińczycy zorganizowali totalne państwo i dysponują liczebnie potężną armią. Ich sieć szpiegowska i aparat dywersyjny należą do najlepszych na świecie. Kto może

w Azji oprzeć się tej potędze? W grę wchodzi tylko dwa mocarstwa, tzn. Indie i Japonia. Indie są uwikłane w spór z Pakistanem, a Japonia — jak pisze S. Ray — wyżej ceni handel niż bezpieczeństwo. Pozostaje tylko Ameryka.



Oś światowego konfliktu przesunęła się z Europy do Azji. Stany Zjednoczone są tak potężne, że mogą być równocześnie aktywne tak w Europie jak i w Azji. Osobiście sędzę jednak, że punkt ciężkości zaangażowania Stanów Zjednoczonych będzie się coraz wydatniej przesunął w Atlantyku na Pacyfik, z Europy do Azji.

Przywódcy w Moskwie muszą sobie zdawać sprawę, że jeżeli amerykańska polityka *containment* w stosunku do Chin okaże się skuteczna — jeżeli w konsekwencji Waszyngtonowi powiedzie się z czasem objąć siecią układów tzw. „wolną Azję” (870 milionów ludzi) — wówczas Stany Zjednoczone staną się obok Chin i Japonii największą potęgą azjatycką.

Teżą niniejszego artykułu jest pogląd, że w najbliższych dekadach Amerykanie wyprą Rosjan z Azji i nie dopuszczą ich do Afryki.

Pozornie może się wydawać, że Amerykanie powstrzymując Chińczyków „pracując za Rosjan” utrzymują bowiem w ryzach ich zdecydowanego wroga i konkurenta. W rzeczywistości jednak Amerykanie pracują dla siebie — budują bazy i porty dla siebie — i jeżeli powiedzie im się zorganizować kiedyś nowy system równowagi sił w Azji — to ów system będzie się opierał na Stanach Zjednoczonych i Chinach a nie na Rosji. Chiny przyjmą z czasem analogiczną postawę w stosunku do Ameryki w Azji — jaką przybrała Rosja w stosunku do Stanów Zjednoczonych w Europie. Oczywiście ewolucja po tych liniach trwać będzie lata a może dziesiątki lat.

Wyparcie Rosji z Azji zagraża bezpośrednio jej statusowi światowego mocarstwa. Potencjał atomowy nie gwarantuje pozycji super-mocarstwa. Potęga światowa — jak Stany Zjednoczone — musi być wszędzie obecna i zawsze gotowa poprzeć swą politykę pieniędzmi i siłą.

Rosja ma przed sobą tylko dwie drogi. Albo będzie musiała pogodzić się z utratą pozycji super-mocarstwa — albo polityczną klęskę w Azji wyrówna sukcesem w Europie.

Mimo wielkiej sympatii dla Francji nigdy nie wierzyłem w powodzenie jej misji zjednoczeniowej. Zjednoczyciel musi być potężniejszy od tych, których pragnie zjednoczyć. Tylko Europa po Ural w dosłownym tego słowa znaczeniu — a więc Europa, której organizacyjna struktura obejmowałaby Rosję i kraje wschodnio-europejskie — byłaby politycznie i gospodarczo całkowicie niezależna od Ameryki. Tych wymiarów Europę może stworzyć tylko Rosja a nie Francja.

Trudności w zorganizowaniu Europy po Ural są gigantyczne,

lecz nie większe od trudności z jakimi przyjdzie się borykać Amerykanom w Azji w najbliższych dziesięcioleciach. Przede wszystkim Rosjanie musieliby w pełni zrozumieć, że są narodem europejskim i że Rosja może odbudować swój topniejący status super-mocarstwa tylko w Europie, tzn. stając się czołową potęgą w koncercie państw europejskich.

Jeżeli Rosjanie tego nie rozumieją, zachodnia Europa pozostanie w orbicie wpływów amerykańskich wywierając magnetyczny wpływ na kraje satelickie. Rosja wyparta zarówno z Azji jak i z politycznego układu Europy — nie miałaby żadnej szansy utrzymania imperium satelickiego. Nie będąc mocarstwem ani azjatyckim ani europejskim Związek Sowiecki cofałby się stopniowo na punkt startu, tzn. do izolacji z lat trzydziestych. Hegemonem Europy byłiby Niemcy, sojusznicy Stanów Zjednoczonych.

Rosja przegrywa w Azji na korzyść Chin. Jednak stawką w konflikcie z Chinami jest i Europa. Rosjanie nie tracą Europy na rzecz Chińczyków lecz nie staną się nigdy członkiem europejskiej wspólnoty dopóki sporu z Chinami nie rozegrają zwycięsko *u siebie w domu*. Co to oznacza? Oznacza to, że nie wystarczy piętnowanie stalinizmu i dogmatyzmu w Pekinie, jeżeli zarówno stalinizm jak i dogmatyzm uprawia się w Moskwie.

Surowcem procesu historycznego jest czas. Rosjanie tego surowca mają bardzo niewiele. Muszą zeuropeizować się szybciej niż Amerykanie uładzą wolną Azję.

W najbliższych dziesięciu latach „rządy starców” w Chinach dobiegną kresu. Do steru dojdą technokraci, z którymi porozumienie będzie niepomierne łatwiejsze. Technokraci wiedzą, że Ameryka nie jest papierowym tygrysem i że należy się z nią ułożyć. W czasokresie dziesięciu czy 15 lat pozycja Stanów Zjednoczonych w Azji ulegnie poważnemu wzmocnieniu i wówczas Waszyngton będzie miał możliwości i środki całą swą inicjatywę ześrodkować powtórnie na Europie. Jeżeli Rosja w tym okresie nie będzie dostatecznie zeuropeizowana by zająć jedno z czołowych miejsc w koncercie państw Europy — utraci historyczną szansę.

Czasem jest celowe uprościć problem, nawet ryzykując pewną deformację. Upraszczając w ten sposób zagadnienie sowieckie można powiedzieć, że Rosja jest za mało stalinowska jak na stosunki azjatyckie a zbyt stalinowska jak na stosunki europejskie. Jest zbyt azjatycka dla Europy a zbyt europejska dla Azji. Rosja tylko wówczas odniosłaby prawdziwe zwycięstwo nad Chińczykami gdyby azjatycko-stalinowskiemu komunizmowi chińskiemu przeciwstawiła anty-dogmatyczny komunizm europejski.

W Rosji od czasów Chruszczowa głośno jest o zbuntowanych pisarzach, malarzach, filmowcach. Tym razem nie chodzi o żadną „odwilż”. To kultura europejska walczy w Związku Sowieckim o prawo obywatelstwa. Od tej walki będzie zależało wiele — być może wszystko. W chwilach kryzysów i konfliktów pisarze a nie biurokraci wyczuwają — nie bójmy się tego górnie brzmią-

cego słowa — przeznaczenie swego narodu. Przeznaczeniem Rosji jest Europa. Rosja będzie kiedyś europejska i potężna — albo skarleje w cieniu Stanów Zjednoczonych, Chin i niemiecko-amerykańskiej zachodniej Europy.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

LITERACKIE „STATUS SYMBOLS” I COŚ WIĘCEJ

Notatką o „Literaturze Polskiej na Obczyźnie” w numerze listopadowym — ściągnąłem na siebie gromy i telefony. „Jak to?” — brzmi w słuchawce oburzony głos — „pan pochwalił drugi tom Literatury a Zetowskiego nawet nie wymienili?” „A co zrobili z panem, panie Londyńczyk? Przy pańskim nazwisku jest zaledwie 55 odsyłaczy. Terlecki ma ich 348! Więcej niż Wierzyński, Miłosz, Gombrowicz, Szekspir i Sofokles. Czy to jest w porządku?”

Faktem jest, że gdyby ilość odsyłaczy przy danym nazwisku (w indeksie przy końcu tomu II) uznać za obiektywny wskaźnik pozycji i statusu — wówczas należałoby stwierdzić, że Tymon Terlecki jest najwybitniejszym pisarzem jakiego wydał naród na przestrzeni ostatnich 150 lat. Z innych podręczników historii literatury wiadomo jednak, że obok Tymona Terleckiego, którego osobiście niezmiernie cenię — w drugiej połowie XX wieku mieliśmy jeszcze kilku innych wybitnych pisarzy.

Zdumiewająca jest owa wiara w odsyłacze. Można figurować we wszystkich encyklopediach, leksykonach, słownikach, podręcznikach literatury i być miernotą. Na ogół o „odsyłacze”, o członkostwo Pen Clubów, o życiorysy w słownikach — najusilniej zabiegają pisarze niepewni swego statusu. Tym panom potrzebne są symbole, by złagodzić ich „kompleks niedopieszczania” — jeżeli wolno posłużyć się obrazowym terminem ukutym przez Marię Danilewiczową.

Z encyklopediami w sowieckich i polskich warunkach bywa bardzo rozmaicie. Kilka lat temu śp. Dr Stanisław Lam przygotowując materiały do „Podręcznej Encyklopedii Powszechnej” — przysłał mi obszerny kwestionariusz z uprzejmym listem. Kwestionariusz wypełniłem i odesłałem również z uprzejmym listem, wszystko ściśle w terminie podanym przez Dr. Lama. Encyklopedia ukazała się w pięknej szacie graficznej lecz w mojej grupie literowej kończy się na Mierosławskim Ludwiku. Mieroszewski Juliusz — *no person*.

Cóż się okazało? Ostateczną korektę przeprowadzał pewien pan, śmiertelny wróg Czesława Miłosza i paryskiej „Kultury”. Ponieważ jestem

londyńskim korespondentem „Kultury” i w tzw. sprawie Miłosza odegrałem przed laty pewną rolę — pan korektor postanowił zemścić się i w ostatnim momencie wykreślił mnie z arkusza przeznaczonego do druku.

Korektor w cytowanym wypadku postąpił jak typowy „symbolista”. Wyobrażał sobie bowiem naiwnie, że robiąc ze mnie *no person* (w odniesieniu do encyklopedii Dr. Lama) — pomniejszy mój status jako publicysty. W rzeczywistości jednak jest zupełnie obojętne czy się jest czy się nie jest wymienionym w takiej czy w innej encyklopedii. Legitymacją pisarza czy publicysty są wyłącznie jego książki i artykuły — nie poza tym.

W sumie Londyńczyk nie figuruje w żadnej polskiej encyklopedii, ani krajowej ani emigracyjnej. Jestem niestranny zarówno dla stalinowców krajowych jak i dla stalinowców *à rebours* emigracyjnych.

W ubiegłym roku otrzymałem kwestionariusz z uprzejmym listem od redaktora jednej z największych encyklopedii świata — „Der Grosse Brockhaus” Wszystko wypełniłem i wysłałem w terminie i ufam, że nikt mnie nie skreślił.

Specjalny rozdział historii literackich *status symbols* stanowią nagrody. Z wszystkich nagród najwyżej ceniona jest Nagroda Nobla. Gdy Camusowi przyznano Nobla — Sartre zauważył: „ależ oczywiście to instytucja dla niego stworzona”. Gdy przyszła kolej na niego — Sartre odmówił przyjęcia nagrody ze względów „ideologicznych”. Natomiast Szołochow nie miał skrupułów ideologicznych ani żadnych innych i przyjął Nobla „z wdzięcznością”.

Szołochow był zawsze dobrze z tymi, którzy są przy władzy. Był kolejno pupilem Stalina i Chruszczowa a dziś jest wiernym obrońcą linii politycznej Breżniewa i Kosygina. Gdy przyznano Nagrodę Nobla Pasternakowi Szołochow atakował zjadliwie nie tylko autora „Dr. Żiwago” lecz i „burżuazyjną instytucję” przyznającą nagrodę. No ale szwedzcy mandaryni dostrzegli swój błąd i nagrodzili Szołochowa — gwiazdę reżymu.

Uwieńczenie Szołochowa nastąpiło w chwili aresztowania w Moskwie A. Siniawskiego i J. Daniela. Pod ich adresem jak również pod adresem kilku innych pisarzy — wysunięto identyczne zarzuty jakie generalna prokuratura warszawska wysunęła uprzednio pod adresem grupy pisarzy polskich z Catem Mackiewiczem na czele. Rzekomo dopuścili się niestychanej zbrodni przesyłając zagranicę swe utwory. Oczywiście w oczach Kosygina i Gomułki nie może być większej zbrodni niż obejście komunistycznej cenzury. „Wolność jest niewolnictwem” głosił slogan orwellowski i kto tego nie rozumie należy go zamknąć w „Sali nr 7”. Siniawski był przyjacielem Pasternaka i Achmatowej i jest bożyszczem młodzieży uniwersyteckiej.

Jak się dysponuje policją można pisarzy zamykać, względnie wystawiać im „wariackie papiery”. Lecz pogrobowcom stalinizmu będzie z każdym miesiącem trudniej przekonywać młodych, że wolność i kultura europejska to niewolnictwo.

Na wschodzie Europy od Wisły po Ural najwyższym *status symbol* pisarza jest *więzienie*. Płynie to stąd, że w odczuciu szerokich mas czytelników — pisarz w istotnych sprawach nie powinien milczeć.

Szołochow, gdy w Sztokholmie decydowała się jego nagroda, polował na dzikie gęsi. Rosja sowiecka jest olbrzymią i posiada wspaniałe rezerwy dziewiczej przyrody. Sowiecki pisarz może uciec z przemysłowego miasta i odciąć się od społeczno-politycznej problematyki Moskwy czy Leningradu.

Może opisywać Kozaków Dońskich, życie pionierów na dalekiej północy i czerpać garściami z pokładów rosyjskiej egzotyki. Jeżeli ma talent i kulturę może pisać wspaniałe książki. Jeżeli ma jeszcze łut szczęścia — może dostać Nagrodę Nobla.

Jednak doświadczenie uczy, że w warunkach polskich czy rosyjskich, w warunkach państwa totalnego i policyjnego — pisarz nie może uciec z głównego pola walki i równocześnie zachować biały pióropusz. Można pisać o kulturze antycznej jak Jan Parandowski lub wyprodukować monumentalne dzieło o Ciceronie jak Kazimierz Kumaniecki. Lecz pewnego dnia wybucha sprawa 34. Wówczas biały pióropusz można zachować tylko za cenę złożenia podpisu. Parandowski wycofał swój podpis — dostał nagrodę państwową lecz stracił uznanie wśród kolegów pisarzy i w kręgach inteligencji krajowej.

Ani dzikie gęsi, ani cichy Don, ani kultura antyku — w państwie totalnym nie stanowią dla pisarza bezpiecznej oazy. W gruncie rzeczy w państwie totalnym pisarz nie może uciec przed odpowiedzialnością — może ją tylko zdradzić.

Owe problemy występują ze szczególną jaskrawością w Związku Sowieckim, i w państwach satelickich — ponieważ nigdzie na świecie pisarz nie ma tak istotnej misji do spełnienia jak w bloku wschodnim.



Pisarz polski czy sowiecki, który drukuje swoje książki zagranicą popełnia „zdradę”. Gdy zachodni komunista po dłuższym pobycie w Sowietach występuje z analogiczną krytyką wszystko jest w porządku. Komuniści zachodnio-europejscy korzystają ze specjalnej „taryfy ulgowej”. Oczywiście komunista włoski jeżeli napisze książkę polityczną przedkłada tekst cenzurze partyjnej. Lecz kierownictwo włoskiej partii komunistycznej nie może nikogo wysyłać do łagru czy zamknąć w „Sali Nr 7”. W ostateczności autor może wystąpić z partii i ogłosić swą książkę nakładem jednej z nie-komunistycznych firm wydawniczych.

Niedawno ukazała się książka pt. „Po Chruszczowie”, włoskiego pisarza komunistycznego Giuseppe Boffa. Autor pracował przeszło 10 lat w Moskwie jako korespondent zagraniczny i w wielu wypadkach góruje nad zachodnimi sowietologami intymną znajomością świata komunistycznego.

Boffa zbliża się do poglądu, którym zamknąłem mój artykuł w bieżącym numerze „Kultury” („Rosja między Europą a Azją”). Włoski komunista sądzi bowiem, że Rosjanie nie są w możności odeprzeć przekonująco zarzutów chińskich — ponieważ wzdragają się „odchińszczyć” tzn. konsekwentnie odstalinizować swój ustrój.

Boffa zwrócił również uwagę na paraliżujący wpływ cenzury na stosunki pomiędzy „bratnimi krajami socjalistycznymi”. Oto charakterystyczne fragmenty książki „Po Chruszczowie” w przekładzie Włodzimierza Sznarbachowskiego:

„Międzynarodowy ruch robotniczy chce znać prawdę o historii Związku Sowieckiego. Bez poznania tej prawdy nie można zwalczać ani też chińskich ani stalinizmu. Nie można też w ogóle rozumieć tego co się dzieje w Związku Sowieckim. Od szeregu lat poziom

studiów na temat historii sowieckiej osiągnął na Zachodzie — szczególnie w Ameryce i Anglii — stopień niezwykle wysoki. Dawniejsze oczernianie i propagandę zastąpiono tam obiektywnymi opracowaniami, powstały wyspecjalizowane ośrodki, w których miejsca dawnych emigrantów zajmują młodzi niezacietrzewieni uczeni. Kto dzisiaj — nawet wśród komunistów — chce więc poznać obiektywnie historię sowiecką zwraca się przede wszystkim do opracowań powstałych na Zachodzie. Propaganda sowiecka krzyczy, że to są fałszerstwa. Nie wystarczy krzyżeć: trzeba wykazać to z dokumentami w rękę. Wiemy, że dzieła o bolszewizmie powstałe na Zachodzie mają — mimo swoich niewątpliwych walorów — różne braki. Ale dopóki uczeni sowieccy nie napiszą lepszych opracowań, musimy korzystać z opracowań powstałych na Zachodzie, które oceniamy jako obiektywne, chociaż wiemy, że autorzy ich nie są bynajmniej zwolennikami komunizmu”.

Lecz o izolacji jak za czasów Stalina nie może być dzisiaj mowy. Charakterystyczna jest następująca opinia włoskiego komunisty:

„Akcja, która miała wzmocnić czy przywrócić wpływy partii w życiu kulturalnym, odniosła skutek odwrotny od zamierzonego: stworzyła jeszcze większy rozdźwięk między kierownictwem partyjnopanstwowym a najbardziej twórczą i cenioną w społeczeństwie sowieckim grupą, niezależnie i samodzielnie myślących artystów i pisarzy. Powstały nowe formy tworzenia opinii publicznej. W klubach naukowych, w teatrach, bibliotekach, szkołach, domach wydawniczych, w muzeach, na wakacjach i wśród przyjaciół dyskutuje się dziś o wszystkim, czyta zakazane książki, udziela informacji. Nie ma dziś barier, które by w Związku Sowieckim mogły zahamować rozpowszechnianie nowych idei, nowych myśli. Z tą tylko różnicą, że w normalnych społeczeństwach odbywa się to w gazetach, na odczytach publicznych czy na wykładach — w Rosji, prywatnie, w gronie przyjaciół”.

W wielu moich artykułach wysuwałem postulat zeuropeizowania Rosji. Co należy przez to rozumieć? Należy przez to rozumieć dokładnie to co pisze Boffa — tzn. unormalnienie warunków społecznych. Boffa pisze, że łożyskiem procesu kulturalnego w normalnym społeczeństwie jest prasa, książki, odczyty, wykłady — w Rosji natomiast główny nurt życia intelektualnego płynie w ukryciu, podziemnie. Czy jest rzeczą możliwą pogodzić komunizm z normalnością? Unormalizowanie warunków byłoby możliwe tylko poprzez destalinizację i zdemokratyzowanie ustroju.

Boffa mieszka i pisze w demokratycznym zachodnio-europejskim państwie. Lecz jaki los spotkałby jego książkę gdyby we Włoszech — podobnie jak w Rosji — rządzieli komuniści? Chętnie wierzę, że w komunistycznych Włoszech nie byłoby stalinizmu, Dziesiątych Pawilonów i „Sali Nr 7”. Lecz czy byłaby demokracja, która Boffie nie schodzi z ust — to jest zgoda inne zagadnienie.

Do tej pory komuniści współżyją z demokracją tylko w państwach, w których ustroju parlamentarnego nie zastąpiono jeszcze „dyktaturą prole-

tariatu". Siła argumentów komunistów zachodnich byłaby niepomrotnie większa — gdyby w oparciu o bezstronne studia doświadczeń sowieckich — wypracowali szczegółowy teoretyczny model europejskiego ustroju komunistycznego, który byłby demokratyczny i przykrojony do wymogów *normalnego* społeczeństwa. Boffa przeciwstawia „społeczeństwo sowieckie” — „normalnemu społeczeństwu”. Jeżeli komunizm ma ewoluować i przetrwać owa przeciwstawność musi całkowicie zniknąć.

RAJ WYPLANOWANY

Technokraci zarówno na wschodzie jak i na zachodzie często nie zdają sobie sprawy z faktu, że technologia stwarza zagrożnienia, których nie można rozwiązać... technologią.

Weźmy następujący przykład. Wydawałoby się, że media masowej komunikacji usprawniają centralistyczną dyktaturę. Kosygin może wystąpić w telewizji i przemówić do całego „narodu radzieckiego”, dzięki radiu można jednolicie i planowo wpływać na społeczeństwo, taśmę z przemówieniem dostojnika partyjnego w Moskwie można powielić i przekazać do najdalszych punktów Związku Sowieckiego itp.

Boffa, którego książkę cytuję w pierwszej notatce tej Kroniki, pisze, że w Rosji książki, które odrzuciła cenzura krążą w tysiącach odbitek maszynowych i powielanych, zakazane piosenki i wiersze nagrywa się na taśmy dźwiękowe i przesyła z domu do domu, obrazy odrzucone przez galerie wystawia się prywatnie itd.

Dzięki nowoczesnym mediom komunikacji intelektualiści i inteligencja rosyjska utrzymują stałą łączność z kulturą zachodnią i równocześnie owe „gadżety” umożliwiają rozpowszechnianie nielegalnej twórczości artystycznej w skali, która jeszcze 10 lat temu byłaby nieosiągalna.

Mędrzec zauważył w tym miejscu, że technologia służy zarówno reżymowi jak i jego przeciwnikom i nic w tym nie ma dziwnego. Lecz nie tu leży problem.

Boffa pisze, że mimo ataków partii pisarze i twórcy sowieccy „nie zmienili swych dzieł — jakby to się stało w okresie Stalina — nie zaprzestali poszukiwań i zachowali nowy styl. Wierzą nadal w swoje idee zwalczane przez partię i nie przestali ich głosić”.

Kosygin byłby zapewne bardzo zdziwiony gdyby mu ktoś powiedział, że to on i jego koledzy technokraci wytworzyli obecną sytuację, wobec której są bezradni.

Lecz nie tylko Kosygin jest bezradny. Technokraci na Zachodzie są również bezradni. Wspólnym źródłem owej bezradności jest fakt — by użyć słów Sir Geoffrey Vickers'a — że głównymi zagrożeniami epoki technologicznej są problemy polityczne i kulturalne a nie techniczne.

Weźmy przykład z tej strony barykady. W Anglii rośnie cyfra kolorowych imigrantów. Gospodarka brytyjska w znacznej mierze jest zależna od obcej siły roboczej. Równocześnie, kultura brytyjska w jej tradycyjnych formach jest nieprzygotowana do wchłonięcia owego obcego egzotycznego elementu.

Technokraci — a pod ich dyktando i laicy — są święci przekonani, że planowanie dotyczy gospodarki. Jak wiemy wszystkie „plany pięcioletnie” wypełnione i niewypełnione — mówią zawsze o produkcji.

Jest wielką zasługą wybitnego ekonomisty brytyjskiego Andrew Schonfielda, że w swej świeżo ogłoszonej książce („Modern Capitalism”) wyjaśnił ludziom, że istotą planowania nie jest kierowanie ekonomią tylko kierowanie społeczeństwem.

Kosygin przyklasnąłby powyższej tezie i zapewnił, że on i jego towarzysze nic innego nie robią. Technokraci sowieccy nie wiedzą jednak, że kierowanie daje rezultaty tylko wówczas, gdy odbywa się przynajmniej za częściową zgodą kierowanych.

Dziś wszyscy są za planowaniem, ponieważ wszyscy pragną wyższych zarobków, więcej samochodów, bardziej luksusowo urządzonych domów, krótszego tygodnia pracy, bardziej atrakcyjnych wakacji.

Anglia jest krajem przemysłowo wysoko rozwiniętym i przeludnionym. Plac budowlany, własny dom — stają się coraz cenniejszym i trudniejszym do zdobycia obiektem. Sir Geoffrey Vickers sądzi, że koncepcja ziemi jako przedmiotu własności prywatnej i towaru, którym obraca się dla zysku — w krajach wysoko uprzemysłowionych i przeludnionych jak Anglia — jest anachronizmem. Powołałem się na opinię Sir Geoffrey’a, by nikt nie pomyślał mnie o bolszewizm.

Nie ulega wątpliwości, że koncepcja własności prywatnej w odniesieniu do ziemi datuje się z epoki rolniczej. 200 lat temu ziemi było mnóstwo nawet w Anglii. Lecz dziś powierzchnie ziemi pożerają rozbudowujące się miasta, zakłady przemysłowe, sieć autostrad itd.

Załóżmy, że za 10 czy 15 lat, planiści, eksperci, ekonomiści brytyjscy opracują racjonalny projekt nacjonalizacji ziemi, który równocześnie wprowadzałby radykalne ograniczenia w obrocie ziemią jako towarem dla zysku.

Kosygin — gdyby brał udział w naszej dyskusji — powiedziałby, że sprawa nie nastręcza żadnych trudności. Trzeba wydać odpowiednią ustawę, opracować serię rozporządzeń wykonawczych i na tym koniec.

W ustroju demokratycznym trzeba jednak przekonać ludzi o celowości i słuszności danej reformy. Planowanie w wolnym społeczeństwie polega w znacznej mierze na perswazji. Rząd stara się przekonywać przemysłowców, że postępując po linii jego wskazań — na dalszą metę służą zarówno interesom własnych firm jak i całego przemysłu brytyjskiego. To jest droga powolna, lecz wszystkie inne metody są nieskuteczne. Nie wystarczy wydanie ustawy, że Murzyni mają prawo mieszkać gdzie im się podoba. Trzeba jeszcze przekonać brytyjskie gospodynie, by zechciały im dobrowolnie wynajmować pokoje.

Gdy Chrystus Pan rodził się w stajence betlejemskiej było nas na tym globie około 250.000.000 ludzi. Potrzebowaliśmy 1650 lat by podwoić tę cyfrę. Lecz następne podwojenie dokonaliśmy w błyskawicznym czasie 200 lat. W roku 1925 pobiliśmy rekord poprzedni podwajając ludność świata zaledwie w 75 latach. Kolejne podwojenie według obliczeń statystyków nastąpi w roku 1975. Ustanowimy wówczas nowy rekord szybkości rozrodczej podwajając pogłowie gatunku ludzkiego w obrębie 50 lat.

Najlepszym komentarzem do powyższych cyfr jest następująca anegdota, którą z innej okazji przytacza Sir G. Vickers. Pewien gentleman zlatuje z największego piętra Empire State Building w Nowym Jorku. Gdy mijają drugie piętro ktoś na balkonie podsłuchał jak ów gentleman mruknął do siebie: "jak dotąd radzę sobie nie najgorzej". My wszyscy lecimy na łeb na szyję ze szczytu Empire State Building lecz przekonani jesteśmy, że... jak dotąd radzimy sobie nie najgorzej.

Człowiek nie byłby takim sukcesem w sensie biologicznym i cywilizacyjnym gdyby niebezpieczeństwo — choć pewne lecz w czasie przyszłym — odczuwał równie intensywnie jak niebezpieczeństwo czasu teraźniejszego, aktualne. Wszyscy wiemy, że umrzemy, lecz większość z nas żyje tak, jakby tego nie wiedziała. To jest cenna właściwość pod warunkiem, że jest racjonalnie kontrolowana.

Planowanie nie jest wynalazkiem komunistów ani innego typu totalistów. Jak pisze Rudolf Klein („Politics of Planning”) „Planowanie jest odpowiedzią na rosnące wymagania demokratycznego społeczeństwa dotyczące wzrostu i upowszechnienia zamożności. Z drugiej jednak strony planowanie zagraża tym siłom demokratycznej kontroli, które owo planowanie powołały do życia”.

Sceptycznie usposobiony Czytelnik pomyśli sobie, że w roku 2000 — zarówno w Anglii jak i w Związku Sowieckim — co trzeci obywatel będzie funkcjonariuszem państwowym. Zarówno w Anglii i w Rosji wszystko będzie scybernetyzowane, zaplanowane i „odgórnie” kontrolowane.

Dobrobyt i sprawiedliwość społeczną realizować można tylko poprzez racjonalne planowanie. W ostatecznym rozrachunku odbywa się to zawsze kosztem wolności indywidualnej.

Tezą tego artykułu jest pogląd, że tylko „społeczeństwo otwarte” jest w możności przystosować się do radykalnych, często fundamentalnych przemian, które niesie z sobą epoka technologiczna. Adaptacja jest kwestią kultury. Przemianom w formach życia indywidualnego i społecznego muszą towarzyszyć przemiany kulturalne — w przeciwnym wypadku o adaptacji nie może być mowy.

Emigrantowi lądującemu w Ameryce wszystko wydaje się obce, niezrozumiałe i wrogie — dopóki poprzez język nie zbliży się do kultury amerykańskiej. Przez adaptację należy rozumieć wrośnięcie w kulturę amerykańską — wówczas bowiem to co amerykańskie przestaje być obce.

Technokraci komunistyczni nie rozumieją, że ludzie akceptują przemiany poprzez kulturę. Ewolucyjnego procesu kulturalnego nie można zastąpić propagandą. Tam gdzie kultura jest „w obcęgach” — przemiany technologiczno-gospodarcze odbywają się w próżni i nie są ani przyswojone ani zaakceptowane.

Weźmy jeszcze inny przykład. Rozdrobniona gospodarka chłopska jest bez sensu zaś wielko-obszarowe spółdzielnie — w takiej czy w innej formie — zapewniłyby chłopom lepsze dochody a Polsce więcej zboża. Jednak żaden rząd komunistyczny nie może wystąpić z najskromniejszym projektem w tej sprawie, bo chłopci w każdym posunięciu dopatrywać się będą nawrotu do systemu kołchoźniczego. Kołchozy są niecelowe — nie oznacza to jednak, że reformy są niepotrzebne. Lecz owym reformom musiałyby towarzyszyć przemiany społeczno-kulturalne, które pozwoliłyby chłopom owe reformy uznać za swoje. W praktyce jest to możliwe tylko tam, gdzie

główną rolę spełnia perswazja a nie przymus i gdzie panuje wolna dyskusja a nie propaganda.

Wolność słowa i dyskusji są niezastąpionym dynamem procesu kulturalnego. Paradoks sytuacji polega na tym, że reformy socjalistyczne nie zostaną nigdy w pełni przyswojone bez kultury socjalistycznej. Kultura socjalistyczna nie powstaje nigdy bez wolności słowa.

Być może za 100 lat od dziś, w Anglii i we Francji nie będzie już „gospodarki mieszanej” tylko przyjęty zostanie powszechnie model ekonomii planowanej, zautomatyzowanej, scybernetyzowanej — kontrolowanej przez elitę ekspertów. Ponieważ jednak w Europie zachodniej panuje wolność słowa i myśli — owym przemianom towarzyszyć będzie ewolucja kultury, ewolucja tradycyjnych norm i wzorców. I dlatego Anglik czy Francuz w modelu ustrojowym w roku 2100 będzie się czuł u siebie w domu.

Gdyby rząd angielski znacjonalizował dziś własność ziemi — nie przeżyłby tej operacji. Społeczeństwo brytyjskie nie dojrzało tradycyjnie, kulturalnie i psychologicznie — do zaakceptowania tak radykalnej przemiany. Reforma narzucona zawisa w „społecznej próżni” i nie daje pozytywnych efektów.

Postęp technologiczny (zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych) umożliwiłby już dziś zainscenizowanie olbrzymich zmian. Nie można jednak podejmować na wielką skalę „rewolucji cybernetycznej” — bo kultura społeczeństwa cybernetycznego jest dopiero w załążku. Model kulturowy wykryształizowuje się niepomieranie wolniej niż modele technologiczno-ekonomiczne.

Komunizm w Związku Sowieckim czy w Polsce nie jest ustrojem w dosłownym tego słowa znaczeniu. Model ustrojowy musi bowiem obejmować również i model kultury. Procesem kulturowym można, a nawet należy, kierować, lecz twórcze źródła owego procesu muszą być otwarte.

Gomułka czy Kosygin nie przywiązują wagi do spraw kultury, ponieważ nie zdają sobie sprawy, że kultura to nie tylko zwariowani malarze i niesforni literaci — lecz klimat społeczny, który decyduje o powodzeniu lub klęsce modelu technologiczno-gospodarczego.

Epoka w którą wchodzimy niesie z sobą tak trudne i — dziś wydawać by się mogło — nieprzewidywalne problemy socjalne, psychologiczne, adaptacyjne — że tylko „społeczeństwa otwarte”, o wolnej dynamicznej kulturze, mogą mieć nadzieję znalezienia właściwych rozwiązań.

SPOWIEDŹ IDEOWEGO PIŁSUDCZYKA

Książka Januarego Grzędzińskiego wydana przez Bibliotekę „Kultury” jest sensacją wydawniczą w najlepszym tego słowa znaczeniu. Sensacją jest każda książka napisana w kraju i wydana na emigracji. Sensacyjną również w najlepszym sensie tego słowa jest osoba autora: pułkownik Januarey Grzędziński, inżynier lotniczy (w Polsce przedwrześniowej mieliśmy takich tylko czterech) — b. adiutant Marszałka Piłsudskiego, b. re-

daktor tygodnika „Czarno na Białym”, prześladowany przez władze i oczekujący procesu.

Gdyby należało streścić książkę Grzędzińskiego w jednym zdaniu — trzeba by napisać, że jest to obrona idei Piłsudskiego i potępienie sanacji. Dla zwalczania dyktatury sanacyjnej Grzędziński założył swój tygodnik. Również i w Polsce przedwrześniowej nie uniknął prześladowań.

Głównym tematem książki jest tzw. „zamach majowy”. Grzędziński — naoczny świadek i współ-aktor dramatu — rozбивa legendy jakie narosły wokół tego przełomowego wydarzenia w dziejach 20-lecia. Zamach — wedle przekonywującej relacji autora — nie był ani inspirowany z zewnątrz ani planowany na wewnątrz. Nie było spisku czy sprzysiężenia — nie było nawet konkretnego planu. Zamach pomyślany jako demonstracja w obrębie kilkunastu godzin przerodził się w akcję zbrojną uwięzioną zwycięstwem.

Z wszystkich relacji jakie czytałem na ten temat opis Grzędzińskiego trafia mi najbardziej do przekonania. Bezplanowość i spontaniczność przewrotu majowego wydają się klasycznie polskie.

Czego ci ludzie chcieli? Ideowi piłsudczycy jak Grzędziński brali udział w zamachu majowym z tą samą wizją Polski jaka im przyświecała gdy szli do legionów. Pragnęli Polski ludowo-demokratycznej i praworządnej. Nie myśleli ani o dyktaturze ani o przywilejach.

Grzędziński reprezentuje niewątpliwie nieskażoną ideę legionową. Z jego książki bije bezkompromisowa uczciwość i niezachwiana wiara w słuszość bronionej sprawy. Lecz ludzie tak dogłębnie uczuciowo zaangażowani nie są i nie mogą być obiektywni. Portret Piłsudskiego naszkicowany przez Grzędzińskiego jest żywy i tchnący prawdą — lecz portret Witosa jest krzywdzącą karykaturą.

Ocenic obiektywnie Gomułkę czy Cyrankiewicza nie będzie trudno. Piłsudski jeszcze bardzo długo będzie budził namiętne spory i kontrowersje, co stanowi miarę jego niepowszedniości. Nigdy nie będzie łatwo zamknąć bez reszty postaci Marszałka w ramach wyważonego sądu historycznego.

Według Grzędzińskiego,byłoby aberacją twierdzić, że Józef Piłsudski w ogniu przewrotu spalił swoje demokratyczne sztandary. Odrzucał wszak od siebie i władzę naczelną i honory: odrzucał je jako trofea i jako łup zwycięzcy”.

Więc jak to się stało?

Grzędziński kończy swą „spowiedź piłsudczyka” następującym wyznaniem:

„Dyktator nie może żyć bez otoczenia, nie może rządzić ponad swym otoczeniem, wreszcie przestaje widzieć inaczej jak przez swe otoczenie. Kształtowanie się tego otoczenia nie jest przedmiotem mego posłowania. Niech mi wolno będzie tylko podszeptać, że było ono oderwane od legionowych mas. Czwarte brygady? Pretorianie? I jeszcze jedno: w osobie dyktatora spleta się socjologia z biologią. Człowiek choruje, starzeje się, nabywa różne nawyki, umiera — a władzę sprawuje do końca. Wraz z nim owa władza przeżywa tę samą degradację. To jedno wystarcza by żaden naród się nie zgodził na dyktaturę, nawet najcnotliwszego z cnotliwych. A już

pod żadnym pozorem na to by dyktatura była dziedziczna — dzie-
dzie dyktatury pozbawiony autorytetu, szuka oparcia w przemocy
i jest nieszczęściem dla narodu. Taka jest patologia dyktatury. Ale
my, ludzie przewrotu majowego nie ponosimy za to winy”.

Niniejsza notatka nie jest recenzją tylko awizem. Chciałem zwrócić
uwagę naszych Czytelników na wybitną i zdumiewającą książkę — „krzyk
serca” tragicznego pokolenia, które zdobyło niepodległość i ją utraciło.

LONDYŃCZYK

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7888

\$ = 72 zł.

£ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Sprawy i troski

I beg to differ

Chociaż „Tydzień Polski” (powiększone sobotnie wydanie londyńskiego „Dziennika Polskiego”) jest czasopismem redagowanym względnie interesująco, to jednak należy być ostrożnym z wysyłaniem doń materiałów, gdyż redakcja „Tygodnia Polskiego” ma zwyczaj zmieniania na własną rękę i cenzurowania wypowiedzi.

Żeby nie być gołosłownym przytoczę konkretny przykład. W lipcu br. wysłałem list do redaktora „Tygodnia Polskiego” w sprawie mego artykułu, który się ukazał (z pewnymi poprawkami) uprzednio, a do listu dołączyłem notatkę zawierającą następujące uwagi.

„Mam nadzieję, że Pan Redaktor będzie mógł zamieścić ten list w całości i bez żadnych zmian. Jeżeliby to nie było możliwe poproszę o przedstawienie mi tekstu, który Pan Redaktor byłby gotów zamieścić. Natomiast proszę nie drukować wyjątków, lub zmienionego tekstu bez mojej zgody”.

Chyba sprawa postawiona została dość jasno, a jednak redaktor „Tygodnia Polskiego” nie zrozumiał i opublikował ten list usuwając z niego, bez mojej zgody, poważną część tekstu.

W tej sytuacji, chcąc obecnie zabrać głos w związku z artykułem p. Karola Poznańskiego „Periculum in mora!” („Tydzień Polski” Nr 41 z 9 października 1965 r.) zwracam się do „Kultury”, a nie do „Tygodnia Polskiego”, jakby właściwie należało.

Pan Karol Poznański omawia w tym artykule jakże słuszną sprawę przyszłości polskich ośrodków kulturalnych na Zachodzie, ale sposób w jaki to czyni wzbudza poważne zastrzeżenia. Autor zaczyna od pochwał na cześć polskich naukowców i specjalistów średniego pokolenia na Zachodzie, ale i tu pojawia się nieprzyjemny zgrzyt. Autor przytacza, jako wzór godny naśladowania, osiągnięcia naukowe dr. Józefa Retingera. Prac naukowych tego pana nie znam, ale wiem, że był to człowiek, który w czasie drugiej wojny światowej działał na niekorzyść Polaków, więc po cóż właśnie jego przytaczać jako przykład. Zresztą „Dziennik Polski”

ma wielki szacunek dla dr. Retingera i z okazji jego śmierci parę lat temu wypisywał pochwalne słowa na cześć tego agenta międzynarodowego, który służył różnym sprawom, ale nie sprawie polskiej, co się szczególnie odnosi do okresu ostatniej wojny.

Zakończywszy pochwałę p. Karol Poznański przechodzi do upomnień w sposób następujący.

„Ale, ale czy społeczeństwu emigracyjnemu, które wydało to młode pokolenie uczonych i specjalistów wszelkiego rodzaju, czy społeczeństwu temu, które zapewniło swemu młodemu pokoleniu możliwość odbycia studiów na uczelniach brytyjskich i to w warunkach wyjątkowo dogodnych, wręcz cieplarnianych — czy społeczeństwu temu nie wolno jest oczekiwać pewnego rewanżu ze strony młodych?”

I dalej.

„Otóż młode pokolenie naukowców i fachowców polskich wszelkiego autoramentu, o których tu mowa, zapewne wie o tym, a jeżeli nie wie, to powinno się dowiedzieć, że stare pokolenie uchodźców wojennych, to najstarsze, potrafiło swego czasu, lat temu 20-25, doprowadzić w bardzo trudnych okolicznościach politycznych do uruchomienia w W. Brytanii systemu stypendialnego, opłacanego z funduszy państwowych brytyjskich, dzięki czemu około 8.000 młodzieży polskiej mogło odbyć w normalnej atmosferze studia wyższe na różnych fakultetach i w ten sposób zdobyć dla siebie doskonały start życiowy”.

Trudno pozostawić stwierdzenia tego rodzaju bez komentarzy.

Pan Karol Poznański pisze, że 8.000 studentów ukończyło studia za państwowe pieniądze brytyjskie, a szkoda, że nie podaje wielu to studentów ukończyło studia za państwowe pieniądze polskie w latach 1941-45. W tym okresie starsze pokolenie (teraz już bardzo stare) uważało, że jedynym obowiązkiem młodego pokolenia jest służyć w wojsku. Odkomenderowania na studia dostawali jedynie młodzieńcy z protekcją, wyjątkowi szczęściarze, lub ci, którzy byli niezbędnie konieczni do utrzymania polskich wydziałów medycyny w Edinburgh'u, czy architektury w Liverpool'u. Ze szkolnictwem średnim sprawa nie przedstawiała się lepiej i jedyne na tej wyspie męskie Liceum i Gimnazjum im. Słowackiego w Glasgowie świeciło pustkami. Starszemu pokoleniu potrzebni byli żołnierze.

Z chwilą cofania uznania Rządowi R.P. starsze pokolenie nie zapewniło dostatecznych środków materialnych na utrzymanie polskich placówek kulturalnych. Nie zabezpieczyło ono też środków na utrzymanie przynajmniej jednej polskiej szkoły średniej. Fawley Court i Pitsford powstały z inicjatywy prywatnej.

Pan Karol Poznański sugeruje, że istnienie *Committee for the Education of Poles in Great Britain* (cóż za okropna nazwa) dysponującego pokaźnym budżetem było wyłączną zasługą starszego pokolenia, które potrafiło wynegocjować możliwości studiowania za pieniądze brytyjskie. Jest to twierdzenie nie przekonujące. Wydaje się, że najważniejszym czynnikiem była ofiarna walka Polaków (głównie młodszego pokolenia) na wszelkich możliwych fron-

tach. Poważną rolę odegrało też poczucie winy ze strony Brytyjczyków, którzy, częściowo zmuszeni przez warunki od nich niezależne, pozostawili Polskę samą sobie i dlatego byli skłonni załatwić względnie uczciwie sprawę Polaków pozostających w Anglii i dać im warunki podobne do tych, jakie otrzymywali zwalniani z wojska Brytyjczycy. Dopiero na tle tych zasadniczych czynników można mówić o zasługach negocjacyjnych starszego pokolenia.

Jeżeli starsze pokolenie aż tak bardzo dbało o edukację młodszego pokolenia w W. Brytanii, to należałoby zapytać, dlaczego w latach powojennych nie było żadnej instytucji, która zajmowałaby się udzielaniem informacji zdemobilizowanym żołnierzom na temat skomplikowanego systemu brytyjskiego wyższego szkolnictwa i która mogłaby doradzać w sprawie doboru przedmiotu studiów, znalezienia miejsca na uczelni i zarejestrowania się na odpowiedni kurs. Wręcz przeciwnie starsze pokolenie brało czynny udział w zaganianiu kandydatów na wyższe studia do *Polish University College*, gdzie istniały jedynie inżynieria, ekonomia i architektura.

Teraz, po bez mała 20 latach, p. Karol Poznański pisze o możliwościach studiowania „w normalnej atmosferze”, „na różnych fakultetach”, „na uczelniach brytyjskich”. Przypomnijmy sobie jak to wyglądało w rzeczywistości. Ci, którzy wydostali się na różne fakultety zawdzięczają to głównie swojej własnej przedsiębiorczości. Musieli oni często staczać batalie z *Committee for the Education of Poles* o przyznanie stypendium. Jedyną instytucją, która dopomagała w dostawaniu się na inne fakultety (w szczególności medycyna w Irlandii) był P.K.S.U. Veritas, ale była to inicjatywa prywatna, nie popierana przez oficjalne czynniki starszego pokolenia. Chociaż można by krytykować sposób w jaki P.K.S.U. Veritas tej pomocy udzielał, należy jednak przyznać, że gdyby nie akcja Veritasu nie byłoby kilku dziesiątków lekarzy polskich młodszego pokolenia, bo starsze pokolenie współpracujące z *Committee for the Education of Poles* zaganiało wszystkich na studia techniczne. Teraz widać, że była to błędna polityka, bo polscy humaniści z brytyjskim wykształceniem dają sobie tak samo dobrze radę jak i technicy.

Jeszcze parę słów o „normalnej atmosferze”. Patrząc z perspektywy czasu należy przyznać, że *Polish University College* wcale nie był złą uczelnią, a większość wykładowców i profesorów podchodziła do sprawy solidnie i dawała z siebie maksimum wysiłku. Były jednak przykre wyjątki. I tak np. dziekan wydziału ogólnego traktował tych starszych wiekiem i bogatych w przeżycia studentów, z których jedni przeszli Powstanie Warszawskie, inni kampanię włoską, lub różne inne perypetie jakie Polakom zdarzały się w czasie ostatniej wojny, jak ostatnich szczeniaków. Gnębił ich swoim przedmiotem, który nie wchodził w zakres egzaminów *University of London*, do których tych studentów przygotowywano i za palenie papierosów nawet na klatce schodowej groził wyrzuceniem z uczelni. Bez względu na pogodę w całym budynku

jemu podległym, nie wolno było palić. Taka była fantazja pana profesora.

Wielu początkującym studentom dziekan ten swoimi podoficerskimi metodami najgorszego stylu obrzydził wyższe studia na zawsze. W budynku wydziału ogólnego panowały folwarczne stosunki. Były tam 4 ubikacje, które rozdzielono w sposób następujący, jedna dla pana profesora (zamknięta na klucz), jedna dla grona nauczającego (też zamknięta na klucz), jedna dla pań i jedna dla 150-200 studentów. Nic dziwnego, że w przerwach studenci ustawiali się w kolejkę na stacji South Kensington.

Wydział elektryczny, gdzie najpoważniejszą rolę odgrywał prof. Z. Jelonek (obecnie jest on profesorem na *University of Strathclyde* w Glasgowie) był instytucją solidną i sympatyczną z wyjątkiem dziekana, który kompletnie ignorował sobie swoje obowiązki i z wykładów robił parodię. Ale za to czekał stypendialne rozdawał studentom osobiście i mawiał: — „My wam płacimy stypendium”. To zdanie jak echo odzywa się w artykule p. Karola Poznańskiego.

Jeżeli starsze pokolenie aż tak dbało o edukację młodszego pokolenia i miało zdolności negocjacyjne, jak to sugeruje p. Karol Poznański, trudno zrozumieć dlaczego przyglądało się biernie kolonialnym metodom ordynarnego Mr. Bennett'a z *Committee for the Education of Poles*, który praktycznie był decydującą instancją w sprawach stypendialnych. Opiszę tu mały wypadek. Pewien student architektury z Leicester (jeżeli mnie pamięć nie myli) miał jakieś kłopoty ze stypendium. Był to młody człowiek, w wojsku nie służył, skończył jezuicką *Public School* i mówił wyszukaną angielszczyzną. Miał on już dość zmiennych nastrojów i obiecanek cacanek dr. Sochy, z którym normalnie rozmawiało się w sprawach stypendialnych, i cieszył się, że idzie na *interview* z Mr. Bennettem i że nareszcie będzie rozmawiał z prawdziwym gentlemanem. Nie spodziewał się co go czeka. Mr. Bennett miał bzika na punkcie studiów wieczorowych i jak zwykle zaczął młodzieńcowi klarować, że powinien wziąć jakąś pracę i architekturę kończyć na wieczorowych kursach, a na zakończenie dodał, że jego syn studiuje wieczorami *and he doesn't get a bloody penny*. Tego już było za dużo, młodzieniec odpał: *I didn't come here to discuss your bloody son's financial affairs*. Wyszedł i trzasnął drzwiami. Na ordynarnych ludzi działają ordynarne metody. Stypendium zostało wznowione.

Pan Karol Poznański pisze o cieplarnianych warunkach. Zależy co przyjmiemy za poziom odniesienia. Jeżeli warunki studentów w kraju w latach powojennych to zgoda, ale jeżeli warunki jakie istniały wówczas w Anglii, to jest to poważna nieścisłość. Stypendium wynoszące 20 funtów miesięcznie w początkowych latach było prawie równoważne zarobkom najgorzej płatnego robotnika i wystarczało na skromne przeżycie jednej osoby. Ale już od roku mniej więcej 1950 za tę sumę nawet samemu przeżyć było trudno. O studentach obarczonych rodzinami, którzy dostawali skromne dodatki rodzinne, lepiej nie wspominać. Pan Ka-

rol Poznański chyba nie wyjeżdżał przed Bożym Narodzeniem z Londynu przez Euston lub St. Pancras Station, więc nie spotykał tam chmary polskich studentów dorabiających przy sortowaniu paczek i tragarzowaniu. Pan Karol Poznański chyba nie chodził do Corner House'ów Lyonsa w okresach wakacyjnych, więc nie widział studentów polskich wycierających stoły i zbierających brudne talerze. Pan Karol Poznański nie podróżował chyba latem po równinach Norfolk, więc nie spotkał tam studentów polskich zbierających truskawki. Ma się rozumieć nie należy rozdzierać szat nad tym, że jednym studentom wydłużyły się nieco ręce od noszenia walizek, a innym wygiął się grzbiet na polu truskawkowym, ale nie mówmy teraz o cierplarnianych warunkach.

Stypendia studentów brytyjskich i kolonialnych były różnej wysokości zależnie od instytucji wypłacającej stypendium, czy też okręgu samorządowego, z którego student pochodził. We wszystkich znanych mi wówczas wypadkach stypendia te były większe niż 20 funtów miesięcznie. Z tego względu głównymi interesantami biura prac wakacyjnych w *National Union of Students* byli Polacy.

Pomimo tych „cieplarnianych warunków” i „normalnej atmosfery”, jak pisze p. Karol Poznański, studiować w obcym systemie egzaminacyjnym, co chyba było nawet gorsze od obcego języka, było trudno. Na naszym roku, po selekcyjnym egzaminie wstępnym do *Polish University College* latem 1947 r., rozpoczęło studia 180 kilka osób. Obejmowało to następujące wydziały inżynierii: — elektryczny (prądy silne i słabe), mechaniczny, chemiczny i łądowy. W normalnym czasie, tzn. bez straty ani jednego roku, uzyskało tytuły B.Sc. (Eng.) lub B.Sc (Special Chemistry) zaledwie 11 czy 12 studentów. Natomiast z tej całej grupy skończyło studia uniwersyteckie (po różnych okresach studiowania) zaledwie około 70 osób. Na osiem panien nie doszło do końca, o ile mnie pamięć nie myli, sześć.

Ogólnie rzecz biorąc odpadali w pierwszym rzędzie ci, którzy najbardziej na stypendia zasługiwali, tzn. ci, którzy w czasie wojny dali z siebie najwięcej, czyli brali udział w czynnej walce. W drugim rzędzie ci, którzy długo służyli w wojsku.

Na ogół najlepiej wychodzili ci, którzy przeszli przez armię niemiecką. W większości wypadków ich przeżycia ograniczały się do dostania się do niewoli po kilkumiesięcznej służbie na terenie Francji. Skoro już mowa o tych, którzy przeszli przez armię niemiecką to warto poruszyć jeszcze jedną sprawę. Ma się rozumieć należało ich przyjmować do Wojska Polskiego, ale trzeba było przeprowadzić jakąś minimalną selekcję. Selekcja taka nie była rzeczą trudną, wystarczyło wiedzieć z jakiej dzielnicy Polski kandydat pochodzi i od kiedy służył w armii niemieckiej. Tymczasem starsze pokolenie wojskowe wrażliwe na ilość żołnierzy i odnoszące się z szacunkiem do niemieckiego wykształcenia wojskowego przyjmowało wszystkich bez zastrzeżeń, często ku oburzeniu tych, którzy sami przez armię niemiecką przeszli.

Również bez zastrzeżeń wysyłało tych nowoprzyjętych na podchorążówki. I tak znany mi był wypadek kiedy były niemiecki podchorąży, co wskazywało na to, że przed wojną brał czynny udział w nacjonalistycznych organizacjach niemieckich na terenie Polski, został w szybkim czasie polskim podchorążym.

Czasami powstawały paradoksalne sytuacje. Oto dwóch kolegów przedwojennych z gimnazjum w Poznaniu. Rodzice jednego z nich podpisali listę volksdeutschowską. Został on powołany do wojska, dostał się we Francji do niewoli, zgłosił się do Wojska Polskiego, poszedł na podchorążówkę. Ponieważ dobrze stukał kopytami, w czym mu dopomógł nabyty dryl niemiecki, na początku 1945 r. był już plutonowym podchorążym. Rodzice drugiego listy volksdeutschowskiej nie podpisali i musieli wyjechać do Warszawy. Wstąpił on do A.K., według zeznań innych osób walczył dzielnie w Powstaniu. Po wyzwoleniu przyjechał do Anglii, na podchorążówkę nie poszedł, bo przecie taka akowska „cywil banda”. Miał jakieś trudności z weryfikacją swego stopnia st. strzelca; więc zrezygnował z tego. I znowu po latach obaj spotkali się w tej samej klasie w liceum w Szkocji. Pierwszy obszyty srebrem z żołdem około 3 funty na dekadę, a drugi w stopniu zwykłego strzelca z żołdem 1 funta na dekadę.

Starsze pokolenie wojskowe wszystko wszystkim darowało i nie dochodziło przeszłości tych, którzy byli w armii niemieckiej. Zresztą procent tych, których przeszłością należało się zainteresować był mały, znaczna większość musiała iść do niemieckiej armii i zachowywała się tam przyzwoicie. Ni z tego ni z owego starsze pokolenie związane z przydzielaniem stypendium zaczęło się interesować już darowaną przeszłością niektórych spośród tych, którzy byli w armii niemieckiej i robić im trudności w uzyskaniu stypendium. Zresztą nie orientując się w sytuacji (na doradców należałoby powołać tych, którzy sami byli w armii niemieckiej i znali na wylot te zagadnienia) zaczęto przyczepiać się poważnie do ludzi niewinnych. Sprawa ta wywołała dużo goryczy wśród tych, którzy przeszli przez armię niemiecką.

Tyle o przeszłości. Na przyszłość p. Karol Poznański wysuwa dwa postulaty. Pierwszy z nich brzmi jak następuje.

„Należałoby powołać do życia organizację społeczną o zasięgu światowym, która zespoliłaby rozsiane po świecie Polaków i Polek młodsze pokolenia, naukowców i fachowców z różnych dziedzin. Ta organizacja elitarna powinna sobie postawić, pomiędzy innymi, za zadanie przejęcie opieki nad dorobkiem kulturalnym emigracji oraz zapewnienie dalszego rozwoju instytucjom kulturalno-naukowym i oświatowym stworzonym w różnych krajach przez stare pokolenie na przestrzeni ubiegłego ćwierćwiecza.

Inicjatywa w tym względzie może wyjść bądź od jednostek, bądź od jednej spośród istniejących organizacji akademicko-młodzieżowych”.

Odnosi się wrażenie, że postulat ten wymierzony jest przeciwko Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu, który powstał w Londynie dwa lata temu z inicjatywy Stowarzyszenia Techników

Polskich i Polish University College Association Limited. Ośrodek ten jest organizacją godną poparcia i początkowo wydawało się, że wysiłki grupy ludzi z inż. R. Wajdą na czele będą skuteczne. Wydawało się, że nareszcie rozproszone fundusze polskie zostaną skoncentrowane i zostaną stworzone poważne podstawy do działalności polskich ośrodków kulturalnych w Anglii. Ale jednak tak się nie stało. Ta szlachetna inicjatywa nie uzyskała poparcia finansowego ani ze strony najbogatszych organizacji, ani też ze strony osób zarządzających resztkami pieniędzy przewidzianych na cele kulturalne. Teraz p. Karol Poznański wysuwa wniosek stworzenia jeszcze jednej organizacji, która miałaby spełniać podobne funkcje do Ośrodka, ale dla odmiany miałaby być elitarna i ogólno-światowa.

Drugi postulat wygląda tak.

„Otóż byłoby rzeczą pożądaną, by polscy naukowcy opracowali (dla każdego terenu oddzielnie) wykazy, które obrazowałyby stopień zamożności danej społeczności emigracyjnej, a zatem wykazy, które zawierałyby dane cyfrowe co do stanu posiadania, a nade wszystko co do poziomu zarobków (dochodów) ludności polskiej na danym terenie. Opracowania takie, które można by nazwać wykazami dochodu narodowego polskiego na emigracji, dałyby możliwość oceny czy polskie społeczeństwo emigracyjne jest potencjalnie w stanie przejąć na siebie ciężar łożenia na polskie cele kulturalno-naukowe i oświatowe”.

Pomysł zupełnie fantastyczny tak o ile chodzi o celowość jak i możliwość wykonania. To starsze pokolenie jest już jednak bardzo stare i należy wątpić, żeby potrafiło się zdobyć na jakiś realistyczny krok w kierunku przekazania swojej spuścizny. Niestety zanoszą się na to, że schodząc ze sceny pogrązą oni ostatecznie te ośrodki kulturalne, które znajdują się w ich rękach.

I cóż p. Karol Poznański powiedział temu młodszemu (a właściwie średniemu) pokoleniu naukowców i specjalistów w tym artykule? Najpierw ich niby pochwalił, ale zaraz-że wypomniał im, jak dużo podobno zawdzięczają staremu pokoleniu, a na koniec powiedział, że muszą zadeklarować publicznie swoje zarobki. Tą metodą średnie pokolenie, jeżeli w ogóle ten artykuł przeczyta, zostanie jedynie wzmocnione w swojej bierności i dojdzie do przekonania, że współpraca ze starym pokoleniem zajmującym się sprawami kultury jest nadal niemożliwa.

Na zdrowy rozsądek pierwszym i podstawowym warunkiem nawiązania jakiegokolwiek współpracy jest ujawnienie stanu resztek majątku, który jeszcze istnieje, na cele kulturalne i poddanie go publicznej kontroli (z udziałem średniego pokolenia). Dopiero potem można i trzeba sięgnąć do prywatnych kont bankowych, ale bardziej dyskretnie i z mniejszym nakładem pracy niż to sugeruje p. Karol Poznański. Należy jednak zwrócić uwagę, że z prywatnych źródeł trudno oczekiwać jakichś pokaźnych sum. Gdyby nawet znalazło się aż 2 tysiące osób, które opodatkowałyby się na powiedzmy 5 funtów rocznie, to dałoby to w sumie zaled-

wie 10 tysięcy funtów rocznie, co przypuszczalnie jest stanowczo nie wystarczalne na utrzymanie jakichś ośrodków kulturalnych.

Natomiast wydaje mi się, że istnieją możliwości zabiegania o fundusze brytyjskie, możliwości które jeszcze nie zostały wypróbowane, a mianowicie oddziaływanie na lokalnych posłów do parlamentu. Dotychczasowe zabiegi starego pokolenia o uzyskanie funduszy brytyjskich były prowadzone w sposób centralny. W wysiłkach takich można się powoływać na brytyjsko-polską przeszłość i na ogólne zainteresowanie Polaków zamieszkających w W. Brytanii pewnymi ośrodkami kulturalnymi. Akcję taką należy kontynuować, ale sądzę, że równolegle można by zmontować interwencję poszczególnych członków parlamentu szczególnie z tych okręgów w których ilość polskich głosów sięga kilku setek, a takich okręgów w W. Brytanii jest chyba co najmniej kilkanaście. Akcja taka powinna polegać na udowodnieniu, że pewnej grupie obywateli brytyjskich *Public Libraries* i muzea brytyjskie nie wystarczają i obywatele ci pragną mieć dodatkowe *Services* w postaci polskich ośrodków kulturalnych (biblioteka, muzeum itp.).

Wyda mi się, że kontaktowanie się wyborców polskiego pochodzenia z lokalnymi posłami może odnieść pewien skutek szczególnie wobec równowagi pomiędzy partiami. W takich okręgach jak North Kensington, Acton czy North Ealing kilka setek wyborców polskiego pochodzenia może przechylić szanse w tę lub tamtą stronę.

Jak dotychczas wyborcy polskiego pochodzenia próbowali odegrać pewną rolę, ale robili to w sposób wybitnie *foreigner'ski*. Po pierwsze stawali na płaszczyźnie ogólnokrajowej ignorując lokalny charakter wyborów. Tak np. przy ostatnich wyborach zorganizowano zebranie w Ognisku, gdzie postawiono sprawę Konserwatystów, czy Labour w ogóle, a nie konserwatywny, czy labourzystowski M.P. z South Kensington, jakby należało. Po drugie, w tych nielicznych wypadkach polskiej interwencji porusza się z miejsca zagadnienie polityki zagranicznej, a mianowicie uznanie granicy na Odrze i Nysie. Akcja taka jest sprzeczna z tradycją brytyjską i jest z góry skazana na niepowodzenie. Wyborca, który wysuwa w stosunku do posła żądanie z dziedziny polityki zagranicznej stawia siebie w szeregu ekscentryków z *Ban the Bomb Movement*. Natomiast rzeczowe, poparte cyframi żądanie dodatkowych *Public Services* dla pewnej grupy obywateli brytyjskich, którzy w większości wypadków są *tax payers and rate payers* może mieć całkiem inny oddźwięk.

Jednak do tego rodzaju akcji potrzebna jest ścisła współpraca pomiędzy starym pokoleniem kierującym polskimi ośrodkami kulturalnymi i średnim pokoleniem, w znacznej większości naturalizowanym. Stare pokolenie powinno by dostarczyć danych dotyczących polskich funduszy (które jeszcze istnieją) na cele kulturalne, zapotrzebowania finansowego na utrzymanie polskich ośrodków kulturalnych, ilości Brytyjczyków i obywateli brytyjskich polskiego pochodzenia, ilości nienaturalizowanych Polaków zamieszkających w W. Brytanii i ilości instytucji w W. Brytanii i poza

nią, które z tych ośrodków w ostatnich latach korzystały. Średnie pokolenie (naturalizowane) powinno stworzyć komitety w poszczególnych ośrodkach wyborczych, uzyskać informacje o ilości wyborców polskiego pochodzenia w swoim okręgu i w porozumieniu między sobą rozpocząć nacisk na posłów, lub kandydatów na posłów, obiecując im poparcie wzajemian za interwencję w sprawie finansowej pomocy polskiemu ośrodkowi kulturalnemu.

Należy jednak stwierdzić, że torpedowanie akcji Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego i wystąpienia takie jak p. Karola Poznańskiego w omawianym artykule, mogą jedynie średnie pokolenie odstraszyć od wszelkich akcji na korzyść polskich ośrodków kulturalnych w W. Brytanii. A szkoda.

Z. S. SIEMASZKO

TOM CXVIII - BIBLIOTEKI "KULTURY"

JERZY PIETRKIEWICZ

POEMATY LONDYŃSKIE I WIERSZE PRZEDWOJENNE

Utwory z okresu 1935 — 1953

W młodym pokoleniu przedwojennym poezja autora „Prowincji” osiągnęła wielką popularność; na emigracji **Pietrkiewicz** prowadził dalej pracę odkrywczą w budowie poematu aż do „Sielanki stołecznej” w 1952 r. Od 1953 r. pisze po angielsku i zdobył już sobie wybitną pozycję w powieści współczesnej. Ten sukces w nowym języku coraz bardziej zwraca uwagę na oryginalność jego twórczości poetyckiej. Wybór, który ogłaszamy, pozwala po raz pierwszy na ocenę polskiego dorobku Pietrkiewicza.

Str. 200

Cena 13,50 F. (20/-; \$ 3,00)

Najnowsza historia Polski

Władysław Studnicki

Utkwiło mi dla czegoś w pamięci jak jechaliśmy windą na piętro zajmowane przez biura 2 Korpusu polskiego w Rzymie. Włoski boy, który obsługiwał windę, miał chyba lat trzynaście i był tego samego wzrostu co prof. Studnicki. Gdy otworzył drzwi przez które wydreptał najpierw profesor, a za nim ja, nie wytrzymał:

— *Come vecchio!*... — szepnął, ni to z podziwem, ni to ze wzruszeniem ramion.

Przy jednakowym wzroście, jakaż różnica! Było to lato 1945 roku. Władysław Studnicki urodził się w 1865, czyli miał wtedy lat 80. A dziś miałby 100. Dziś, boy ten, ma 33, pewno żonę i dzieci. A zresztą może mieć już drugą, i z pierwszej na przykład trzynastoletniego syna?... Gdy się mówi, że „czas leci”, na nikim nie robi to wrażenia, gdyż jest powiedzeniem równie oklepanym jak: „człowiek oddycha”, albo: „człowiek je”. Wrażenie robi dopiero gdy nie ma czym oddychać, nie ma co jeść, gdy czas przeleciał.

— W którym roku urodził się Pański ojciec? — zapytałem raz Studnickiego, gdy się na taki temat złożyło.

— W osiemnastym — odpowiedział Studnicki z tą naturalną oczywistością w skrócie, z jaką każdy z nas rozumiałby pod tym rok 1918; rok już dla wielu z mglistej historii. A przecież chodziło, naturalnie, o rok 1818-ty. Miał więc jego ojciec w powstanie listopadowe lat trzynaście, tyle co boy z windy; w powstanie styczniowe lat 45; a lat 47 gdy urodził mu się syn ochrzony imieniem Władysław.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Profesor Władysław Gizbert-Studnicki (przydomka tego ostatnio nie używał) pochodził z Inflant i był człowiekiem na wskroś, co się nazywa: dziewiętnastowiecznym. „Profesorem” nazywano go później z trzech względów: po pierwsze że wykładał jakiś czas w wileńskim Instytucie Badań Europy Wschodniej, po drugie że tytuł ten pasował do jego wieku, po trzecie że był niezwykle roztargniony. O roztargnieniu krążyło wiele opowiadań.

Miał on brata, Wacława, archiwariusza wileńskiego. Równie niskiego wzrostu, zresztą bliźniaczko podobnego, i także roztargnionego. Raz, po zebraniu T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie, Studniccy pomylili się wzajemnie w paltach. Zresztą równie krótkich nie było w szatni. Zauważyli dopiero po wyjściu, i razem poszli do komisariatu policji zameldować o zamianie palt. Może to i anegdota, bo kto by tam chodził o to do policji. Ale autentycznie gdy Studnicki jechał dorożką, raptem sobie coś przypomniał, zatrzymał, wysiadł i poszedł z powrotem. Dorożkarz zawrócił konia i posłusznie sunął obok chodnika, myśląc że taka jest profesorska fantazja. Dopiero na trzeciej ulicy odezwał się:

— Panoczek, a dokiedyż tego będzie?

Wynikła wielka awantura, bo Studnicki był pewien, że wcale dorożką nie jechał. W redakcji, bywało, zjawiał się, zawsze w sztywnym kołnierzyku, ale bez przypinanego krawata. (Wiązać nie nauczył się do śmierci).

— Panie profesorze...

— Co? A, zapomniałem, — odpowiadał dotykając świecącej spinki ruchem roztargionym, gdyż poza polityką nie interesowały go drobiazgi. W ten sam sposób inne części garderoby niezawsze były dopięte.

Mówiąc: człowiek dziewiętnastowieczny, nie należy rozumieć człowieka pewnego typu. Raczej odwrotnie. Ludzie tamtej epoki odznaczali się właśnie nieskończoną indywidualnością i tym może głównie różnili się od kolektywnych typów epoki dzisiejszej. Studnicki był indywidualistą wśród indywidualnych; z krewkości charakteru, z temperamentu politycznego, z małego wzrostu przy wielkości ducha, bynajmniej nie w przenośnym znaczeniu tego słowa. A w takim znaczeniu: Gdyby zaproponować było Studnickiemu miliard dolarów za to, aby wypowiedział jedno słowo wbrew swemu przekonaniu, Studnicki nie powiedziałby nawet pół słówka wbrew swemu przekonaniu. Czytelnik myśli naturalnie, że to metafora. Nie, to dosłownie: za żadne dobra ziemskie. Sam mógł zmieniać przekonania; z socjalisty za młodu przedzierzgnąć się w konserwatystę; dochodził rozumowo do zmiennych poglądów na zmienne rzeczy, choć niezbyt często. Był w tym na tyle uczciwy, że można go było przekonać, co

na ogół nie udaje się prawie nigdy. Raz w Londynie powiedział:

— Stroński napisał o mnie straszne głupstwo i muszę natychmiast sprostować.

— Czy warto, panie profesorze? O ten błahy fragment. Całość artykułu była bardzo ładna.

— Przekonał mnie pan. Nie będę prostował.

Raz w Wilnie Studnicki wchodzi (bez krawata) i pyta:

— Kto to wydał takie parszywe rozporządzenie?

— Któżby. Wojewoda, naturalnie.

— Proszę mnie z nim połączyć!

— Może lepiej nie, panie profesorze?

— Proszę! Powiem mu tylko, że jest dureń.

Pan wojewoda wyjechał był akurat na inspekcję.

Studnicki przeważnie nie rozumiał, jak można nie powiedzieć zaraz tego co się myśli. Naturalnie był politykiem, i właściwie tylko politykiem. Choć zapewne żadnym taktykiem. Atakował, wymyślał przeciwników od ostatnich; przesadzał nieraz niemożliwie; przekręcał rzeczy tendencyjnie; deptał po pokoju tam i z powrotem i wymachiwał krótkimi rękami w podnieceniu. Ale nie potrafił znaleźć się w kłamstwie XX wieku, gdy ilość łgarstwa przeistaczać się poczęła już w jakość. Toczył wzrokiem po obecnych i stawał się nieporadny w tej specyfice XX-go wieku. Dlatego zaliczyć go wypada do ludzi XIX wieku.



Władysław Studnicki nienawidził Rosji i wszystkiego co rosyjskie z duszy i serca. Nie tylko mówił, ale pisał w zacietrzewionych ogólnikach rzeczy niekiedy (jak dla mnie) obrzydliwe; że np. Rosjanki, żony gubernatorów, wyższych urzędników, oficerów gwardii, stancjonujących w Warszawie, stały o wiele niżej od prostytutek polskich...

Zmieniłem temat i zacząłem go rozpytywać o jego zesłanie na Syberię. Mieszkaliśmy wtedy w tym samym, pseudo-pensjonacie przy via Emilia 81, u signory Amati, gdzie w biednych pokojkach tulili się uchodźcy nieuprzywilejowani w 2 Korpusie. Żyliśmy z UNNRA. Przez wiecznie otwarte na dziedziniec okno wdierał się ciepły wieczór Włoch, miauczenie kotów i brzęk naczyń w kuchni na tyłach kawiarni „Rosatti”.

— A więc tak... — zaczął swoim zwyczajem Studnicki.

...Gdy go wieźli najpierw Rygo-Orłowską koleją, między Dyneburgiem i Witebskiem zaszedł pewien wypadek. Było kilka przedziałów dla więźniów. W każdym przedziale siedział cywilny *syszczik*, a po korytarzu przechadzał się szef eskorty wach-

mistrz żandarmerii. Ze Studnickim w tym samym przedzialejechała młoda kobieta, aresztowana. Jakoś przed Witebskim, zaczął do niej przylewać się zbyt obcesowo *syszczik*. Studnicki, małutki, zaperzony, aresztowany, wszczął raban:

„W tej chwili won!!”

W drzwiach ukazała się wąsata twarz żandarma.

„W czym rzecz?”

„Won! W tej chwili! W Witebsku zatrzymać i spisać protokół w kancelarii stacyjnej żandarmerii!”

Wachmistrz wyrzucił szpicla, i zaczął przedkładać, tłumaczyć się, bagatelizować.

„Nic nie chcę słyszeć. Żądam spisania protokołu!”

Wtedy żandarm zaczął prosić aresztowanego Studnickiego:

„*Wasze błagorodie...*”

„Wysadzić w Witebsku na stacji i spisać protokół!”

„*Wasze błagorodie... Wasze wysokobłagorodie...* — prosił przykładając uwłosioną rękę do czapki. — *Ja nasiwki potieraju...* za taką rzecz”.

Studnicki dał się wreszcie ubłagać.

Było to w roku 1890, jeszcze za nieboszczyka cara Aleksandra III.

— A jak karmiono wtedy — zapytałem, — w etapowym więzieniu na Butyrkach?

— Nie wiem.

— Jakto?...

— My za drobną dopłatę kazaliśmy przynosić sobie z restauracji. Jakaś zupa, kotlety, słodkie. — Kuchnią Studnicki nigdy się nie interesował. Jadł co na talerzu i myślał o polityce. I tylko raz słyszałem że pochwalił jedzenie...

Ale było to już gdy dowieziono go na zesłanie syberyjskie, do wielkiej wsi gdzieś pod Minusińskiem. Socjalista, zesłaniec Studnicki, wszedł do przeznaczonej mu na mieszkanie izby, obwieszanej ikonami i tanimi litografiami carskich portretów, obrzucił wzrokiem i zarządził gospodyni:

„Bogi mogą zostać. Ale carów wszystkich won stąd!”

— No i co na to ta baba?

— Pocziwa była. Zdejmowała ze ścian portrety carów, wyносиła z izby i biadoliła:: „Już jak oni jemu, biednemu, musieli nadokuczyć, że on ich tak nienawidzi...” Ale gotowała obiady, pierogi, wszystko pyszszsznie! — Pochwalił po raz pierwszy Studnicki.

— A był nadzór?

— A jakże. Codziennie rano. Ale ja pisałem do późna w nocy i rano spałem. Czasem tylko przez sen słyszałem, jak nad-

zorca cicho puka do drzwi gospodyni i pyta: „*Jewo błagorodie, spiat jeszcze?*”

— I co pan profesor robił całymi dniami?

— A więc było tak. Rząd płacił za moje utrzymanie 8 rubli miesięcznie. Izba z pełnym utrzymaniem kosztuje 7 rubli. Zostawał mnie rubel. Z domu przysyłali mi 10 rubli miesięcznie. Można było chodzić, robić wycieczki, polować. Powietrze bardzo zdrowe. Ale ja nie polowałem. Nafta do lampy kosztowała kilka kopiejek na cały miesiąc. W Minusińsku była olbrzymia biblioteka. Raz na miesiąc najmowałem trojkę, jechałem, nabierałem masę książek, czytałem i pisałem. Napisałem tam swoją książkę o Syberii. Pisałem artykuły do gazet.

— Ależ to miał pan urocze życie! Z miejsca wymienilibym na tamto, obecne nasze we Włoszech...

— No więc tak... — Co oznaczało u Studnickiego nie tylko zagajenie, ale również uchylenie się od bezpośredniej odpowiedzi.

Bo Studnicki tendencyjny w innych wypadkach, w politycznym tasowaniu źródeł i zwłaszcza statystyk do których miał pociąg — w relacji, w opowiadaniu, nie umiał kłamać. Jeżeli opowiadał, to zawsze prawdę.



A były to akurat czasy, gdy uchodźcy spływający z Polski do Włoch, często wypchani dolarami, obszyci w szlifowane i nieszlifowane brylanty, jeden przez drugiego opowiadali o strasznym głodzie i nędzy w przedpowstaniowej Warszawie. W tej Warszawie, która tak wspaniale nie dała się okupacji niemieckiej, rypostując czarnym rynkiem, spekulacją, zrzutami dolarowymi, złotem; wypchana ciastkami, kosztami bułek niemal w co drugiej bramie ulicznej, za co „legalnie” groziła kara śmierci... Płynąca wódką i bimbrem. Gdzie nielegalny, nieustanny obrót dawał wszystkim zarobek i prawie nie było ludzi biednych. Teraz, raptem jak za dotknięciem czarodziejskiego okólnika, jednym tchem i na jedną nutę opowiadali, że było akurat odwrotnie... Pamiętam jak Studnicki, który sam w r. 1944 wy dostał się z Warszawy, słuchał tych opowiadań z jakimś, powiedziałbym: zdzieleniem zdużeniem w oczach. Nie, on nie umiał sobie z tym poradzić.

„Il nostro professore”, jak go nazywała signora Amati.



Po tych syberyjskich wspomnieniach XIX wieku, leżałem nakryty ubogim kocem jak we włoskim filmie współczesnym, który z kraju najpiękniejszej architektury i najpiękniejszej przy-

rody, pokazuje stale koszarowe kamienice, glinianki, stosy po-
giętego żelazniwa, druty przecinające niebo, beznadziejne podwó-
rza... Właśnie księżyc zahaczył kawałkiem o komin nad takim
podwórkiem, kocie miauczenie nabrało wizgu umęczanego dziec-
ka; szlagier „Napoli...”, który wszedł akurat w modę, spły-
wał nieodmiennie z górnego piętra... Zasypiając, przypominałem
sobie że kiedyś, kiedyś dzieliłem Europę, chyba w dzieciństwie,
na okna o mocnych okienicach z desek, i na takie o żaluzjach z
cienkich, przewiewnych deszczulek...

Otwarte kopniakiem buta szklane drzwi, i światło w zaspane
oczy latarek brytyjskich żandarmów, którzy sprawdzali czy gdzieś
nie nocują dezertery, przywróciło świadomość wieku XX-go.



W bocznym zaułku za Ponte Cavour, mieściła się stołówka
gdzie za półtora czy za trzy liry, już nie pamiętam, słowem
za darmo prawie, wydawano z opieki polskich instytucji przy
2 Korpusie, bardzo marne obiady dla tych, którym nie przy-
sługiwały lepsze. Schodziły się tam szumowiny uchodźcze z Nie-
miec, uciekli spod bombardowań i robót przymusowych, urato-
wani Żydzi, przemyceni biali Rosjanie, jacyś Kaukazczycy, lu-
dzie oskarżeni o „kolaborację” i temu podobne śmiecie. Razu
pewnego Studnicki uniósł głowę znad talerza polenty i powie-
dział poważnie:

- Pójdę, i dam mu w papę.
- Komu, panie profesorze?
- Churchillowi.
- Za co?
- Za to, że sprzedał Polskę.

Obecni przy stoliku uśmiechnęli się, jak sądzę nie tyle z
niewykonalności projektu, ile z wyobrażenia sobie bardzo nis-
kiego staruszka podskakującego z piąstką do nadętej cygarem
twarzy jednego z najpotężniejszych ludzi świata.

Było to wtedy, gdy w „Orle Białym” ogłoszono tekst polsko-
brytyjskiej gwarancji z 1939, która jak się okazało, nie gwaran-
towała ni granic, ni bezpieczeństwa Polski od strony Związku
Sowieckiego. Studnicki był tym tekstem wstrząśnięty osobiście.
Bo dla niego „Sprawa Polski” była całe życie sprawą osobistą.
Nie będę tu omawiał roli jaką odgrywał Studnicki w ciągu
dziesiątków lat walki o niepodległość. Od współautorstwa PPS,
współpracy z Piłsudskim, zaangażowania po stronie „aktywistów”
w I wojnie światowej, udział w Radzie Stanu i td. To należy
do historii Polski. Jego liczne dzieła polityczne, które opubli-

kował. O tym napisze, może, ktoś biegły w historiografii tamtych czasów w sposób bardziej ortodoksyjny. Studnicki był germanofilem. To znaczy za „odwiecznego wroga” uważał Rosję, i konieczność dziejową Polski dostrzegał w szukaniu oparcia o Niemcy dla walki z tamtym przeciwnikiem nr 1. Jak wiemy, w ramach tego schematu mieściły się też pro-austriackie koncepcje Piłsudskiego z pierwszej wielkiej wojny. Zwłaszcza (odwracając slogan z drugiej wojny o „sojusznikach naszych sojuszników”), że Niemcy były wówczas sojusznikiem Austrii.

Podczas drugiej wojny zetknąłem się z nim dopiero w 1943, przypadkowo. Przyszedłem na piechotę jak zawsze, dwanaście kilometrów z Czarnego Boru do Wilna, w kożuszkach, długich butach, obłożony, głodny i tu dowiedziałem się, że z Warszawy przyjechał do Wilna Studnicki. W Wilnie wtedy panowała autentyczna nędza. Bolszewicy wszystko „upaństwowili”, a Niemcy niczego nie oddali. Studnicki zatrzymał się w jedynym czynnym hotelu „Europejskim”. Tymczasem zapadł zmrok, zbliżała się fatalna godzina policyjna. Myślałem, że nie będzie już czasu na zobaczenie się ze Studnickim i wypadnie wlec się z powrotem te 12 kilometrów za miasto. Szczęściem portierem w hotelu był wówczas profesor Witold Świda, obecny rektor uniwersytetu wrocławskiego. Należąc chyba do jakiejś organizacji podziemnej, umiał to robić wspaniale. Z kamiennym spokojem sięgał po klucze, notował w księdze, odpowiadał gościom zwięźle, jakby praktyka w loży portierskiej należała od zawsze do jego zawodu. W jego wszechmocy było dać pokój, za darmo, i z tej wszechmocy skorzystałem. Nieopalanym, beznadziejnym jakoś przez skojarzenie z dawnym życiem. Poszliśmy później do numeru Studnickiego. Mimo zimna mył się akurat przed spaniem, obnażony do pasa. Trudno było wyobrazić, że w tym kawałku starczego ciała może się mieścić tyle jeszcze niespożytej energii ducha, przekonań, decyzji walki politycznej, koncepcji własnych i wciąż optymizmu... Tyle planów, które przed nami roztoczył, czynów które według tych planów należałoby wykonać...

O postawie i działalności Studnickiego podczas drugiej wojny światowej, też nie będę referował. Ani o jego memoriałach, osadzeniu na Pawiaku, uderzeniu w twarz jakie zaaplikował strażnikowi; ani o jego rozmowie z Goebbelsem, osadzeniu w „sanatorium” w Niemczech, zwolnieniu etc. O tym opowiedział sam w cyklu artykułów ogłoszonych w „Wiadomościach” londyńskich. Mówił mi, że redaktor Grydzewski nie zgodził się tylko na tytuł ogólny: „Dlaczego nie zostałem polskim Quislingiem”.

Niech mi będzie wolno natomiast odstąpić od zwyczajów i do własnego tekstu włączyć to, co o Studnickim napisała Bar-

bara Toporska, która go знаła i z przedwojennych i do ostatnich czasów:

„Żył, aż po wilgotną śmierć w Londynie, jedną obsesją — Polska.

Krążyło setki anegdot o jego roztargnieniu. Goniły za nim zgubione kapelusze, szukały go parasole, przynieszczone teczki, stale zapominane klucze. W Londynie wszystkie domy są jednakowe. Zdarzało się, że pomylił jeden numer, zadzwonił do cudzego mieszkania, zdjął palto w przedpokoju i na oczach oniemiałej gospodyni, pewnym krokiem wkroczył do pokoju, który według tego samego rozkładu powinien być jego pokojem... Gdy mu wyjaśniono błąd, był tak zdumiony, że stracił resztkę orientacji. Szczęściem miał przy sobie notes z numerami telefonów. Zadzwonił do znajomego i zapytał: „Niech pan powie gdzie ja mieszkam?... Acha, dziękuję”. — Anegdot nie trzeba było zmyślać, jak nie trzeba brać w przerośnięcie co powiem: Był to człowiek doskonale roztargniony wobec wszystkiego co nie było Sprawą Polską. Nigdy nie zapominał daty politycznych spotkań, ani tego co miał powiedzieć. Pochłaniało go to, absorbowało i w jakiś sposób hartowało. Żywił się kaszą manną. Donaszał stare ubrania. Jak się nie zgubił? Jak trafiał do właściwych pociągów? Sądzę, że tylko wtedy i dlatego, gdy były w logicznym związku z urzeczeniem. Raz, w największym tłumie w podziemiu Leicester Square Station, przepychając się wołał po polsku: „Gdzie jest linia Picadilly? Gdzie Picadilly? Gdzie...” Trzeba trafiać na 9 milionów, na peronie stał Karol Zbyszewski. Wziął go za rękę i odprowadził do właściwego wagonu. Opowiadała mi jego żona, że do ich małżeństwa doszło tylko dzięki temu, że od oświadczyń do ślubu wszystko załatwiła sama w terminie trzytygodniowym. Przez roztargnienie gotów byłby, bo ja wiem, ożenić się z inną? Trudno o komentarze, gdy tematem jest człowiek który doprowadził ascezę do granic prawie całkowitego wyzbycia się osobistych emocji, ambicji, potrzeb. Patrioci wszystkich krajów powinni go stawiać sobie za abstrakcyjny ideał. W jaki sposób mogło więc dojść do bojkotu Patrioty Idealnego przez patriotów standaryzowanych?

„W polityce nie ma względów dla przegrywających. Studnicki był politykiem, Studnicki przegrał. Zgoda. Ale jego polityczni adwersarze też przegrali. Stawką była przecie Polska. Polskę Ludową wygrali komuniści. A przedtem przegrał również Beck. Trzydzieści jeden lat temu zaczynałam karierę dziennikarską. A początki pamięta się zazwyczaj dobrze. Nikt wtedy w Polsce nie słyszał o żadnych projektach wojny prewencyjnej przeciw Niemcom. Wizycie min. Barthou w Warszawie towarzyszyły gromkie wiwaty prasy opozycyjnej, i bardzo powściągliwe arty-

kuły prasy rządowej. Wkrótce potem dyskutowało się natomiast wiele o możliwościach wojny prewencyjnej przeciw... Sowiecom. Oczywiście w aliansie z III Rzeszą. Wtedy poznałem Studnickiego. Nie był bynajmniej w swoich koncepcjach odosobniony, jak to się dziś tchórzliwie udaje. Studnicki był wtedy jeszcze wielkim autorytetem, uwielbiany przez zwolenników, poważany przez przeciwników...”



Tak, to jest niewątpliwie pytanie kapitalne: jak się stało, jak się w ogóle mogło stać, że jeden z największych patriotów jakich nosiła ziemia polska, mógł być raptem uznany nieomal za zdrajcę? Tylko dlatego, że był innego zdania (w tym rzekomo „narodzie indywidualistów”!!), że wysuwał odmienną koncepcję polityczną, że propagował inną receptę sojuszów politycznych? — To w XIX wieku przydarzyć by się mu nie mogło. To musiało być, to na pewno było wielką tragedią Studnickiego. Choć starał się tej tragedii do końca przydać pozory zaledwie sporu politycznego.

Przyznam szczerze, iż mało ludzi na świecie, a może nikt nawet nie wzbudzał we mnie tyle respektu i podziwu, tyle szacunku i entuzjazmu co Władysław Studnicki. Za jego absolutną nieugiętość, odwagę, siłę przekonań, niewzruszoność wobec szczekania i oszczerstw ze strony sfory, często na łańcuskach obcych agentur; za jego ideowość, samozaparcie, prawdomówność, prostolinijność, bezwzględną uczciwość osobistą, dziewiętnastowieczność. — I przyznam jednocześnie, że chyba najbardziej ze wszystkich możliwych, nie zgadzałem się z jego poglądami, jego koncepcjami, jego wizją polityczną. Studnicki, który całe życie walczył o „polskie Ziemie Wschodnie”, nie znoził zarazem, nie przetrawiał po prostu tzw. „wschodu europejskiego”. I wszystkiego co było z niepolskim elementem na tych ziemiach związane. Raz na walne zgromadzenie Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich, do którego należał nie bywając prawie nigdy przybył umyślnie gdy do zarządu wybrany został Ludwik Abramowicz. Jedyne autentyczne w Wilnie patriota W. Księstwa Litewskiego; jedyny prawdziwy „krajowiec”, niezależny od dyspozycji Belwederu... Studnicki wstał raptem z ostatnich krzesel i oświadczył gromkim głosem:

— Występuję z Syndykatu, dopóki zasiada w nim ta kalia Abramowicz!

Studnicki miał awersję do Litwinów, Łotyszów, Ukraińców; Białorusinów nie uważał w ogóle za naród; do Żydów, z wyjątkiem jednego prof. Marceliego Handelsmana. Odczuwał od-

razę do wszelkiej „Rusi”, a nienawidził Rosji, i nade wszystko na świecie cokolwiek „*Rusju pachniet...*” Kochał wyłącznie Polskę i wszystko co polskie. Był więc pod tym względem zbliżony najbardziej do endeków. I byłby może wyrósł ponad Dmowskiego, gdyby ta jego bezwzględna „zachodniackość”, ta jego „antyschodniość”, nie zaprowadziła go aż do germanofilstwa. To wcale nie jest paradoks. Był węgrofilem, austrofilem, italofilem; ale dopiero w sojuszu z najpotężniejszym z sąsiadów, Niemcami, widział możliwość skutecznego przeciwstawienia „wschodniej inwazji”, „ruskiemu zalewowi”.

Studnicki wychodził więc z emocjonalnych pobudek, które były akurat i wprost przeciwstawne moim własnym, że wybaczy mi czytelnik iż absurduję go jakże skromną, w zestawieniu, moją osobą. Ale czynię to wyłącznie w celu porównawczego wypunktowania politycznej osobowości Studnickiego. — Osobiście jako z krwi i kości wschodnio-Europejczyk, uważam marksistowsko-bolszewicką zarazę za plagę tym większą, że spada na wszystkich jednakowo mi bliskich Litwinów, Białorusinów; na Ukraińców, Łotyszów, i... na wszystkie ziemie ruskie pierwszą tej plagi ofiarę. — Studnickiego nic nie obchodził los Litwinów, nic nie obchodził los Białorusinów, nic nie obchodził los Ukraińców, a już zupełnie nic los Rosjan. — Podstawowym założeniem mojej argumentacji jest rozróżnienie Rosji od Bolszewii. Studnicki, w myśl ortodoksyjnej polskiej doktryny, identyfikował Rosję z Bolszewią. — Ja widziałem wroga wyłącznie w międzynarodowym komunizmie. Studnicki kwestionował realne istnienie tego pojęcia. — Ja wbrew narodowej polskiej tezie dostrzegam w narodzie rosyjskim potencjonalnego sojusznika w walce z komunizmem. Studnicki w zgodzie z polską narodową tezą, dostrzegał na równi w czerwonych jak białych Rosjanach, tylko wroga.

Mnie proniemieckie koncepcję Studnickiego nie obchodziły wcale. Uważałem po prostu wszelkie poputniczeństwo, wszelki rodzaj pomocy i kolaboracji z międzynarodowym bolszewizmem — bez względu na formę i koniunkturalne uzasadnienie, bez względu na interpretację interesów ściśle narodowych, — za w perspektywie dziejowej... zbrodnię. Nie tylko w stosunku do przyszłości Polski, nie tylko w stosunku do Europy wschodniej, ale w rezultacie Europy całej, i — całej ludzkości.

Studnickiego niekonkretna nadrzędność interesów ludzkich, a tym mniej wschodniej Europy, nie obchodziła wcale. Jego obchodziły konkretne interesy polskie. W tragicznym splocie, wobec zbrodniczej i zresztą szaleńczo-samobójczej polityki systemu hitlerowskiego, szukał jakowegoś *modus* przyszłości w opar-

ciu o swe zasadnicze koncepcje, które w politycznym sensie uważał jeszcze za realne.

Osobiście, wychodząc z założenia ideologicznej nadrzędności, „wsienarodną” nagonkę na moją osobę mam — ostrożnie mówiąc — w nosie.

Dla Studnickiego, wyrzucenie go poza nawias polskiej racji stanu, nie mogło nie być ciosem i cierpieniem ostatnich dni jego wielkiego życia.



Nie ma chyba rzeczy drożej kosztującej niż zachowanie nie zależności stanowiska. Spacer między frontami należy poza tym do najmniej przyjemnych przechadzek. Stąd spotykaliśmy się ze Studnickim podczas, i po wojnie, przeważnie w dużej biedzie osobistej. W Wilnie, w Warszawie przed powstaniem, w Krakowie po powstaniu. On pojechał na Węgry. W Rzymie, w Londynie. Studnicki będzie podpierał myślami politycznymi. Chciał walczyć do końca, a walczyć politycznie można tylko przy pewnym zasobie optymizmu. Choć zaczęły i w nim występować objawy rezygnacji.

Gdy przed samą swoją karkołomną wyprawą do Polski, zjechał z Londynu do Rzymu Adam Doboszyński, odszukał Studnickiego na via Emilia. Rozmawiali długo. Nie jestem pewien, czy nieugięty staruszek nie wpompował w Doboszyńskiego sporę dozy optymizmu o nieugiętej wobec „Rosji” postawie społeczeństwa w kraju. Potem przeszli korytarzem do mego pokoju. Powiedziałem Doboszyńskiemu, że na podstawie doświadczeń z dwóch okupacji, sowieckiej i niemieckiej, zapatruję się skrajnie pesymistycznie. Że Niemcy robili z narodów podbitych bohaterów oporu, a bolszewicy robią gnój. Że komunizm rozkłada od wewnątrz. I że powinien pamiętać, że Związek Sowiecki to nie jest Rosja. — Słuchał mnie z niechętnym roztrągnięciem, a przy ostatnich słowach wstał:

— No, to panowie muszą uzgodnić między sobą, czy Sowiety są Rosją, czy nie są Rosją. Bo od profesora słyszałem właśnie odwrotnie, że to jest rzecz identyczna. To muszą panowie uzgodnić...

— No, więc tak... — powiedział Studnicki i wyszedł pierwszy. Zrobił to przez uprzejmość, aby nie czynić mi przykrości. Nigdy przedtem nie bywał uprzejmy w dyskusji politycznej. Nigdy nie uchylał się od natychmiastowej, ostrej repliki. Znaczy, Studnicki starzał się.

I Studnicki wreszcie skłamał. Zdarzyło się to, gdy odwiedziłem go w jego mieszkaniu na Bayswater w Londynie. Studnicki

leżał w łóżku. Przy nim, na stole stos drogich książek, ostatnie nowości polityczne.

— Skąd tyle pięknych książek?

— A to, profesor Stroński. Wie, że ja jestem niedysponowany i nie mogę wychodzić z domu w taką pogodę do księgarni, więc...

Oczywiście nie dlatego! Gdyby Studnicki sto razy był zdrow i sto razy mógł wyjść, nie miał przecie pieniędzy żeby sobie kupować książki! I Stanisław Stroński o tym doskonale wiedział. Kupował więc za własne pieniądze i posyłał staremu wrogowi politycznemu, który przecie bez książek nie mógł żyć. W tym geście notorycznego adwersarza, jednego z największych germanofobów, posyłającego książki największemu germanofilowi w biedzie, było coś bardziej niż wzruszającego, coś bardziej czystego niż łaża w oku na wspomnienie starych czasów. Było jak ostatni odbłask rycerskiego pancerza, zapadającego w czarną chmurę wyjców. — Ale Studnicki nie chciał się jeszcze przyznać do własnej niemocy.

Aż przyszedł czas, gdy i przed Studnickim wypadło kłamać.

Bo rycerskość, jak nas uczono, mówiąc patetycznie: „od kolebki” — polega na szlachetności okazanej słabym. Ale metalowy wydźwięk tego wyrazu pochodzi w pierwszym rzędzie od wspaniałomyślności okazanej powalonemu w polu wrogowi. Im wróg był większy, tym rycerskość jest większa, tak się zdawało; kiedyś. — Dziś wyszmelcowane to słowo ponieważ się w polskim druku szczególnie często. Studnicki chciał je wprowadzić w czyn. Rozpychając krzyczący tłum, roztrącając załamane ręce bodaj nawet najbliższych, zgłosił się na świadka obrony w procesie feldmarszałka Ericha von Mansteina.

Do mnie wtedy przyszedł pewien, to co się nazywa: nie-skazitelny politycznie Polak, dziś powszechnie szanowany, doskonały autor, wszelako prosił o ścisłą dyskrecję, którą zachowuję. Za jego pośrednictwem dostarczyłem członkowi Izby Gmin, Mr. Paget'owi, obrońcy Mansteina, sporo materiału o mordzie katyńskim, fotokopie dokumentów z archiwum litewskiego o masowych deportacjach i innych zbrodniach sowieckich na Litwie i Łotwie.

Ale Studnicki poszedł z otwartą przyłbicą.

Zdaje się, że do wezwania jego na salę rozpraw nawet nie doszło. To zresztą nie miało znaczenia. Natomiast w jednym z polskich czasopism emigracyjnych w Londynie, ukazała się karykatura Studnickiego w postaci — wielkiej świni...

Ukryto przed nim tę karykaturę. Był już wtedy w połowie dziesiątka do lat 90-ciu. Nie dlatego skłamano, żeby w ciągu

długiego żywota walk politycznych nie był otrząskany, przyzwyczajony do ataków na swoją osobę, insynuacji, oszczerstw i karykatur. Ale, tak, jakoś... Może niektórym którzy go znali, może niesłusznie, karykatura ta wydała się nagle już nazbyt świńsko-nierycerska.

.. /

Chowano go w pochmurny dzień, jakich bywa większość w Londynie. Choć deszcz nie padał. Zgromadziła się nad grobem nawet spora garstka ludzi. Życ już dłużej nie mógł, bo był i tak bardzo stary. A zresztą, po co by mu to było. Lata zagłębiały się coraz dalej w wiek XX-ty.

Józef MACKIEWICZ

TOM CXVI · BIBLIOTEKI "KULTURY"

CZESŁAW MIŁOSZ

GUCIO ZACZAROWANY

Nowy tom wierszy Czesława Miłosza świadczący o stałym rozwoju poety. Uderza w tym zbiorze — ułożonym w formie suity poetyckiej — skupiony spokój i rozległość wizji. Prostota i zwięzłość wyrazu idą tu w parze ze złożoną problematyką filozoficzną. Przyroda brzegów Pacyfiku nasycza te wiersze wnosząc nowe motywy do polskiej poezji. Włączone w tom adaptacje Walta Whitmana i Robinsona Jeffersa tematycznie uzupełniają całość.

Str. 56

Cena 7 F. (10/-; \$ 1,50)

Zofia Bohdanowiczowa

Zofia Bohdanowiczowa zmarła w Toronto 13 października br. po długiej, bo trwającej ponad rok, ciężkiej chorobie. We wrześniu 1964 r. poszła po raz pierwszy do szpitala, gdzie miała być operowana. Wówczas to lekarze stwierdzili, że zabieg chirurgiczny jest zbędny, gdyż rak zaatakował niemal wszystkie wnętrzości. Tylko nieliczni znali orzeczenie lekarskie a Pani Zofia oczywiście do nich nie należała. Do ostatniego dnia nie wiedziała na co umiera, ale od szeregu miesięcy miała pełną świadomość zbliżającego się końca. Nie wiem czy można powiedzieć, że walczyła ze śmiercią, bo Pani Zofia czekała na śmierć. Pragnęła śmierci. Nie tylko dlatego, że tak straszliwie w ostatnich dwóch miesiącach cierpiała, bo narkotyki działały coraz krócej.

Uważała — niesłusznie — iż jest już zbędna. Ale chyba kryła się za tym bezmierna tęsknota za mężem, który zmarł w 8 miesięcy po przybyciu do Kanady. Bohdanowiczowa, osoba głęboko wierząca, czekała na spotkanie z nim. Często o tym mówiła w tych ostatnich tygodniach uchodzącego życia.

Nie zamierzam analizować twórczości Bohdanowiczowej zajmą się tym inni. Pragnąłbym tylko wskazać na pewne charakterystyczne cechy, podać garść bezpośrednich obserwacji i wspomnień.

Jest niezmiernie znamienne, że Zofia Bohdanowiczowa, rdzena warszawianka, panna Czaplicka, pozostanie związana z Wileńszczyzną. Dla wielu, zapewne bardzo wielu, jest najbardziej regionalną poetką Ziemi Wileńskiej. Znają tylko te wiersze, deklamują je na różnych smętnych obchodach, na uroczystościach.

*U białam sadzie, u winahradzie
Za Turgielami
Bezgwiezdna ciemność gęsto się kładzie
Między drzewami.*

*Ech! żebyż jeszcze w tych sadach sielskich
Duszę odprężyć
I siwym koniem z tąk podturgielskich
Zawrócić w księżyc!*

Jeszcze inni cytować będą jej proste, albo misterne, wiersze religijne, brzmiące jak modlitwy:

*Pryska biały szron stearyny
Na śnieg obrusa lnianego.
W czyichś palcach książeczka szeleści:
„Złoty Ottarzyk. Zbiór modlitw i pieśni.
Wilno. Księgarnia Zawadzkiego”.
Modlą się za ziemie ojcowskie,
Jagiellońskie, mickiewiczowskie.
I krzyczą spod sinych omgieł
O świt, o miecz, o chorągiew,
O zmiłowanie boskie!*

Pisała prozą i wierszem. Pisała dla dzieci, była autorką słuchowisk radiowych i doskonałą interpretatorką. Chciałoby się powiedzieć aktorką rodzajową. Była niezrównaną wykonawczynią — zresztą własnych tekstów-humoresek, monologów wileńskiej baby.

Przybyła do Kanady w 1960 r. wyłącznie ze względów rodzinnych i z tych też powodów pozostała w tym kraju. Był dla niej zbyt surowy, zbyt obcy.

*Kanada blaskiem rozsypana,
Na dwóch leżąca oceanach,
Nie słyszy mnie i nie dostrzega
Żdźbła wiszącego na jej brzegach.
Ona jest skrzydło i huragan
I śpiewająca wichrem saga.
A ja — przywiana z dróg kurzawy
Niedodeptana kępka trawy.*

Ale ona nie była ani obca ani surowa. Potrafiła bardzo szybko zdobywać ludzi lecz unikała tych podbojów, raczej unikała wielkich zbiegowisk. Z trudem udało się Wacławowi Iwaniukowi nakłonić ją na pierwszy wieczór autorski, który zresztą był wielkim sukcesem. Broniła się przed pisaniem felietonów twierdząc iż nie potrafi, ale kiedy przemożem te jej obawy powstał świetny cykl opublikowany w „Związkowcu”, gdzie też ogłoszono jej wnikliwy referat o Norwidzie, wygłoszony na wieczorze poświęconym jego twórczości. Okazało się, że potrafi być i krytykiem.

Nie zakochała się w Kanadzie, ale tutaj nastąpiła największa ewolucja jej twórczości. Nie wiem czy można powiedzieć iż właśnie na tym kontynencie znalazła właściwe formy, najlepszy

język, ale sama podkreślała iż czuje iż weszła na właściwy szlak.

Aż do przybycia do Kanady nie znała poezji amerykańskiej. Nie znała i innej twórczości literackiej tego kontynentu. Jak wielu Europejczyków żyła w przeświadczeniu iż ta twórczość jest albo echem angielskiej, albo bardzo nieciekawa.

I jakież było jej zdumienie kiedy zaczęła czytać poetów amerykańskich! Niebawem zdumienie przeszło w zachwyt. Nie był to stan przejściowy. Nie! Szybko nadrobiła braki, a później bacznie śledziła życie poetyckie Ameryki. Przystąpiła do tłumaczenia bliskich jej autorów i — jak zgodnie stwierdzają znawcy — przekłady jej są doskonałe. To obcowanie z poezją amerykańską, z nową poezją, nie pozostało naturalnie bez wpływu na jej własną twórczość. Wiersze powstałe w Kanadzie różnią się od poprzednich. Nie tylko treścią, ale i formą. Są zwarte i głębsze, uderzająco śmiałe, nowatorskie.

Bliski jej był Dylan Thomas. Kochała jego poezję ale i on sam — tak szalenie inny aniżeli ona — fascynował ją. Bolała nad jego zmarnowanym życiem. W skrytości ducha uważała zapewne iż zmarnowała go Ameryka. Napisała tylko:

*A gdy wchodziłam znowu w zaspę śniegu,
W sztylety sopli, w grudy obcych brzegów,
W miasto, gdzie beton, tafle szkła i stal
Sterczały jak szkielety nie warte pogrzebu, —
Zniknęła nagle gałązka jabłoni!
W mej zaciśniętej, posiniątej dłoni
Trzymałam tylko popiół-własny żal.*

Ostatni tom poezji *Sprzeciwiając się świerszczom*, przygotowała do druku w połowie 1964 r.; ale nie zdołała się już ucieszyć swym dziełem. Ostatnią korektę zrobił Wacław Iwaniuk. Pani Zofia obejrzała jeszcze pierwszy nieoprawny egzemplarz. Trudno przypuszczać, że tylko przypadek zdarzył, iż ten tom zamyka wiersz kończący się słowami:

*Na nic coraz ciemniejsze
I w ciemność bijące wiersze!
Kropla blasku jak perła w muszli
Nie w poetyckiej strofie,
Lecz w prostych słowach zamknięta:
Który o wróblu pamiętasz,
Memento etiam, Domine,
Famulae tuae Sophiae.*

Benedykt HEYDENKORN

Uwagi o krytyce literackiej

W znanym angielskim tygodniku literackim *The Times Literary Supplement* istnieje reguła, że współpracownicy nie podpisują artykułów i recenzji. Redakcja rozumuje, że autorzy otoczeni zasłoną tajemnicy, będą się wypowiadać swobodnie i krytycznie. Niestety, ta zasada, brzmiąca dość sensownie w teorii, daje słabe wyniki w praktyce: artykuły w *The Times Literary Supplement* są nudne i gadatliwe. Okazuje się bowiem, że anonimowość nie jest w stanie przerobić miernych belfrów i literatów w czujnych krytyków. Natomiast krytycy z prawdziwego zdarzenia i tak wolą wypowiadać się otwarcie.

W ostatnich latach, zdając sobie jakby sprawę, że pismu brak wigoru, redakcja *The Times Literary Supplement* postanowiła wydawać od czasu do czasu specjalne numery składające się przeważnie z podpisanych esejów znanych pisarzy, uczonych lub krytyków. Jedno takie sympozjum, poświęcone zagadnieniom krytyki literackiej w Europie i Ameryce, ukazało się teraz w formie książki zatytułowanej *Moment krytyczny*. (*The Critical Moment*, London 1965). Uwagę moją zwróciły z różnych względów trzy artykuły: Jana Kotta o sytuacji w Polsce, doktora Leavisa o pracy naukowej w Cambridge i profesora René Welleka amerykańskiego uczonego specjalizującego się w teorii literatury.

Rzecz Kotta ma charakter czysto sprowozdawczy: informując o wpływie angielskiej myśli krytycznej na Polskę, Kott zauważa, że największy wpływ wywarli filozofowie Bacon, Locke, Mill i Russell, znani ze swego trzeźwego rozumowania i oświeconego liberalizmu. Kott przypomina także, iż Stanisław Brzozowski, który „w niezmiernie ostry lecz zasadniczo konstruktywny sposób walczył z filozofią Marksa i Sorela”, przejął się „surowym intelektualistycznym katolicyzmem kardynała Newmana” i przeciwstawił go „tradycyjnemu, beztroskiemu i sentymentalnemu katolicyzmowi polskiemu”.

Przechodząc do czasów najnowszych Kott pisze o młodych pisarzach polskich żyjących na emigracji, których dwujęzyczność stanowi według niego „naturalny pomost między myślą anglosaską a życiem literackim w Polsce”. Czy taki pomost rzeczywiście istnieje? Wątpię, przede wszystkim po prostu dlatego, że wymiana myśli między Polską a pisarzami polskimi żyjącymi poza krajem jest ograniczona i przypadkowa. Tymczasem z eseju Kotta widać, jak odległa od wzorów anglosaskich jest krytyka polska, tradycyjnie zbliżona do Niemiec i Francji. Skrupulatność badaczy i akademików niemieckich jest przysłowiowa, wpływ egzystencjalizmu na Polskę w latach ostatnich trudno wyolbrzymić, ale krytyka literacka nie jest przecież ani szperaniem w bibliotekach, ani,

jak chce Kott, mieszańką rozwodnionej myśli Sartre'a, badań nad kulturą masową i cybernetyką. Dlatego, wbrew opinii Kotta, nie wydaje mi się, by w chwili obecnej polska krytyka literacka była godna szczególnej uwagi.

Na pewno skorzystałaby z przykładu krytyki angielskiej i amerykańskiej, która wychodzi z prostego, lecz jakże często zdominowanego założenia, że przedmiotem badania nie jest ani społeczne pochodzenie autora, ani jego polityczne filiacje, ani kompilacja wpływów, lecz samo dzieło literackie we wszystkich swoich aspektach. Profesor Wellek słusznie podkreśla w swoim artykule autonomiczność sztuki i zauważa że „utożsamianie niezależnego, iluzyjnego charakteru sztuki z brakiem rzeczowości i humanistycznego zaangażowania jest kaprysem naszych czasów”.

Pozornie esej doktora Leavisa ma znaczenie lokalne, gdyż składa się z ataku na ciało pedagogiczne w Cambridge za projekt obniżenia poziomu prac doktorskich z anglistyki. Artykuł dotyczy jednak także spornej a zasadniczej kwestii celowości nauk humanistycznych, zwłaszcza w naszych czasach technologii i nauk ścisłych.

Jaki cel mają studia literatury rodzimej? Jaki pożytek przyniosą studia uniwersyteckie nad poezją Kochanowskiego i prozą Prusa, dramatem Szekspira czy Eliota? Utwory te możemy czytać dla własnej przyjemności bez niczyjej pomocy. Kurs seminariów poddający technicznej analizie pierwsze wydanie sztuk Szekspira, choć zapewne interesujący dla wąskiego kręgu specjalistów (jaka dziedzina nie ma swych specjalistów!) nie jest konieczny dla miłośnika literatury.

Doktor Leavis jest przekonany, że literatura stanowi zbyt ważną dziedzinę, mającą zbyt wielkie znaczenie w naszym życiu codziennym, by naukę o niej można było ograniczyć do komentowania tekstów i ustalania przyczynków. Obcowanie z dziełem literackim należy traktować za podstawę kształtowania inteligencji, za podstawę umiejętności krytycznego wartościowania sztuki i jej wpływu na rozwój naszej kultury.

Krytyczna metoda Leavisa polega na wnikliwej analizie dzieła. Dokonawszy formalnego rozbioru, Leavis z kolei zastanawia się nad oceną dzieła i tu wprowadza już rygorystyczne wartościowanie moralne, wywodzące się częściowo z anglikańskiej tradycji chrześcijańskiej, częściowo zaś z humanistycznych przesłańek socjalizmu i marksizmu. Leavis nie ogranicza się bynajmniej do jakiegoś ciasnego moralizmu: nie narzuca swych zasad etycznych, a ocenę dzieła rozpoczyna zawsze od analizy estetycznej. Dzieło może być przez niego potępione właśnie dlatego, że analiza estetyczno-formalna wykazuje nieudolności techniczne i to już wystarcza, by potępić je jako fałszywe zwierciadło ludzkiego losu.

Leavis stawia literaturze wielkie wymagania: zwłaszcza w ocenie autorów współczesnych i w ocenie życia kulturalnego w ogóle okazał bohaterską bezkompromisowość, która przyspo-

rzyła mu wrogów. Przez dwadzieścia lat wydawał w Cambridge kwartalnik *Scrutiny*, który atakował modne giełdy literackie w Londynie, filisterstwo ustalonych organów prasowych i komercjalizm spłycający wartości estetyczne i moralne. Leavis wychował kilka pokoleń humanistów, którzy kontynuują obecnie jego wartościową pracę, gdy on sam zbliża się do kresu swej pedagogicznej misji.

Można by więc wnioskować, że właśnie praca Leavisa jest świetnym dowodem pożyteczności i skuteczności w najszerszym znaczeniu studiowania współczesnej literatury własnego kraju. Niestety, jednak, ani Leavisa, ani kręgu jego bliskich współpracowników i wybitnych uczniów, nie można uważać za typową grupę badaczy literatury. Hasło Leavisa, że studia literackie winny kształtować inteligencję badacza ignoruje fakt, że tak niewielu badaczy, tych skrybów pochylonych nad tomami i rękopisami, posiada inteligencję podatną do jakiegokolwiek rozwoju.

Istotniejszym jednak problemem jest fakt, że formalna nauka o literaturze nie stanowi stosownego przedmiotu poznania, jak matematyka, medycyna, filozofia czy prawo: nie posiada powszechnie uzgodnionej metodologii z tej prostej przyczyny, że twórcy, których uczony bada i segreguje, nie są punktami w rozwoju jakiejś wiedzy, lecz skrajnymi indywidualistami, których doświadczenia, gdy się je razem chronologicznie czy tematycznie ułoży, nie przedstawiają w sumie zarysu naukowego systemu, lecz w dalszym ciągu drażnią badaczy swoim anarchicznym indywidualizmem. Dlatego do studiów literackich garną się albo pracowite mrówki ograniczające się do badania zewnętrznych, przypadkowych problemów literackich, albo szarlatani. Umysły takie jak Leavis należą w tej dziedzinie do rzadkości.

Adam CZERNIAWSKI

Toast niespełniony (2)

(Krajowa dyskusja o „Literaturze Polski Ludowej (1944-1964)“)

Cz. II.

Wypowiedzi rocznicowe nie ograniczyły się, na szczęście, do przykładowych syntez wypracowanych przez Jakubowskiego, Matuszewskiego czy Żółkiewskiego. Temat chwycił, odczuwano nie-

wątpliwie potrzebę wygadania się, łudząc się — być może — iż nasunie się sposobność poruszenia tematów „żywych” a pomijanych w wypowiedziach oficjalnych. Wrażenie to potwierdzają liczne głosy w dyskusji, która rozwinęła się na łamach „Życia Literackiego”, „Odry”, „Ruchu Literackiego” i td. oraz wypowiedziach uczestników Konferencji Naukowej zorganizowanej przez Instytut Badań Literackich PAN i Katedrę Literatury Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego w dn. 14-15. XII. 1964.

Tradycje literackie i „model Mickiewiczowski”.

Niełatwo stać się właściwym patronem literatury Polski Ludowej. A z drugiej strony — jak istnieć bez autorytetu, podporęki, patrona? Nie świętego, rzecz prosta, ale należycie postępowego i reprezentującego tradycje zgodne z wytycznymi Partii obowiązującymi na danym etapie.

W poszukiwaniu takich właśnie patronów przetrząśnięto całą historię literatury poszerzoną ostatnio dzięki licznym odkryciom i „wznowieniom”. By, drogą okólną, powrócić do Mickiewicza. Wieszcz wytrzymuje wszystko, wzbudza entuzjazm lub równie gwałtowne sprzeciwy. Był patronem Elsów, zasilął tekstami do recytacji akademie PPS-owskie, dawał odlewać się w brązie i odbrazować a nawet zamieniać w Światowida z pomnika wileńskiego. Przetrwał niejedno, przetrzymał konkurencję — dziś przypomina ją tylko samotna „Aleja Trzech Wieszczów” w Krakowie.

Z pewnymi wahaniem i zastrzeżeniami uznano, iż wiek XIX jest „tym okresem, który ukształtował nasze rozumienie zadań i celów literatury, jej praw i obowiązków” i że góruje nad nim Mickiewicz, „model wzorcowy postawy pisarza”¹. Dwa wydania zbiorowe („narodowe” i „jubileuszowe”) rozeszły się szeroko i, co więcej, pilnie były najwidoczniej studiowane, skoro wyczytano w nich zbyt wiele.

Maciąg daje to wyraźnie do zrozumienia, głosząc, iż „wzór (mickiewiczowski) staje się anachroniczny” a „rola poety została w nim wyolbrzymiona”.

Warto porwać się na próbę odtworzenia toku rozumowania uzasadniającego tę postawę. Mickiewicz — dowodzi Maciąg — działał w latach niewoli, gdy narodowi brakło wskazań rządowych, i niejako spełniał „obowiązki najwyższego trybunału narodowego”. „W okresie istnienia Polski Ludowej, w ustroju socjalistycznym” ujawniła się i to „szczególnie ostro” „anachroniczność tego modelu”. Dlaczego? Odpowiedź prosta: bo poetę wyręcza Partia. Ona to, a nie poeci — rządcy dusz wypracowała „model ideowy realizowany w praktyce naukowej, wychowawczej i prawnej,

1. Włodzimierz Maciąg: *Doświadczenia literatury powojennej*. Referat wygłoszony na zebraniu Krakowskiego Oddz. Związku Literatów Polskich a następnie ogłoszony w „Życiu Literackim”, Nr 33 z 16. VIII. 1964.

a ten model staje się w rezultacie jedynym wzorem obywatelskiego myślenia i postępowania". „Nie do pomyślenia jest dzisiaj poeta czy pisarz, który podejmuje obowiązki i odpowiedzialność Mickiewicza", gdyż odczuwane by to było jako uzurpacja i to nie tylko przez instancje kierujące państwem(...) ale także przez masę czytelników". „Mickiewiczowski model jest niemożliwy" — konkluduje Maciąg.

Anachroniczny, niemożliwy — ale nadal w pewnym sensie aktualny, straszący jak widmo w „dramacie literatury szukającej swego miejsca w ustroju socjalistycznym". „Modelowi Mickiewiczowskiemu" należało, zdaniem Maciąga, przeciwstawić „nowy model". Nie wypracowano go a tymczasem, na skutek wzrostu oświaty powszechnej „zmienili się czytelnicy i współcześni traktują wskazania literackie bardziej dosłownie". Mickiewicz czytany był dawniej przez elitę a dziś, gdy dotarł pod strzechy działa „znacznie silniej na odbiorcę", który w utworach literackich nie potrafi odczytać dwuznaczności czy smakować autoironii. Wieszcz nie nadaje się przeto do roli „modelu". Zastąpić go powinien „nowy klasyk", pisarz współczesny, piszący o współczesności.

Stanowisko Maciąga sprowokowało liczne wypowiedzi polemiczne w dyskusji toczącej się na łamach „Życia Literackiego". Tadeusz Hołuj doczytuje się u Maciąga poglądu „że w świadomości pisarzy tkwi głęboko model pisarstwa *suwerennego*, nie odczuwającego potrzeby odwoływania się do innych instancji ideowych poza *własnym sumieniem*",² — a to właśnie jest spadkiem Mickiewiczowskiej koncepcji wieszczka. Rozumowanie to wydaje się Hołujowi „fałszywą konstrukcją" a to z tego powodu, iż da się z niego wyprowadzić wniosek, że prawdziwe przekonania twórców nie zgadzają się z wymaganiami władzy. Czyżby — zapytuje Hołuj — Maciąg nie mógł uwierzyć dotąd „w czyste intencje" pisarzy-komunistów?

Inny uczestnik dyskusji, prof. Konstanty Grzybowski³ — zadaje pytanie czytelnika-pedanta: czy istnienie państwa o ustroju socjalistycznym przekreśla sens pisarzy — „ideologów państwa"? Czy, innymi słowy, idąc o krok dalej po linii tego rozumowania, Mickiewicz wytrzymałby w dzisiejszej Polsce i czy miałby szanse uniknięcia ostrego konfliktu z władzami? Może — ale pod warunkiem, że zamiast *oceniać* ograniczyłby się do *wspierania* władzy i *ostrzegania* jej przed skostnieniem i dogmatem nieomyślności. W konfliktach między państwem a pisarzem — pisze dalej prof. Grzybowski — (a brzmieć ma to bardzo aktualnie) — winę ponosi czasem pisarz a czasem państwo.

Najrozsądniej podszedł do „modelu Mickiewiczowskiego" Ryszard Nowakowski (w art. pt. „Warto się pokłócić"⁴). Sądzi on,

2. Tadeusz Hołuj: *Gdzie jest wieszcz* („Życie Literackie", Nr 37 z 13. IX. 1964.

3. Konstanty Grzybowski: *Pytania i doświadczenia czytelnika* (j. w).

4. „Życie Literackie", Nr 34 z 23. VIII. 1964.

że „brak państwa potęgował niewątpliwie rolę twórczości Mickiewicza”. Nikt nie kreował go jednak na rządcę dusz — stał się nim sam, na mocy odzewu jaki wywoływał. Prawa rządu dusz nikt mu nie nadał. „Takie prawo się bierze. Daje je sobie sam pisarz, jeśli ma talent”.

Doczytać się w tym można i aprobaty Mickiewicza i aktualności „modelu”. Nie widzi jej uczestnik tejże dyskusji, Stan. Wygodzki. „Pisarzowi nie chodzi wcale o rząd dusz: ten romantyczny wzór przestał już działać w okresie międzywojennym (...) gdy Mickiewicz był jednocześnie prezydentem, premierem, ambasadorem, posłem, twórcą armii, gabinetem ministrów i partią polityczną”⁵. Dziś, w pojęciu Wygodzkiego, zastępuje go Partia pojmowana niemal antropomorficznie, cierpiąca i czująca, a nawet — jak pisarze — skazana na „miotanie się”.

Periodyzacja „miotania się”.

Powróćmy do Maciąga. W „Doświadczeniach literatury powojennej”⁶ wielokrotnie powraca skarga na brak ciągłości, zmiany koniunktury i koncepcji i „meandryczność procesu” rozwoju (jeśli mówić można w tych warunkach o rozwoju). Uderza go odmiennosc oblicza kolejnych pięcioleci i fakt, że „to co było wcześniej, przestaje się niejako liczyć”. „Epoka nasza — powiada — nie stworzyła swoich klasyków, ma ona swoich utalentowanych artystów, nie ma społecznych mediów”. „Literatura powojenna jest obrazem miotania się, w którym żaden problem nie zasłużył sobie w oczach autorskich na kontynuację”. „Nie jest to stwierdzenie krzepiące”.

Pięciolecia określić łatwo: *pierwsze* to bezpośredni okres powojenny, po którym pozostało najwięcej („Popiół i diament”, debiuty utalentowanych prozaików, obrazy okupacji i obozów, powieści historyczne pisarzy katolickich itd.); *drugie* — czarny okres stalinowski ze zmurą „produkcyjniaków”, do których zresztą powrócić wypadnie w związku z próbami rehabilitacji; *trzecie* — okres wielkich złudzeń „odwilżowych”, w którym pięknie rozkwitła poezja, satyra, nowela, „małe formy”; *czwarte* — dotąd niezamknięte pięciolecie maski, przebrań, bicia głową o mur i tragicznych poszukiwań na coraz węższych i coraz silniej obstawionych ścieżkach wolności.

Maciąg ma wytłumaczenie na wszystko. Powiada więc: „Najpierw za dużo żądało kierownictwo, później za dużo żądał pisarz”. Wyjaśnia to bliżej: naprzód osaczono pisarza warunkami i zaleceniami, doprowadzając do tego, że „przyzwyczajał się coraz bardziej” „że nie on z czytelnikiem rozmawia, tylko z instancjami politycznymi”. Pisał więc pod cenzora. A czytelnik? — czytelnik

5. Stanisław Wygodzki: *Ryzyko pisarza* („Życie Literackie”, Nr 33 z 16. VIII. 1964).

6. tamże.

ratował się doszukiwaniem szyfru, podtekstu, posłania na dzień dzisiejszy. Chciał, by piszący był Mickiewiczem! Zdarzyło się, że szedł w tych zabiegach dalej od autorów, doszukując się alegorii i tam także, gdzie się pisarzowi o niej nie śniło.

Prostituowanie się twórców posunąć się musiało daleko skoro Maciąg oskarżyć ich musiał o to, iż „najważniejszym pytaniem, jakie sobie pisarz zadaje jest wciąż to pytanie czy to co chce powiedzieć jest na tyle ważne, że warto się dlatego narazić?”. Tak właśnie zarysowuje się w jego oczach dzisiejszy dzień literatury.

Najwyżej — i nie on jeden i niewątpliwie słusznie — ocenia pierwsze 5-lecie powojenne „zanim powstał omówiony wcześniej tryb wymagań wydawniczych” charakteryzujący się wzrostem ingerencji „redaktorów” i cenzury. „Pisarz nie był kuszony przez wymagania wydawnicze, nie spekulował na koniunkturze tematu ani bohatera, bo dla czytelnika wszystkie jednakowo były ważne i pisarz sam musiał rozstrzygnąć, co mu jest najbliższe”. Godne pochwały wydaje mu się także — a w tym wtórować mu trudno — iż był to okres największej „odporności wobec modnych konwencji importowanych, które traciły niejako swój uwodzicielski urok wobec szans i zadań, jakie na pisarza czekały”. Od importów z Zachodu odcięta przed tym Kraj okupacja a potem okres stalinowski, aż narosło w sumie lat piętnaście pustki i izolacji, co mści się wyraźnie do dziś, mimo usilnych prób nadrobienia zaległości.

W trosce o uzdrowienie sytuacji i stworzenie warunków sprzyjających normalniejszej pracy twórczej Maciąg doradza pisarzom zajmowanie „stanowiska obserwatora”. Trawestując znane powiedzenie Talleyranda ujmuje je słowami: „Zechciej, czytelniku, zrozumieć, że ja nie potępiam ani pochwalam, tylko pokazuję jak się rzeczy miały”. Oznacza to postawę „zimnego rachunku intelektualnego”, „postawę, która na kuszenie z tej czy tamtej strony reaguje unikiem, przeniesieniem obrazu literackiego w metaforę, w inny kostium historyczny lub kostium innych konkretów społecznych lub obyczajowych”. W praktyce wygląda to tak, iż, gdy „pisarz chce pokazać drogę wybitnego dyktatora do władzy” „pisze rzecz o Juliuszu Cezarze” itp. Sądzi że książki z tego typu podtekstem „służą kulturze socjalistycznej” a nawet „mogą być przedmiotem jej dumy”. Oznaczają bowiem (wg. Maciąga), iż autor danej książki nie jest obojętny „na to, co się w Polsce dzieje”, — nie odwraca oczu od problematyki współczesnej, — zachęca innych do dyskusji i w ten sposób służy sprawie socjalizmu. Drogą, powiedzmy sobie, raczej nieoczekiwaną i dość okrężną. „Interes kultury jest ostateczną instancją odwoławczą dla pisarza” — konkluduje Maciąg uzasadniając swój punkt widzenia.

Nie przypadło to do smaku Wygodzkiemu. W cytowanym już wyżej „Ryzyku pisarza” poświęca przeto oddzielny ustęp „kilku znakomitym książkom polskich pisarzy, podejmujących w ostatnich latach problematykę polityczną metaforycznie w kostiumie

historycznym" a cytowanych przez Maciąga („Boski Juliusz" Bocheńskiego, „Śpiżowa brama" Brezy, „Idzie skacząc po górach" Andrzejewskiego). „Pochwalam i sławię te książki — pisze, asekurując się na wszelki wypadek, Wygodzki — ale nie pochwalam zaleceń Maciąga. Droga do Warszawy, u początków nowego trzdziestolecia nie powinna, choć może, prowadzić przez Rzym Juliusza Cezara lub przez spiżowe bramy Rzymu współczesnego".

„Pokolenia literackie”.

Historyk literatury może odnotować już teraz niecodzienne zjawisko wysokiej lokaty seniorów. Kijowski pisze w „Twórczości”⁷ w „Ćwierćwieczu wielkich doświadczeń”, że wpływ ich trwa do dziś, „nie zmalał przez dwadzieścia lat, przeciwnie, wraz z utrwalaniem się nowego porządku politycznego krzepła hierarchia literacka, której szczyt zajmowali i zajmują pisarze, co arcydzieła swoje tworzyli w tamtym, międzywojennym dwudziestolecu. Wraz z koryfeuszami „Skamandra” szli za nimi ich awangardowi, niegdysiejsi oponenci Peiper, Przyboś, Stern — i wznawiali od czasu do czasu nawet stare polemiki, brzmiące groteskowo, jak wszystko, co jest historyczną kalką. Model międzywojennego życia literackiego zaciążył na życiu powojennym”. „Układ odniesień i układ sprawdeń” z teoretycznych rozważań Przybosia oscyluje wokół Norwida, Żeromskiego a w ostatnich latach i miesiącach — Wyspiańskiego, który jest niejako partnerem dialogów „Tanga” Mrożka — a nawet „Wesela na osiedlu” Broszkiewicza.

Obserwacja Kijowskiego jest o tyle ciekawsza, że — jak dobrze pamiętamy — we wczesnym okresie powojennym (dziś zwanym „okresem „Kuźnicy”) jednym z zawołań programowych było przeciwstawianie się międzywojnemu XX-leciu. Okres stalinowski miał je wyprzeć ostatecznie z pamięci żyjących: pamiętamy, jak kolejno stawiano na cenzurowanym Berenta, Kadena, Struga i w in. „odczytując ich na nowo” i nie doczytując się aprobaty dnia ówczesnego. Pamiętamy przymusowe milczenie Dąbrowskiej — i entuzjastyczną recepcję „Na wsi wesela”, gdy ukazało się na łamach „Twórczości”.

W dyskusji zeszłorocznej usiłowano scharakteryzować kolejne „pokolenia literackie”. Ale dopiero w roku bieżącym Zdzisław Jastrzębski⁸ cofnął się do „pokolenia wojennego” „z okolic rocznika 1920”. Sądzi on, że „tragiczną wyjątkowość i odrębność tego pokolenia pogłębia jeszcze fakt, że stanowiło ono i wychowywane było jako pierwsza generacja odbudowywanej po okresie rozbiorów niepodległej Polski”. „Dwadzieścia lat — pisał wcześniej Kijowski⁹ — to dość, by jedno pokolenie przeżyło swój wzlot”

7. Nr 7 (228) z lipca 1964.

8. Zdzisław Jastrzębski: *Pokolenie literackie czasów wojny*. („Życie i myśl”, Nr 7/8 z r. 1965).

9. We wspomnianym już wyżej „Ćwierćwieczu wielkich doświadczeń”.

— pod warunkiem, że „zawładnie ową epoką”. Uczynili to w sposób porywający i nieporadny Baczyński, Trzebiński, Gajcy, Stroiński, Borowski, tworząc wokół siebie, swej twórczości i konspiracyjnej prasy literackiej młodych legendę, której siłą jest między innymi i to, że dotąd obowiązuje zmowa milczenia wobec wielu aspektów ich działalności. Oni to właśnie sformułowali i narzucili koncepcję „pokoleniową”, trzymając się tak sztywno wąskich ram chronologicznych, że — jak odnotował Jastrzębski — Miłosz (w roku 1942!) był dla Andrzeja Trzebińskiego (urodzonego w 1922) „starym gratem”.

„Pokolenie wojenne” niezmiernie czynne w konspiracji i dlatego tak brutalnie wytępione miało jasno sformułowane credo: czyn, „*inter arma non silent musae*”, poczucie odpowiedzialności. Chciało, jak sformułował to Trzebiński, „osiągnąć złoty szczyt” — i szybko, bo czas naglił a śmierć nie dała długo czekać nie siebie.

O przedwczesnej dojrzałości tego pokolenia świadczą przestrogi Trzebińskiego, który, nim zginął, nakreślić potrafił obraz pułapek czyhających na młodych w bezpośrednim okresie powojennym, który rysował się w jego wyobraźni jako „arcytrudny psychologicznie i społecznie”.

Okazał się nim istotnie — i najdrastyczniej w stosunku do „pokolenia wojennego” związanego w zasadniczym swym zrębie z AK. Przeskok do „pryszczatych” wymaga pokonania silnych oporów myślowych. Było to jednak, wbrew generalnym potencjom Janusza Kowalewskiego, pokolenie poddane najsilniejszym presjom, ogłupiane potężnymi dawkami wypróbowanej na terenie Sowietów propagandy, odcięte od przeszłości murem strachu tych co pamiętali a bali się mówić i działać, zafascynowane perspektywami władzy i skorumpowane łatwymi sukcesami. Obok karierowiczów (a może nawet między nimi) ujawnili się w grupie „pryszczatych” pisarze z prawdziwego zdarzenia np. Wiktor Woroszyński. Czytając książkę Lisieckiej odnosi się wrażenie, że krytycy literaccy krajowi z kręgu warszawskiej „Kultury” ze szczególną satysfakcją przypominają i cytują najjaśniejsze wypowiedzi prostałińskie z cichą intencją dyskredytowania pewnych pisarzy w oczach Emigracji (włącznie z „wewnętrzną” emigracją krajową). Zdają się mówić: „Chwalicie Konwickiego, Woroszyńskiego, — dopatrujecie się w ich utworach takich czy innych artystycznych osiągnięć — a tymczasem” — i tu mniej lub więcej kłopotliwe przypomnienia wyciągane z łatwymi do odczytania intencjami.

Wokół sprawy młodszych „pokoleń literackich” wyrósł gąszcz nieudomówień i przemilczeń. Wspominałam już poprzednio, że oficjalne podsumowania ogarniały XX-lecie a nie „czwarte ćwierćwiecze” ze szkicu Kijowskiego. W ostatnich dopiero miesiącach i to pod wątpliwym patronatem ZBOWID'u¹⁰ upomniano się o pełną

10. Wojciech Janicki: *O pamięć historii — rozumną i pożyteczną* („Życie i Myśl”, Nr 7/8 z r. 1965).

historię Podziemia, w tym — literatury i publicystyki. „Jesteśmy społeczeństwem, które stać na odtwarzanie historii bez przemilczeń” — wydaje się Wojciechowi Janickiemu. A rozmiary przemilczeń są niewątpliwie ogromne. Zdzisław Jastrzębski ma rację, pisząc o konspiracyjnej prasie młodzieżowej, że jest ona „prawie nieznana”¹¹. Przyczyny doszukać się łatwo: ani jeden z wybitnych młodych pisarzy Podziemia nie był komunistą czy AL-owcem a wielu należało lub grawitowało w kierunku stronnictw prawicowych. Dotyczy to w szczególności Andrzeja Trzebińskiego i tłumaczy motywy zatajania publikacji książkowej jego dziennika i artykułów, będących wymownym przykładem ideowego „miotania się” tego niezmiernie utalentowanego młodego pisarza.

Obwija się także w bawełnę fakt, że pokolenie „pryszczatych” wychowało się w okresie kompletnego odcięcia od literatur zachodnich, w sztucznej atmosferze łącznego kultu Majakowskiego i Balzaka. Wiele wskazuje na to, że przeróbki filmowe powieści Hemingway’a wyprzedziły przekłady powieści, wywołując ferment twórczy, kryjący się np. u podłoża wczesnych opowiadań Hłaski. On sam jest jednym z licznych „tabu”. Wspominany od czasu do czasu, ale niewygodny i skwapliwie pomniejszany — a przecież niegdysiejsza rewelacja ciągnąca za sobą orszak „hłaskoidów”.

Przemilcza się także odwrotność omówionego wyżej zjawiska, wyrażającą się terminowaniem w samotności, młodzieńczymi próbami bez możliwości oficjalnego debiutu, twórczością niezakłamaną — ale szufladową. Tak właśnie wyglądały preliminaria pisarskie Leszka Kołakowskiego, Mirona Białoszewskiego, Zbigniewa Herberta — i prawdopodobnie wielu innych. Postawy ich nie da sprowadzić się do „Udajmy, że istniejemy gdzie indziej” z podziemnego artykułu Trzebińskiego¹², skierowanego rzekomo przeciw Miłoszowi. Było to raczej nieomal biologiczne obrastanie w tłuszcz doświadczeń i przemyśleń czekających na możliwość ujawnienia. Niecierpliwość zmuszała do obchodzenia zakazów: stąd rozkwit form pozwalających na wypowiedź wieloznaczną, podtekst, szyfr. To także zjawisko kłopotliwe a nie ograniczające się do „kostiumu historycznego”.

Model „Kuźnicy”.

„Każdy z nas na własny użytek pisze sobie historię literatury” — oświadczył w maju 1963 młody krytyk literacki Andrzej Mencwel z Łamów „Współczesności” w artykule pt. „Perspektywa dnia dzisiejszego”¹³. W poszukiwaniu genealogii dotarł on do „Kuź-

11. Zdzisław Jastrzębski: *Pokolenie literackie czasów wojny* („Życie i Myśl”, Nr 7/8 z r. 1965).

12. „Sztuka i Naród” (SiN), Nr 3/4 z 1942.

13. Andrzej Mencwel: *Perspektywa dnia dzisiejszego* („Współczesność”, Nr 9/137/ z 1-15. V. 1963, art. z cyklu „Weryfikacje”).

nicy" i zatrzymał się przy niej na dłużej. Nie było to pismo jego młodości, — przyznaje się bowiem, że „gdy na szczecińskim zjeździe w r. 1949 proklamowano realizm socjalistyczny, przekroczył zaledwie próg szkolnej edukacji”. „Kuznica” jest dla niego źródłem historyczno-literackim, jak „Chimera” czy „Skamander”.

XX-lecie literatury Polski Ludowej rysuje się w oczach tego młodego i niewątpliwie zdolnego pisarza jako okres „perypetii realizmu”. „Kuznica” narzucała wzór XIX w. — „ale to rozumowanie przez analogię (sytuacji gospodarczej) okazało się zawodne”. „Świat uległ w ciągu stu lat dzielących „Kuznicę” od królestwa realizmu zasadniczym przemianom” a wobec tego „środki literackie zdolne ten świat opisać muszą ulec zmianie”. Lukacs, patronujący „Kuznicy” sądził, jak wiemy, inaczej. Mencwel przeciwstawia się ostro „ojcu tej estetycznej mistyfikacji” propagującej w ostatecznym swym sensie nawrót do XIX-wiecznego „realizmu mieszczańskiego” gdyż ten „jak każdy z artystycznych opisów świata, miał swoje dość precyzyjnie dające się określić miejsce w historii, przeżył swoje apogeum i dobiega swojego zmierzchu”. Walka o podtrzymywanie przy życiu tak pojętego realizmu jest anachronizmem. Szukać należy, zdaniem Mencwela, nowej konwencji artystycznej lepiej przystającej do „nowej sytuacji historycznej”. W próbach jej określenia wykazuje chwalebny liberalizm, sądząc iż „realistyczne są te zjawiska artystyczne, które w sposób adekwatny wyrażają problematykę swojego czasu”, a więc np. „Doktor Faustus”, „Ulysses” — i „Cichy Don”, utwory symbolizujące na różne sposoby sztukę XX w. Wykoncowane to bardzo zrecznie ale mało przekonująco; idąc po tej linii rozumowania nie wyszlibyśmy w historii literatury poza realizm!

W świetle streszczonych wyżej poglądów Mencwela bardzo grzecznościowo brzmi pochwała „Kuznicy” jako „modelu pisma literackiego”, które „stworzyło pewną umiejętność szerokiego oglądu zagadnień”.

Niepewnie brzmią również pochwały „Kuznicy” w artykułach Mariana Stępień¹⁴. Doceniając znaczenie i wpływ pisma (to inna sprawa!) podkreśla on, że „Kuznica” „dysponowała przemysłowym konsekwentnym programem rewolucji intelektualnej” a „u podstaw pisma leżał wstrząs moralny pisarzy wywołany konfrontacją literatury dotychczasowej z doświadczeniami wojny i okupacji”. Stępień nie zdobywa się jednak na dopowiedzenie reszty: iż był to wstrząs zdecydowany *kierowany* i narzucający sowiecki punkt widzenia. Czyż trzeba przypominać, że do wtycznych programu „Kuznicy” należało niemal ryczałtowe potępienie XX-lecia międzywojennego (z częściowym rozgrzeszeniem „Przedwiośnia”, Kruczkowskiego i niektórych utworów Dąbrowskiej i Nałkowskiej), — że niemniej ryczałtowo potępiano psy-

14. Marian Stępień: *W poszukiwaniu tradycji* („Współczesność” Nr 11/139 z 1-15. VI 1963, art. z cyklu „Weryfikacje”) i *Program literacki „Kuznicy”* („Ruch Literacki”, Nr 4/25/ z lipca-sierpnia 1964).

chologizm i w imię tego potępienia wykreślano z programów wydawniczych Conrada, Gide'a Bernanosa. Lepiej nie przypominać, kto i jak gwałtownie potępiał ich jako piszących „w oderwaniu od przemian gospodarczych”! I komu dzieło Camusa rysowało się jako „oparte na fałszywej wiedzy o świecie”. Jeśli po przypomnieniu całej litanii sądów krytycznych tej klasy i wartości Stępień zdobywa się na powiedzenie, że „Kuźnica” lansowała program „otwarty” i „odwołujący się do najlepszych tradycji XIX w.”, trudno traktować go poważnie.

Bardziej interesująco brzmią wywody jego na temat opozycji młodych pisarzy z Borowskim na czele (z lat 1950-ych). Grupując się wokół „Pokolenia” (red. R. Bratny) „propagowali metodę nazwaną ekspresjonizmem symbolicznym, którego istotę widzieli w stosowaniu znaczącego symbolicznego skrótu i w pełnym dynamiki układzie fabularnym”. Była to postawa „antysentymentalna”, zmierzająca do odkłamania literatury, polegająca na „drażnieniu życia w poszukiwaniu prawdy o nim”. Postawę tę potępił gwałtownie Żółkiewski. Dziś przypomina się o tym ukradkiem.

Przypomnienie sporów o realizm¹⁵ toczonych na łamach „Kuźnicy” i „Odrodzenia” nastrocza sposobność nie tylko łatwego połowu curiosów i przykładów wymyślnego nakręcania teorii do wymagań „góry”. Za fasadą sztucznych konstrukcji myślowych, świadomie i nieświadomie, torowano drogę socrealizmowi, omotując naprzód krytyków literackich a następnie pisarzy pajęczyną przeobrażającą się stopniowo w drut kolczasty. Warto tu przypomnieć wczesną diagnozę tego zjawiska w ustach Stefana Kisielewskiego, który w formule realizmu „Kuźnicy” dostrzegł sztuczność a nawet „swoistą mitologię intelektualną”. Przeciwestawiał jej postulat wielokierunkowości literatury i rzetelnego zrozumienia potrzeb czytelnich.

W tym kontekście niepokojąco brzmią głosy usiłujące rehabilitować program „Kuźnicy”. Ściślej rzecz ujmując: częściowej rehabilitacji. Tak np. Alicja Lisiecka¹⁶ polemizując z Jakubowskim, domaga się „pogłębienia realizmu, nie rezygnacji z realizmu” i to w oparciu o „socjologiczną konstrukcję ludzkiego losu” w sensie lansowanym przez Żółkiewskiego w myśl leninowskiej teorii „rewolucji kulturalnej”. Istotnym problemem — pisze Lisiecka — „staje się nie fabularność, eseistyczność czy paraboliczność, ale nadążanie lub nienadążanie literatury za współczesną wiedzą o jednostce i społeczeństwie”.

Przywtarza jej Zbigniew Żabicki¹⁷, chwali realizm odmienionego, oddalającego się od „weryzmu” Balzaca czy Flauberta. Sądzi on, że sztuka „elitarna” może propagować „myślenie socja-

15. Czyni to obecnie Władysław Maciąg w obszernym szkicu o „Literaturze Polski Ludowej” drukowanym w „Życiu Literackim” z rb. (w nrach 40, 42, 44, znanych w chwili oddawania do druku artykułu).

16. „Odra”, Nr 7/8 z 1964.

17. tamże, Nr 6 z 1964.

listyczne", stosując nowe konwencje takie jak np. „symultaneizm konstrukcji fabuły, komplikacje perspektyw narracyjnych, pomieszanie fikcji z pamiętnikiem” itp. Widzi nawet udane przykłady wprowadzania w życie tak pojętego realizmu socjalistycznego w „Śpiżowej bramie” Brezy i „Pasierbach” Putramenta, „powieści która najbardziej zbliżyła się do polskiej współczesności”. Brzmi to jak dzwonek alarmowy lub prolegomena do wszelkiej przyszłej instrukcji neosocrealistycznej dla pisarzy.

Próby rehabilitacji „modelu” „Kuźnicy” mają nadto cel dalszy, — są przygrywką do idących jeszcze dalej usiłowań obrony osławionych produkcyjniaków i przeciwstawiania się 100%-owo negatywnym obrazom lat poprzedzających „kryzys październikowy”. O tym w dalszym ciągu omówienia krajowych dyskusji literackich.

Maria DANILEWICZOWA

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

**UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.**

**Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301**

O religii bez namaszczenia

Nie ma zbawienia poza prawdą

Dwunastotysięczny nakład pierwszego wydania „Historii Jezusa Chrystusa”* o. Bruckbergera znikł z półek księgarskich w ciągu dwu tygodni maja br. Prasa nazywa ukazanie się tej książki wydarzeniem. Amerykański wydawca zakupił prawo przekładu za bająnskie podobno sumy. De Gaulle zaliczył ją do swych wakacyjnych lektur i zaszczylił autora wyrazami gorącego uznania. Powiedział mu: „Czytając dzieło Ojca miałem naprawdę wrażenie jakbym żył w opisywanych czasach”. „Niektórzy poddani de Gaulle'a dawno to już podejrzewali” — wyłożył się „Time” (z 13 sierpnia br.).

Obcuje z tą grubą książką od wielu już tygodni, ciągle do niej wracając, raz po raz odczytując sobie na nowo różne jej ustępy — i żadne fanfary nie potrafią mnie do niej zrazić mimo silnej u mnie przekornej niechęci do dzieł modnych, rozgłosnych, cieszących się powszechnym uznaniem i szeroką poczytnością. Poprzedzona przedmowa ks. Tisseranta, kardynała i akademika, „Historia” jest ściśle ortodoksyjna i właściwie mało kontrowersyjna, chyba w tym tylko sensie, w jakim w ogóle ortodoksja katolicka budzi sprzeciw niewierzących lub nie-katolickich czytelników. Nie nazwie jej też odkrywczą ktoś, kto by się spodziewał w niej nowych tez i rewelacyjnych naświetleń. Jest jednak oryginalna, śmiała i piękna.

Jednym z wielu oryginalnych ujęć o. Bruckbergera jest odzielenie życia, historii Chrystusa od Jego nauki, tak konsekwentne jak tylko to było możliwe. Kim był Jezus, czego dokonał, a nie co mówił — jest głównym tematem książki. Jest to historia wydarzeń, nie doktryny, Zbawiciela, nie Nauczyciela. Obficie przytaczane i komentowane są te przede wszystkim Jego słowa, które były zarazem czynami. Kazanie na Górze zaś, które w in-

*) R.-L. Bruckberger: „L'Histoire de Jésus-Christ”, wyd. Bernard Grasset, Paryż 1965. Str. 626 i 2 nl.

nych żywotach Jezusa stanowi rozdział zasadniczy, centralny, tu jest ledwo wspomniane.

Rzecz jasna, autor zakłada u czytelnika znajomość nauki Chrystusa i mylnie byłoby podejrzenie, że ją spycha na drugi plan. Wyłączył ją z tego dzieła w jednym celu i z jednej prostej przyczyny. Aby podkreślić całkowitą odrębność i jedynność Założyciela chrześcijaństwa w porównaniu z innymi założycielami religii: oni głosili prawdę, uczyli życia, wskazywali drogę, On był (*jest* — dla chrześcijanina) Drogą, Życiem, Prawdą. Tyle co do celu. A przyczyną tego rozpołowienia postaci Chrystusa jest zamiar dopełnienia pierwszej książki drugą, właśnie o Jego nauce. Razem dopiero złożą się na opus magnum. Na razie mamy w ręku jego tom pierwszy. Na drugi trzeba będzie zapewne dość długo poczekać, skoro pisanie „Historii” zajęło o. Bruckbergerowi trzy lata odosobnienia w domu-szałasie w Alpach szwajcarskich.



O. Bruckberger, dominikanin od dwudziestego drugiego roku życia, dziś 58-letni krzepki mężczyzna, trochę skłonny do otyłości, o zdrowej cerze świętego młodzieniaszka z oleodruku — to jedna z bardziej malowniczych postaci współczesnego Kościoła. Syn Austriaka i Francuzki, urodzony we Francji i gorący patriota francuski, kapelan podziemnego oporu w latach okupacji i Legii Cudzoziemskiej, później dwukrotnie uwięziony, z dwiema kulami niemieckimi w klatce piersiowej, uczeń Bernanosa (chce mu poświęcić książkę), przyjaciel Camusa, dobry znajomy wielu pisarzy i artystów, w tym tak nieoczekiwanych jak Henry Miller, Giraudoux, Cocteau, oddany stronnik De Gaulle’a, którego w dniu wyzwolenia witał na progu Notre-Dame. Sam nie uznaje wprawdzie tego rozróżnienia, ale jest człowiekiem wielkiej odwagi zarówno fizycznej jak cywilnej (stanął np. mężnie w obronie zbyt zajadle karanych „kolaborantów”), bystrego i głęboko wykształconego umysłu, wielostronnych zdolności i zamiłowań. Teolog, uczony, pisarz, redaktor, filmowiec, ma w dorobku tuzin bardzo różnorodnych dzieł. Z Gertrudą von Lefort i Agostinim opracował i wystawił na scenie „Dialogi karmelitanek” Bernanosa i nakręcił z nich film. Inny: „Les Anges du Péché” stworzył do spółki z Bressonem i Giraudoux, przygotowuje trzeci, o Marii Magdalenie, do której ma szczególny sentyment. W pierwszych latach powojennych redagował doskonały, nieistniejący dziś niestety miesięcznik „Le Cheval de Troie”. Było to jedyne w swoim rodzaju czasopismo katolickie bez zapaszku zakrystii, szeroko otwarte dla wszystkich poszukiwaczy prawdy, „koń trojański” chrześcijaństwa wprowadzony do współczesnej twierdzy agnostycyzmu, materializmu i eleganckiego pogaństwa. Jak przystało tak nowocześniejszemu księdzu, o. Bruckberger jest dobrze zżyty z najnowocześniejszym krajem współczesnego świata, Ameryką, o której napisał dwie książki.

Nowoczesność jego daleka jest przy tym od lewicującej „postępowości” w stylu nowomodnych księży skarykaturowanych przez Michela de Saint Pierre w jego „Les nouveaux prêtres”, o których pisałem w czerwcowym numerze „Kultury”. Nie w głowie mu flirty z komunizmem, nowinki i rewizjonizmy. Gdyby ten podział miał więcej sensu, można by go nawet zaliczyć do konserwy. Obcy jest mu np. Teilhard de Chardin. Miłował Jana XIII, ale nie krzywił się nigdy na jego poprzedników. Nie waha się w „Historii Jezusa Chrystusa” rehabilitować osławionego „Syllabusu” (katalogu twierdzeń niebezpiecznych dla wiary) „który uważano za wsteczny, a który okazał się proroczy”. Stoi mocno na stanowisku, że nie trzeba modernizować treści katolicyzmu, lecz tylko jej wyraz i sposoby jej podawania. Temu właśnie zadaniu oddał się całą duszą i całym talentem literackim w najnowszej książce.

Malownicze postacie łatwo obrastają legendami, baśniami, anegdotami. Kilka z nich sprostował o. Bruckberger w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Arts” (z 5 — 11 maja br.). Fama zrobiła z niego egzystencjalistycznego labusia, bywalca nie tylko „Flory”, ale i nocnego lokalu „Tabou”, druha Sartre’a i jego megery, wielbiciela uroczej aktoreczki Juliette Greco. W rzeczywistości z Juliette spotkał się tylko raz w życiu w świątku filmowym, znał za to dobrze Gretę Garbo, z którą kiedyś spędzał wakacje (informując o tym uśmiechał się łobuzersko), nie wie nawet, gdzie mieściło się „Tabou”, a z bywaniem w „Florze” sprawa przedstawiała się o wiele mniej romantycznie czy egzystencjalistycznie: Odprowadzał w tym okresie codzienną mszę w Saint-Germain-des-Prés i po niej zachodził na śniadanie do pobliskiej, opustoszałej w tych godzinach „Flory”. „Oprócz mnie” — opowiada z humorem — „siadywała tam tylko jakaś nieznana mi para. On pisał bez chwili wytchnienia! Ciężka choroba! Byłem wstrząśnięty! Powiedziano mi któregoś dnia jego nazwisko: Jean-Paul Sartre. A ona — to była naturalnie Simone de Beauvoir. Rzecz jasna z czasem nawiązaliśmy pewne stosunki, nigdy jednak nie lubiłem ich pisania. To ludzie, którzy pozostali poza nawiasem naszej epoki! Nie mogłem nigdy uwierzyć, że przeniknęło ich jej okrucieństwo. Pomyśleć, że Simone de Beauvoir napisała: „Odkryłam ból istnienia ludzkiego w czasie wojny algierskiej”! To wręcz nieprzyzwoite! Ja odkryłem ten ból — w r. 1914!”

Twardy charakter i krewki temperament autora odbija się mocno w jego „Historii Jezusa” i zabarwia nawet tytułową Postać. Każdy biograf Jezusa stwarza go po trosze na swój obraz i podobieństwo. Chrystus o. Bruckbergera (podobnie zresztą jak i Mauriaka) nie ma w sobie nic z potulnego baranka, łagodnego Jezusiczka. Autor posuwa się nawet do przypisywania Mu fizycznej krzepy, niezbędnej jakoby do przetrzymania potwornej tortury biczowania. Nie wiem, czy słusznie, bo na szczęście wytrzymałość może się łączyć z delikatną budową, widziałem to w łagrach sowieckich. O wyglądzie Jezusa mamy sprzeczne świadec-

twą, bardzo wątpliwą autentyczności. Aldous Huxley w „Filo-zofii wieczystej” (jest w niej arcyciekawy rozdział „Religia a temperament”) skłania się do poglądu, że Jezus był typowym cerebrotonikiem (szczupłym, zamkniętym w sobie mózgowcem) według znanej klasyfikacji Sheldona. Osobiście skłonny jestem przypuszczać, że podobnie jak większość ludzi Jezus w swej ludzkiej naturze psychofizycznej był mieszaniną wszystkich typów, lecz w proporcjach doskonałych i w idealnej harmonii. Z cerebrotoniczną melancholią, ascetyzmem, zaświatowością, introspekcją łączył wiscerotoniczne serdeczne ciepło, garnięcie się do ludzi, dar przyjaźni, był nie tylko surowym Mistrzem, ale i kochanym Mistrzuniem (tak, sądzę, należy tłumaczyć okrzyk Magdaleny: „Rabboni!” — por. u o. Bruckbergera, str. 564), a cechy somatotoniczne objawiał w gwałtownych wybuchach (wypędzenie przekupniów ze świątyni) i nieustraszonym męstwem.

Męstwo, siła charakteru — o. Bruckberger często o nich mówi tak w komentarzach do wydarzeń ewangelicznych jak i w licznych dygresjach. Gdy mowa o policzku wymierzonym Jezusowi przez arcykapłańskiego sługę, pisze:

To prawda, że Jezus jest cierpliwy i że za Jego przykładem i my winniśmy być cierpliwi; nie jest jednak tchórzem: śmiało patrzy w twarz nędznika i odpowiada mu bez strachu. My też musimy uważać, aby nie mieszać cierpliwości z tchórzostwem.

Barabasz — zauważa charakterystycznie — „to nie był byle kto: być rozbójnikiem — nie jest w zasięgu byle czyich możliwości”, a nawet o zaciekłych oskarżycielach Chrystusa powiada: „to byli ludzie z charakterem”. Ten kult męstwa i siły nie ma jednak żadnego zabarwienia Nietzscheańskiego: o gorzkim płaczu Piotra po zaparciu się Pana autor pisze:

Tymi gorzkimi łzami odkupił się w oczach Jezusa i odkupuje się w naszych. Biedny pierwszy papież, tak bliski każdemu z nas... Bardziej niż przez swą zdradę, przez swą suchą rozpacz Judasz odsuwa się ostatecznie od nas i nas odsuwa od siebie. Judasza się boimy, Piotr nas rozczula. To czarujące, że pierwszy papież nie był stoickim herosem, że umiał płakać ze wstydu.

Z dygresyj może najbardziej wstrząsająca jest ta, gdzie dochodzi do głosu głęboki, lecz nie rozpaczliwy, męski, nie płaczliwy pesymizm o. Bruckbergera. Jakież pojęcie o męce Chrystusa może mieć „ktoś kto nigdy nie postawił stopy w krainie koszmara, choćby był nawet doktorem teologii?” — zapytuje i do-rzuca:

Piszę to wszystko w związku z Jezusem Chrystusem i karą biczowania, bo trzeba to wreszcie wyraźnie powiedzieć. Albo obozy koncentracyjne i cele tortur powrócą i wtedy tym, co się w nich znajduje, trzeba wiedzieć, że wejdą tam razem z Jezusem Chrystusem: to Jezus Chrystus będzie biczowany aż do końca świata nie stawajmy więc po stronie katów. Albo też — to wszystko już nigdy nie wróci,

trzeba przeto wiedzieć, do jakich granic doszła męka Pana Naszego. A zresztą, to fałszywa alternatywa: skoro ludzie są tacy jacy są, to wróci, w gorszej jeszcze postaci, z uwagi na „postęp”.

Słowa jak głązy, a jednak nie miażdżą, dziwnie jakoś podnoszą na duchu. Dlaczego? To jedna z tajemnic chrześcijaństwa, której o. Bruckberger dotknął gdzie indziej mówiąc o Bernanosie: „Nie było w nim krzty optymizmu. Była tylko radość”.

Wiara, niekoniecznie w znaczeniu religijnym, a więc np. wiara w własne siły, w wartość własnych poczynań — jest także cechą charakteru. W mocnym charakterze o. Bruckbergera nie dziwi nas jego niezachwiana wiara. Niezachwiana, nie jest jednak ślepa ani głucha na wątpliwości, jak o tym świadczy mądra pochwała sceptycyzmu „niewiernego” Tomasza: „Nasza wiara była by gorzej zabezpieczona, gdyby nie było upartego sceptycyzmu dzielnego Tomasza”. Zwracam uwagę na przymiotniki: „uparty” i „dzielny”. Poszukiwanie prawdy jest przedsięwzięciem wymagającym odwagi. Pokusa nieuczciwości intelektualnej, pokusa wiary nie w to, co prawdziwe lub bodaj prawdopodobne, lecz w to, co miłe, pocieszające, krzepiące jest stale obecna, krąży dokoła nas jako lew ryczący. Nie ma przed nią obrony bez upartego — aż do bohaterstwa nieraz — sceptycyzmu i najsurowszego krytycyzmu. O. Bruckberger ujmuje to w pięknym aforyzmie: „Nie ma zbawienia poza ścisłą prawdą”, który mógłby być mottem tej nawskroś uczciwej książki.

To zdanie, jak i poprzednio przytoczone, mimo trochę chropowatego przekładu, daje już pewne pojęcie o talencie literackim, więcej: poetyckim autora „Historii”. Raz po raz zaskakuje nas lotnymi powiedzeniami, które zapewne z czasem staną się monetą obiegową, jak niektóre myśli Pascala lub maksymy La Rochefoucaud. Pisząc o *frivolité* naszego wieku, tj. płytkości jego, powierzchowości, lekkoduszności zauważa: „To na *cocktail-parties* zabija się dziś proroków”. Światowców, którzy „nie znają innego zła, grzechu, wady, poza nudą” nazywa „purytanami nudy”. Okiem poety dostrzega nieprzeczuwany związek pomiędzy ową *frivolité* (wyraz właściwie nieprzekładalny) a okrucieństwem. „Najwyższe funkcje duchowe i doczesne mogą wpaść w ręce frywolne i okrutne. Z nadmiaru *frivolité* (czyli z niedostatku powagi i pogłębienia, z pogoni za błahostkami) rodzi się okrucieństwo, tak jak cukrzyca powstaje z nadmiaru cukru w organizmie”. Połączenie głębokiej myśli z wdziękiem wysłowienia jest jednym z największych uroków książki o. Bruckbergera. Poprzesztań na jednym jeszcze przykładzie: na nazwaniu Dobrego Łotra „jedynym świętym kanonizowanym przez samego Chrystusa, choć nie figuruje w kalendarzu” (bo Ewangelie nie przekazały nam nawet jego imienia).

Będąc sam poetą o. Bruckberger silniej niż inni biografowie Chrystusa uwypukla w Jego osobowości składnik poetycki. Wielokrotnie powtarza, że był On poetą, nie tylko w poetyckich przypowieściach, nie tylko w bogatym obrazowaniu nauk, nie tyl-

ko w mistrzostwie celnej repliki, ale w całym życiu i postępowaniu, tak ciągle zaskakującym przyjaciół i wrogów, tak właśnie jak zaskakuje śmiała przenośnia. Sam był zresztą przenośnią, „doskonałą przenośnią Boga”. Jeśli czegoś mi brak w tym niezwykle trafnym przedstawieniu Chrystusa jako poety, to silniejszego podkreślenia Jego — często zupełnie przeoczanego — humoru, dowcipu, ironii, które stały się ostatnio przedmiotem ciekawej rozprawki amerykańskiego nauczyciela filozofii Trueblooda pt. „Humor Chrystusa”.

Nie bez kozery poświęciłem dotąd więcej miejsca osobie autora niż opisowi jego dzieła. Treść tej książki, jej wątek jest nam ostatecznie dobrze znany. Chodzi o sposób podania, a ten jest bardzo osobisty. Autor zdaje sobie z tego sprawę, a nawet robi sobie z tego wyrzut i ciekawie a poetycznie się usprawiedliwia pisząc:

Jeśli zdarza mi się mówić „ja” w tej książce — niewątpliwie częściej niż by się godziło — to dlatego że wobec jej tak olbrzymiego i tak doniosłego tematu czuję się zagubiony. Ta książka niestety jest tylko moją książką. Toteż, jak fotograf, który umieszcza na zdjęciu osiołka u stóp piramidy, aby dać pojęcie o jej proporcjach — mówię czasami „ja” po to, by czytelnik sobie nie pomyślał, że przeczytawszy moją książkę, „wyczerpał” temat. To nie ja wyczerpuję temat, on mnie wyczerpuje do szczytu. Wiem, że w dniu ukończenia tej książki dotrę do kresu mych sił i że wszystko jeszcze pozostanie do powiedzenia.

W dalszym ciągu powrócę jeszcze do tej sprawy, jak ważną rolę odgrywa osobisty ton „Historii”, którą dzięki niemu czyta się tak jakgdyby to była relacja naocznego świadka i zaangażowanego uczestnika opisywanych wydarzeń.



„Historia Jezusa Chrystusa” ukazała się niemal co do dnia w stulecie pierwszego wydania „Życia Jezusa” Renana i można w niej widzieć odpowiedź na nie i pokrewne mu dzieła z tej samej epoki (Strauss, Loisy i, in.), które swego czasu podpaliły nad nami chrześcijańskie niebo. „Niebo w płomieniach” Parandowskiego ciekawie i ładnie obrazuje potężny wpływ tych książek namiętnych pod pozorami naukowego obiektywizmu, niejednokrotnie pięknych (zwłaszcza Renan) i „zbójeckich”, które tak skutecznie obrabowały naszych dziadów i ojców z wiary i po dziś dzień zaczadzają umysły ateistów i dostarczają argumentów różnym „Argumentom”.

Książka o. Bruckbergera jest walną rozprawą z tą pozytywną krytyką chrześcijaństwa, dobitnie wykazuje jej przestarzałość, godzi nie tylko w jej liczne szczegółowe pomyłki, ale przede wszystkim w samą jej podstawę. Najbardziej może znamieny jest rozdział „Cuda czyli pieczęć królestwa”, a w nim

ustęp od str. 42 do 47, zbyt obszerny niestety, by go tu przytaczać w całości.

Jego punktem wyjścia jest piękne przemówienie Saint-John Perse'a w Sztokholmie z okazji przyznania mu nagrody Nobla. Poeta zajął się stosunkiem poezji do wiedzy ścisłej, przyrodniczej i nie wahał się domagać równouprawnienia myślenia poetyckiego z logicznym jako narzędzi poznania. Zrobił to z taką znajomością rzeczy i tak precyzyjnie, że tekst ten — pisze o. Bruckberger — powinien być zadawany do uczenia się na pamięć uczniom wszystkich szkół jako odtrutka na „pozytywistyczne bzdury” pokutujące po dziś dzień w podręcznikach.

W ciągu ostatniego stulecia rozwój nauk przyrodniczych był zawrotny, lecz może największym ich odkryciem było zdanie sobie sprawy z własnych, nieprzezwycięzalnych ograniczeń. Podstawowe dla współczesnej fizyki teorie względności i kwantów mówią nam, że wiedza o rzeczywistości przyrodzonej musi zawsze pozostać niepełna i niedokładna, już choćby z powodu zależności obserwacji od położenia obserwatora i skutkiem nieprzekraczalnych granic dokładności pomiarów fizycznych. Najwięksi uczeni naszego wieku (np. Einstein) nie wstydzą się wzywać intuicji na pomoc rozumowi, podnosić znaczenie „wizji artystycznej” w odkryciach naukowych, „piękno” i „elegancję” swych formuł i teorii stawiać na równi lub nawet ponad ich ścisłość. Saint-John Perse i o. Bruckberger dotyczą tych zagadnień tylko skrótowo (a ja jeszcze skracam ich skróty) — po szersze ich omówienie, zwłaszcza sprawy już nie tyle pokrewieństwa, ile nieomal tożsamości procesu twórczego w nauce i w sztuce, warto odeśłać do najnowszej książki Koestlera „The Act of Creation”. Czytałem ją równoległe z dziełem o. Bruckbergera i byłem uderzony licznymi zbieżnościami przy tak różnych założeniach i celach obu książek.

Nazwawszy wypowiedź Perse'a „uroczystym ogłoszeniem bankructwa pozytywizmu” o. Bruckberger pisze:

Pozytywistyczne postulaty nauki zeszłowiecznej, na których tak mocno, tak solidnie i tak zuchwale opierali się tak świetni myśliciele jak Taine, Renan i Michelet — wszystkie się zawaliły. U kresu swych badań matematycy i uczeni odkrywają dziś nie pewność i determinizm, lecz coraz więcej tajemnic i coraz więcej indeterminizmu i coś jakgdyby zagadkowe oblicze jakiejś Wolności.

I dalej:

Wiedza nowoczesna dostatecznie spokorniała, dostatecznie dobrze zna własne rzemiosło, aby się ważyła narzucać jakieś ostracyzmy. W dzieciństwie dowiedziałem się na ławie szkolnej, na lekcji religii, że świat się kiedyś skończy. Nauczono mnie tego jako dogmatu, opartego na autorytecie Ewangelii i Kościoła. Pozytywizm wydrwił, zrobił balona z tego dogmatu podobnie jak z wszystkich innych. Lecz co to? Od czasu bomby rzuconej na Hiroszimę, nie słychać już jego śmiechu, nie słychać wcale. Pozytywizm połknął wypływane sarkazmy. Koniec świata zstąpił z nieba dogmatów na twardy grunt moż-

liwości przewidzianej przez naukę, możliwości straszliwie prawdopodobnej, a zstąpienie to odbyło się z nielada hałasem.

I po tej dosadnej ilustracji daje takie podsumowanie rewolucyjnej przemiany w poglądach na rolę i możliwości wiedzy naukowej:

W XIX wieku poznanie naukowe było świadome swego faktycznego i chwilowego ograniczenia. Miało jednak absolutne zaufanie do swego totalnego prawa do rzeczywistości, do swych metod, do swych bezgranicznych możliwości. Powszechnie sądzono, że z upływem czasu będzie można zakończyć rozpoczęty w XVI wieku podbój natury i że wyeliminuje się w końcu tajemnicę. Dziś, to właśnie podkreślił Saint-John Perse, nauka wie, że jest niepewna, ograniczona, na pewno sprawna i wydajna, ale wymijająca (trudności i zagadki)... Wie, że nigdy nie powie wszystkiego, bo nigdy nie będzie wszystkiego wiedziała, że nigdy nie wyrwie „pra-nocy” jej najgłębszego sekretu i że chimerą jest zakreślać niewzruszone granice wszechświata, który się stale rozszerza.

W pobliżu tego słusznego stanowiska są dwie zdradliwe pułapki: pogardy dla nauki albo — na odwrót — zadufania, że oto teraz „potwierdza” ona wiarę. O. Bruckberger nie wpada w żadną z nich. „Nauka nowoczesna” — powtarza z naciskiem — nie daje żadnego dowodu na istnienie świata nadprzyrodzonego: to jest stanowczo poza jej zasięgiem”. Nie daje i nie może dać dowodu na istnienie Boga, lecz „nie ma w niej nic, co by przeszkadzało w Boga wierzyć”. Podobnie: „Jak wiedza mogłaby dowieść istnienia lub nieistnienia diabła, ona, która powstrzymuje się od wszelkich sądów o naturze nawet badanych przez siebie rzeczy?” Jakim prawem miałyby odrzucać fakty zmartwychwstania Chrystusa i dogmat o zmartwychwstaniu ciał, skoro sama poznała zjawiska tak fantastyczne i nieprawdopodobne jak to że „cała materia ciała ludzkiego odnawia się w ciągu kilku miesięcy i że w tym ustawicznym odnawianiu się materii nasze ciało pozostaje ciągle naszym ciałem” lub że „kilogram uranu zawiera w sobie i może wydać energię równą zawartej w trzech tysiącach ton ropy”?

W stuleciu, które dzieli nas od pozytywizmu i jego racjonalistycznej krytyki Pisma św., ogromnego skoku dokonały nie tylko nauki przyrodnicze, ale i historyczne. W świetle odkryć archeologii i postępów biblistyki upadł długi szereg zastrzeżeń co do wiarogodności Ewangelij jako źródeł historycznych. Znamy opisaną w nich epokę „nieskończenie lepiej niż Strauss i Renan: to oni się zestarzeli, ich, a nie Ewangelie zdystansowały najnowsze odkrycia.” O. Bruckberger daje sporo konkretnych przykładów, jak naiwna, dogmatyczna i mało przenikliwa była krytyczna egzegeza pozytywistów. „Taki Strauss, Renan, Loisy nie mają w sobie nic z detektywów. To intelektualisci zajęci wyrobem teoryj. Tam gdzie wystarczy mieć oczy szeroko otwarte i obserwować dokładnie”.

„Historia Jezusa Chrystusa”, dzieło historyczne dotyczące wydarzeń sprzed lat bez mała dwu tysięcy — jest książką nawskroś współczesną. Gdyby kiedyś, w wyniku — powiedzmy — katastrofy atomowej pozostały z niej tylko strzępy, przyszły historyk nie miałby żadnego kłopotu z ustaleniem nie tylko epoki, ale i dokładnej daty jej powstania. Warto się przyjrzeć wielorakim sposobom, którymi o. Bruckberger osiągnął tę współczesność i aktualność.

Z licznych przytoczeń poznaliśmy już trochę jego język: dzisiejszy, potoczny, kollokwalny, zdolny do poetyckich błysków i szczerego patosu, wystrzegający się jednak jak ognia ornamentacji, solenności, fałszywej poezji, robionej podniosłości, uroczystego namaszczenia. Proszę posłuchać jeszcze, jak o. Bruckberger komentuje scenę aresztowania (tak! nie „pojmania”) Jezusa w Ogrodzie Oliwnym:

Jezus nie protestował przeciw aresztowaniu Go. Podkreślił jednak jego aspekt groteskowy: po co ta cała olbrzymia mobilizacja? Po co było wyruszać w pole z kijami i mieczami, jak na niebezpiecznego bandytę, gdy przecież było tak łatwo położyć na Nim łapę w biały dzień, w świątyni?

Albo jak określa wrogów Jezusa:

To w żadnym razie nie były opryszki. To była elita umysłowa, społeczna, religijna, polityczna Izraela, gatunek ludzi, który zaludnia akademie, bywa w eleganckich klubach, na urzędowych trybunach, w salonach, krótko mówiąc: ludzie, od których zaproszenie na kolację przyjmuje się jako zaszczyt.

Lub wreszcie, jak parafrazuje drugie kuszenie szatana („Wtedy wziął go diabeł do miasta świętego i postawił na szczycie świątyni i powiedział mu: Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuć się na dół...”):

Ma to być może podobne znaczenie, jak gdyby diabeł powiedział dzisiaj: „Skoro jesteś Synem Bożym, znasz niewątpliwie teorię kwantów, najnowsze hipotezy o ewolucji przyrody, kosmosu, ludzkości, proces rozszczepienia atomu, rozporządzasz całym najnowocześniejszym arsenałem naukowym, jesteś przecież całą duszą człowiekiem swojego czasu — nie wątpię, że potrafiłbyś wcześniej niż ktokolwiek inny wyprawić się ku najdalszym planetom. Pokaż więc, że potrafisz, wybierz się tam!”

Z ostatniego przykładu widać jasno, że nie jest to tylko kwestia stylu, lecz całego „układu odniesienia”, całego świata zjawisk i pojęć, w którym autor żyje i który ustawicznie zestawia („bisocjuje”, powiedziałyby Koestler) ze światem sprzed dwu tysięcy lat. Książka roi się od aluzyj i analogij do najświeższych

wydarzeń, jak np. ucieczka Dalaj-Lamy lub śmierć Kennedy'ego. Krociami przewijają się w niej głośne, można nawet rzec: modne, współczesne nazwiska. Kafka, Proust i Einstein, Picasso i De Gaulle, Valéry, Simone Weil, Camus, Sartre i Jan XXIII... Okupacja rzymska przyrównywana do niemieckiej, Piłat do „gauleitera”, prorocy wieszczący wyzwolenie Izraela do wojennych audycji B.B.C., autorytet Kaifasza do (jakże śmiało i głęboko!) papieskiego... Wszędzie na każdej niemal stronie, pełno jest takich porównań i zbliżeń.

Niektóre rozrastają się w obszerne dygresje, jedne ściśle związane z tematem, jak o bigoterii, faryzeizmie, purytanizmie, nierozzerwalnym związku Starego Testamentu z Nowym, judaizmu z chrześcijaństwem, o wyobraźni historycznej, o cierpieniu, o dechrystianizacji współczesnego świata, inne na pozór od niego odległe — jak o antysemityzmie i inkwizycji (obu płomiennie potępionych), o demokracji i demografii, o racji stanu i o wolności słowa, o psychiatrii, o filmie. Szczegółowe ich przedstawienie rozsądziłoby tę i tak przydługą recenzję, ale dopiero ono mogłoby dać dobre pojęcie o bogactwie myślowym książki. Nie mogę się jednak oprzeć pokusie przytoczenia bodaj jednego z licznych odskoków, tak jest charakterystyczny, mądry i świetnie napisany. Mam na myśli miejsce, w którym od głębokich rozważań o odpowiedzialności za Ukrzyżowanie o. Bruckberger przeskakuje nagle do Hollywoodu pisząc:

Jeśli idzie o filmy nazywane „biblijnymi”, produkowane w Hollywood pod przemożną władzą potrzeb komercyjnych — ich celem nie jest obrazowe przedstawienie autentycznej Męki Pana Naszego Jezusa Chrystusa, lecz przede wszystkim zapełnienie publicznością sal kinowych, w taki sposób aby nikomu nie wyrządzić najmniejszej przykrości, ani odrobiny bólu Żydom, ani odrobiny bólu chrześcijanom. Takie filmy są haniebne, bezwstydnie bluźnią świętej prawdzie historycznej, wprost niewiarogodnie rozkładają wrażliwość chrześcijan i zrozumienie wydarzeń. Można chyba sądzić, że zaciekli stróże moralności chrześcijańskiej stoją przed pilniejszym zadaniem niż kalibrowanie biustonoszów i ocenianie gęstości welonów osłaniających ławce Wenery hollywoodzkie — a mianowicie przed zadaniem potępienia i zdemaskowania tych kinematograficznych mistyfikacji, które są tysiąc razy bardziej gorszymi zamachami na prawdę i na wstyd historii niż najgorsze cudzołóstwo. Bolesne jest stwierdzenie, że w dziedzinie tak ważnej jak kino, purytanizm sieje спустoszenie odwracając uwagę chrześcijańskiego ludu od wartości najważniejszych, które winno się za wszelką cenę utrzymać.



Skoro o filmie mowa, warto jeszcze zwrócić uwagę na iście filmową technikę, jaką autor posługuje się przy cytowaniu Nowego Testamentu. Cytuje oczywiście wiernie, opierając się na najnowszych zdobyczach lingwistycznej krytyki biblijnego tekstu, lecz tekst ten ożywia, nadając mu, zwłaszcza w partiach dialogowych, formę nieomal scenariusza filmowego, tu i ówdzie

posuwając się nawet do (uprawnionego zresztą) dodania małego słówka, westchnienia, wykrzyknika, które dialog zaostrzają i dramatyzują.

Jest to w duchu jego pojęć o *prédication*, o głoszeniu Dobrej Nowiny. Słowo to źle nam brzmi — powiada — i nic dziwnego, bo zbyt często drzemaliśmy na kazaniach. Wina jest jednak nie tylko po stronie drzemających, ale i po stronie mówiących — kaznodziejów. Brak im talentu, brak im odwagi w posługiwaniu się „tak licznymi, tak różnorodnymi, tak wydoskonalonymi, tak potężnymi” środkami przekazywania myśli i nowin. A przecież mają do przekazania nowinę najdonioślejszą, która dotyczy każdego człowieka na ten świat przychodzącego: — „Chrystus zmarł-wychwstał!”.

Głoszenie Chrystusa zmarłego-wychwstałego — jak to nazywa św. Paweł — czyli ewangelizacja jest obok apologetyki, obrony wiary przed zarzutami, głównym celem książki o. Bruckbergera. Jej adres jest szeroki. Mówią o nim ostatnie słowa autorskiej przedmowy:

Pisząc tę książkę myślałem stale o młodzieży naszego świata. Wśród niej przede wszystkim szukam czytelników. Myślałem o chrześcijanach pragnących napędląć ich dumą z tego, że mają Jezusa Chrystusa za Pana. Myślałem też jednak wiele o niewierzących: pragnąłbym sprawić, aby zaczęli powątpiewać w własne wątpliwości.

Jako wierzącemu trudno mi jest wstawić się w położenie niewierzących i odpowiedzieć na pytanie, czy „Historia” spełnia postawione wobec nich zadanie. Mnie wzruszyła, w miarę postępującej lektury, coraz więcej nad nią rozmyślałem, w znaczeniu medytacji religijnej, co osłabiło zapewne moją myśl krytyczną. Pomimo tego jednak nie wszystkie argumenty apologetyczne autora trafiają w pełni do mojego nawet przekonania i niejedna jego koncepcja raczej urzeka mnie swą poetycznością niż przekonywa. Ale też autor ani przez chwilę nie łudzi się, że zdoła swą książką „nawracać”. Chce tylko jednego dowieść: że jego wiara nie polega na łatwowierności.

Myślę, że przynajmniej tak też każdy niewierzący, który jest człowiekiem dobrej woli i któremu nie brak wrażliwości. Dlatego tak szeroko rozpisałem się o autorze, o sile jego osobowości, o jego talencie, odwadze, trzeźwości, o jego nowoczesności i arcywspółczesności, o jego rozległej wiedzy, o jego nieustraszonemu przywiązaniu do prawdy — bo wydaje mi się, że tym właśnie, nazwijmy to zbyt lekko „urokiem osobistym”, trafi on do niewierzącego czytelnika bardziej niż rozumowaniem i argumentami. Argument „ad hominem” może sobie być obrazą logiki, lecz w konkretnym ludzkim świecie nie sposób się bez niego obejść. Jeśli człowiek tego pokroju tak niezachwianie wierzy, kim jestem ja sam, aby mi wolno było machnąć na tę wiarę ręką i wzruszyć nad nią ramionami?

„Historia Jezusa Chrystusa” nie stanowi „dowodu” prawdzi-

wości chrześcijaństwa, ale budzi zaufanie do jego powagi i doniosłości.

Michał CHMIELOWIEC

Bez iskry bożej

W tym samym okresie, w którym pochłaniałem „Historię Jezusa Chrystusa” o. Bruckbergera i „Akt twórczy” Koestlera, brnąłem przez dzieło o podobnej objętości pt. „Katolicka nauka społeczna”*. Autor ukrywa się pod pseudonimem „Stanisław Jarocki” i można się domyslać, że jest krajowym naukowcem katolickim. Podjął się pracy bardzo ważnej i potrzebnej i włożył w nią wiele trudu. Niestety jednak owoc jej — w każdym razie dla czytelnika nie-specjalisty, lecz żywo zainteresowanego omawianą dziedziną — ma smak bardzo mdły.

Mój główny zarzut wobec tej książki może się wydać już nie tylko paradoksalny, ale wprost beczelny: Nie ma w niej ani jednego lotnego powiedzenia, ciętego aforyzmu, ani jednego dowcipu. O. Bruckberger i Koestler poruszają sprawy nie mniej poważne i nie mniej doniosłe, wiedza obu autorów jest bardzo rozległa i głęboka, „Akt twórczy” zwłaszcza jest książką w pełnym tego słowa znaczeniu naukową, byłem chwilami zmiądzony jej „aparatem” z zakresu biologii, fizyki i innych nauk przyrodniczych. Lecz w obu książkach, ile przy tym jest błysków poezji i dowcipu, ile olśniewających określeń! To nie jest tylko sprawa talentu literackiego. Przedmiot naprawdę głęboko przemyślany i odczuty — czy to będzie życie Jezusa Chrystusa, czy geneza twórczości naukowej i artystycznej, czy katolicka nauka społeczna — musi każdego dobrego autora pobudzić do szczególnie ujęć słownych, do zdań błyskotliwych i pamiętnych. Roi się od nich najpoważniejsza przecież twórczość takich myślicieli jak Bergson czy Russell, pełno ich jest u nawet tak ciężkiego i zawiłego Kanta. U św. Tomasza z Akwinu nie ma wprawdzie dowcipów, ale krystaliczna lapidarność wielu jego sformułowań (zwłaszcza w łacińskim oryginale) sięga wyżyn prawdziwej poezji. Podejrzewam, choć brak mi wiedzy, by tego dowieść, że w książce Jarockiego nie ma ani jednej całkowicie oryginalnej myśli, która by stanowiła bezsporny jego własny wkład do nauki.

Autor zapewne nie miał tak wysokich ambicji twórczych, szło mu nie o wkład do nauki, lecz o napisanie podręcznika, który by wprowadzał w obecny jej stan, systematycznie, jasno, w miarę przystępnie. Postawił sobie za cel referowanie cudzych myśli. Ale i tu by nie zawadziło trochę, choćby pożyczanej, soli atyckiej.

Książka dzieli się na trzy części. Pierwsza: „Podstawy socjologii i ekonomii” daje elementy filozofii społecznej, socjologii i ekonomii oraz zarys

* Stanisław Jarocki: *Katolicka nauka społeczna*. Wyd. Société d'Éditions Internationales, Paryż, 1964. Str. 554 i 6 nl.

współczesnych kierunków społeczno-gospodarczych. Druga poświęcona jest historii katolickiej nauki społecznej, omawia jej przedmiot, źródła i rozwój. Trzecia traktuje o katolickiej etyce społecznej w życiu rodzinnym, zawodowym, społeczno-państwowym, międzynarodowym i gospodarczym, a wstępem do niej jest rozdział o „podstawowych zasadach życia społecznego”.

Jak przedstawiony jest ten zespół zagadnień istotnych i fascynujących? Wyczerpująco — w podwójnym tego słowa znaczeniu. Że nudnawo, to jeszcze pół biedy. Inne cechy wykładu jeszcze bardziej odstręczają mnie od niego. Jarocki należy do ludzi, którzy jak to kapitalnie określił Proust, „myślą na palcach”, punktami: po pierwsze, po drugie, po trzecie, po dziesiąte. Wydaje im się, że sklasyfikować i policzyć, to znaczy poznać i zrozumieć. Drugą cechą jest poczciwy normatywizm podejścia, stały nacisk na to, jak powinno się układać życie społeczne i gospodarcze, zamiast opisu, jak naprawdę wygląda i zamiast dociekań, dlaczego tak jest i czy mogłoby być inaczej.

Nie brak również twierdzeń wysoce wątpliwych, choć podawanych ekatedralnym tonem. Np.: „Celem każdej nauki jest usprawnienie działalności człowieka, każda więc nauka ma ostatecznie cel praktyczny” (str. 10). A całkowicie bezinteresowne szukanie prawdy? Albo: podział na „społeczności konieczne i niekonieczne” (str. 42); — „do pierwszej kategorii” — czytamy — „należy: rodzina, państwo, Kościół. Bez tych społeczności nie można wyobrazić sobie istnienia życia społecznego na żadnym szczeblu jego rozwoju”. Czyżby? — Jeszcze większe wątpliwości budzi twierdzenie (na teście stronie), że „Kościół zaspokaja wszystkie potrzeby duchowe człowieka” a „państwo — wszystkie potrzeby doczesne”. Żaden kościół nie zaspokaja mojej duchowej potrzeby dokształcania się w naukach przyrodniczych i żadne państwo nie troszczy się o moją doczesną potrzebę podrapania się za uchem, gdy mnie coś tam swędzi. Lub wreszcie, z innej dziedziny: „tylko w licznej rodzinie, tzn. rodzinie wielodzietnej dzieci dobrze się wychowują” (str. 50). Jedynacy, wśród których nie brak było świętych, powinni założyć stanowczy protest przeciw tak lekkomyślnym uogólnieniom!

Erudycja Jarockiego jest spora i autentyczna, ale i w niej nie brak wykrzywień, widocznych nawet dla oka laika. Socjologia angielska np. zaczyna się u niego i kończy na Spencerze. W rozdziale „Historia ekonomii” nie ma Keynesa! W obfitej bibliografii uderza przewaga dzieł niemieckich i francuskich, a wielki niedostatek — angielskich i amerykańskich, choć w naukach społecznych kraje anglosaskie nie od dziś przodują. Niedostateczną znajomość świata anglosaskiego zdradzają takie drobne, ale znamienne pomyłki autora, jak uwaga na str. 44, że „nauka angielska przejęła od od niemieckiej „termin kultura” — rzekomo łatwiej niż francuska, gdy w rzeczywistości Anglicy wolą się posługiwać terminem „cywilizacja”, lub horendalne twierdzenie (str. 108) że „Anglicy i Amerykanie nie płacą w sklepach pieniędzmi, lecz czekami”. Owszem, zdarza się płacenie czekami, lecz obrót gotówkowy jest regułą przy drobniejszych zwłaszcza zakupach.

Razi mnie wreszcie lekka tendencyjność tonu w anty-kapitalistycznych ustępach książki (np. str. 37, 41, 106) i wyraźna niechęć do liberalizmu (tak jakby nie było liberalizmu lorda Actona i innych katolickich myślicieli!) przy równoczesnej ogłędności sformułowań krytycznych o komunizmie i marksizmie, być może podyktowanej miejscem zamieszkania autora. Stawia to jednak pod znakiem zapytania celowość wydawania za granicą takich książek pisanych w Polsce.

Język i styl książki, choć bezbarwny, jest na ogół poprawny, zdarzają się jednak zdania-potworki jak np.: „Spadek wielkości potrzeby w miarę jej zaspokajania odpowiada więc zmniejszaniu się pożądania na dany

środek zaspokojenia potrzeby czyli zmniejszeniu użyteczności tego środka...” (str. 77).

Nie chciałbym być niesprawiedliwy wobec widocznego wkładu pracy i wiedzy autora. Z jego książki można się na pewno wiele nauczyć. Nie tylko dla studenta, ale i dla bardziej zaawansowanego socjologa, ekonomisty, publicysty — jest to mimo wszystko książka potrzebna i pożyteczna. Kogo nie odstręczą jej wady, znajdzie w niej niejedną cenną informację i niejedną podniętę do samodzielnych dociekań. Z tego punktu widzenia ubolewać trzeba, że autor nie sporządził indeksu imiennego i rzeczowego. Częściowo wynagradza tę lukę przejrzysty układ książki.

Michał CHMIELOWIEC

**DOBRY OBRAZ POLSKIEGO MALARZA
JEST NAJLEPSZYM PREZENTEM
NA GWIAZDKĘ I BASTA.**

Duży wybór polskich obrazów poleca

POL-ART GALLERY

121 Saint Marks Place, New York, N.Y. 10009

Tel. GR. 5-8886

P. S. Na składzie duży wybór “Nikiforów”

„Europa in flagranti” — St. Mackiewicz

Nie zacznę od pochwał St. Mackiewicza. Ustalił się u nas na emigracji opłakany zwyczaj, że dziennikarze, krytycy, literaci, poeci piszą, o swych przyjaciółach czy po prostu znajomych w superlatywach: znakomity publicysta, świetny pisarz, czujny krytyk, głęboki umysł etc. Ten system zdewaluował wszelkie pozytywne oceny, tym bardziej najbardziej zasłużone pochwały. Powiem więc tylko, że St. Mackiewicz jest dzisiaj najbardziej czytany (przez publiczność) pisarzem w kraju, lecz że reżym, który chce go za wszelką cenę zniszczyć, naprzód haniebnie go cenzuruje, potem zwleka z „imprimatur” jego książek, ogranicza ich sprzedaż do jednej czy dwóch księgarni, organizuje bojkot krytyków i recenzentów. Wszystko dlatego, że Mackiewicz nie godzi się na pisanie na zamówienie tym bardziej pod dyktando, nie staje się echem potężnych suflerów, nie przemilcza rzeczy reżymowi niemiłych, nie pluje tam, gdzie reżym pluć każe, nie kadzi marnym, głupim, parszywym urzędnikom, którzy dzisiaj „sterują” polską literaturą, historią, publicystyką.

Obowiązkiem emigracji jest zaszczyć Mackiewiczowi pomoc. Prasa emigracyjna powinna drukować o jego książce recenzje: ręce reżymu są długie, i instrukcje reżymowe, by dookoła Mackiewicza zrobić głuchą ciszę, mogą być — jakkolwiekby to się wydawało nieprawdopodobne — wykonywane *à la lettre*. Ober-patrioci, gdy chodzi o pseudo-nacjonalistyczne kampanie, nakazane przez reżym, milczą gdy chodzi o obronę wolności słowa!

Emigracja może również solidaryzować się z Mackiewiczem przez kupowanie jego „Europy in flagranti”. Chodzi zresztą nie tylko o ten poszczególny wypadek: chodzi o wszystkie wypadki, gdy cenzura, monopol wydawniczy i prasowy reżymu próbują stłamsić niezależnego, niewygodnego pisarza, zasznurować mu usta, zamorzyć go głodem, zastraszyć go represjami. Najbar-

dziej zaboli reżym i jego agentów nie pochlebna recenzja, ale wiadomość, że każda ilość egzemplarzy książki Mackiewicza rozcodzi się w Paryżu, w Londynie, w Nowym Jorku w mgnieniu oka. To też jest plebiscyt. I plebiscyt, który uderza reżym w jego punkcie najsłabszym, mianowicie w jego naśladownictwie tradycji Apuchtina i stalinizmu. Więzienia i cenzura, oto dwie kłódki Polski dzisiejszej. Póki cenzura i każda próba zagłodzenia niezależnego pisarza nie będzie wypalona z życia polskiego czerwonym żelazem, póty na nic się nie zdadzą wszystkie zaklinania „postępowe”, „socjalistyczne”, „robotniczo-ludowe”: jedyną rzeczywistością w Polsce pozostanie państwo policyjne. Kupujmy Mackiewicza, czytajmy Mackiewicza: będzie to najlepsza odpowiedź szermierzom Ciemnogrodu. Nawet na Węgrzech reżym Kadara poszedł na drukowanie węgierskich pisarzy *emigracyjnych*, i to piastujących różne godności w emigracyjnych organizacjach: (Paul Tabory), w Polsce reżym nie drukuje ani jednego wiersza, choćby czystej liryki, Wierzyńskiego czy Łobodowskiego, a teraz nawet lekka, beletrystyczna książka historyczna St. Mackiewicza jest na reżymowym indeksie. Jak liberalni byli carowie rosyjscy w porównaniu z Polską Gomułki!



„Europa in flagranti” jest doskonała jako pomysł. „Przeglądam gazety francuskie, rosyjskie, polskie oraz angielski *Times* z roku 1900”, pisze Mackiewicz. Ma to być więc jakby latarnia magiczna, która nam pozwala przeżyć ponownie wypadki lat 1900-14. Ja sam pisałem kiedyś migawkę dla Radia Wolnej Europy, niby to dzienniczek mieszcucha warszawskiego, oparty na lekturze „Kuryera Warszawskiego” z 1-go kwietnia 1915 roku, ówczesnych primaaprilisowych kawałów, i pamiętam, że mnie ta migawka bardzo bawiła. Ale by zrobić książkę tego typu, trzeba mieć sztab wykwalifikowanych sekretarek, które by robiły wycinki, dobierały materiały etc. Inaczej każdy pisarz utonie pod materiałem, nie będzie w stanie ująć całości.

Moim zdaniem, miarą wartości dobrej książki jest to, że czytelnik, po jej przeczytaniu ma ochotę ją odczytać po raz drugi, a tym bardziej chciałby sam ją napisać. Przeszło 30 lat temu przeczytałem powieść „Good Earth” Pearl Buck, w piekielnie gorącą noc nowojorską, i nad ranem powiedziałem sobie: „nigdy bym nie uwierzył, że życie chińskich chłopów potrafi mnie zainteresować”. Teraz „Błogosławioną Ziemię” odczytałem, kupiwszy ją w tłumaczeniu niemieckim (tak dziwnie się czasem układa życie), i znacznie mniej mi się podobała: ale fakt pozostaje, że talent autora nagle zbliża się do tematów, które w oderwaniu wydawałyby się nam błahe, obce, nudne.

Książka Mackiewicza wzbudziła we mnie ochotę do napisania jej ponownie, i, przyznaję, zupełnie inaczej. Mackiewicz swą uwagę skoncentrował na polityce: ja bym podkreślił kolosalną rewolucję techniczną, medyczną, ekonomiczną, socjalną, geograficzną, która właśnie zaczęła się koło 1900 roku i

trwa dotąd. Mackiewicz sam wspomina zawrotne postępy techniki, ale tylko w dwóch dziedzinach je zauważył: w transporcie i w wojnie. Co do wojny, to znalazł efektowny zwrot: że on sam jeszcze w r. 1920 walczył na koniu z lancą, a więc plus minus tak, jak mogli walczyć nasi przodkowie pod Grunwaldem, a dożył bomby atomowej i lotów kosmicznych. Ale poza tym Mackiewicz woli rozpisywać się o śmierci królowej Wiktorii, która była pod koniec starą babą, bez żadnego wpływu na wypadki, o wizytach Edwarda VII w Paryżu, podczas gdy wpływ tego monarchy był bardzo niewielki, o wojnie burskiej, która była epizodem bez znaczenia, tak samo jak kolonizacja Algierii: obie te operacje nie zostały doprowadzone do logicznego końca, bo humanitaryzm XX w. nie pozwalał na wyniszczenie tubylców, jak to zrobiono w XVIII wieku w Ameryce Północnej, a więc na rozszerzenie strefy osiedlenia rasy białej. To był moment decydujący, a nie kwestia czy w Pretorii mówić się będzie po angielsku czy po bursku. Widzimy to dzisiaj jaskrawo w Rodezji: tamtejsi biali wolą mieć rząd Burów, niż angielski, ale pro-murzyński.

Tak samo Mackiewicz przecenia znaczenie powstania bokserów. Istotą rzeczy było, że dynastia chińska nie potrafiła stać się ośrodkiem wielkiego pędu modernizacyjnego, jak to zrobił cesarz Meiji w Japonii (błędnie nazywany przez Polaków Mutsubito) Ktoś musiał to zrobić: jeśli nie robili tego tubylcy, musieli to robić biali. Zgnębienie powstania bokserów miałoby duże skutki, gdyby ta pierwsza „wojna koreańska”, pierwsza „wojna ONZetu” (*avant la lettre*) doprowadziła do stworzenia jakiejś stałej europejskiej siły ekspedycyjnej, lub przynajmniej wytworzyła jakiś załazek europejskiej „Wspólnoty Obronnej”, czy europejskiego „Nato”. Ale nic podobnego nie nastąpiło: współkombatanci w Pekinie wyróżnili się z całą możliwą furią w 14 lat później.

Ale wróćmy do tych zmian techniczno-obyczajowych, które mnie pasjonują. Otóż gdybym zamiast Mackiewicza pisał te dzieje lat 1900-14, to bym przypomniał opinię Lorda Russella (bardziej znanego jako Bertrand Russell), który odpowiadając na noworoczną ankietę (kilka lat temu) londyńskiego Sunday Times'a napisał, że za datę najważniejszą w dotychczasowej historii XX wieku uważa rok 1906 — datę wynalezienia Salwarsanu (606) przez profesora z Frankfurtu nad Menem, Ehrlicha, i jego japońskiego asystenta Hatę. Russell wywodzi, że w zaraniu XX wieku, na skutek upadku wierzeń religijnych i rozluźnienia obyczajów, wzrost liczby syfilityków przybrał tak potworne rozmiary, że światu groziła także tragedia co w roku 1348, w związku z „Czarną Śmiercią” czyli pojawieniem się dżumy. Wydaje mi się to prawdą. Jestem ponadto przekonany, że potworność Stalina, Hitlera, Mussoliniego, i wielu innych dyktatorów tłumaczy się syfilisem, nabytym czy dziedzicznym.

Zwróciłbym też uwagę, że w r. 1904 nastąpił w angielskim *Foreign Office* akt rewolucyjny o nieobliczonych konsekwen-

cjach: mimo szalonego oporu starszyny dyplomatycznej wprowadzono w tym roku do siedziby polityki imperialnej pierwszą maszynę do pisania, już stokrotnie ulepszone wydanie małej, okrągłej, żelaznej poduszki z klawiszami, którą na wystawie w Paryżu w r. 1889 jakiś Francuz wystawił, i którą za 10 dolarów zakupił ubogi amerykański turysta, Mr. Remington. W dwa lata po pojawieniu się pierwszej maszyny *Foreign Office* zaangażował pierwszą maszynistkę, znowuż ku zgrozie konserwatywnych dyplomatów. Wiek XIX definitywnie zniknął z widowni.

15 grudnia 1898, w piwnicy jakiejś rudery na Montparnasse dwaj bracia Lumière (nomen-omen) wyświetlali pierwsze „latarenie magiczne”, które nazwali „kinomatografem”. Wówczas wszyscy Francuzi umieli po grecku, i stąd z greki wywodzi się nazwa wynalazku, który miał zrewolucjonizować świat. Znowuż, jak z maszyną do pisania, jak z samolotem, jak z samochodem, jak z tyloma innymi, wynalazek był francuski, ale Francuzi nie chcieli czy nie umieli go wyzyskać: woleli pozostać wierni swym Burgundom i Bordeaux, swym głupim modom i kapeluszą, a te żyły złote oddali za bezcen Amerykanom, Niemcom, Anglikom.

W 1900 r. nastąpił historyczny wypadek, dużo ważniejszy od powstania bokserów czy wojny burskiej, którego Mackiewicz zupełnie nie dostrzegł: oto w tym roku po raz pierwszy produkcja stali w Stanach wyprzedziła produkcję stali w Anglii. Stal była wówczas królową przemysłu. Berło przemysłowe przeszło w tym dniu na drugi brzeg Atlantyku, i dotąd tam pozostaje. Era angielska historii światowej skończyła się, tylko nikt do 1918 r. tego się nie domyślał, a do 1945 nie było to jeszcze dla wszystkich widoczne.

W roku 1900 — znowuż Mackiewicz o tym nie pisze — zniknęły ostatnie opłaty rogatkowe w Paryżu (*l'octroi*). W tymże roku otwarto pierwszą linię paryskiego metra (Vincennes-Neuilly), którą w rekordowo krótkim czasie (2 lata — vide obecne ślimaczenie się budowy métro-express) zbudował młody inżynier, o poetyckim nazwisku, Monsieur Fulgence Bienaimé. Ostatni konny autobus znikł z ulic Paryża dopiero w roku 1912! W roku 1900 (doprawdy *annus mirabilis*) konstruktor malutkiej fabryczki samochodów w Monachium, Herr Benz, postanowił wziąć udział w wyścigu samochodowym Paryż-Nicea, zorganizowanym przez „Le Journal”, więc wysłał tam swój najnowszy model wozu wraz ze swym najlepszym szoferem: szofer ten był Czechem i nazywał się Jellinek. Postanowienia wyścigu przewidywały, że każdy wóz będzie miał indywidualną nazwę, nie tylko firmy. Benz rozumiał się na motorach, ale miał mało wyobraźni, zapytał się Jellinka, jaką by nazwę dać wozowi firmy Daimler-Benz. Ten też nic nie mógł wymyśleć, aż wpadł na pomysł by wóz wyścigowy nazwać imieniem swej 6-letniej córeczki, która, o dziwo, nazywała się Mercedes, dokładnie Maria de las Mercedes, Marią Wielu Łask. Skąd się wzięło to hiszpańskie imię w rodzinie czeskiego szofera, nie wiem. Ale wóz firmy Benz, szoferowany przez

Jellinka, wygrał wyścig. Mercedes rozpoczęła światową karierę, która dotąd trwa. Co stało się z tą dziewczynką, z oryginalną Mercedes? Nigdy się nie zdołałem dowiedzieć.

A *propos* samochodów. Wątpię, by Mackiewicz wiedział, że w roku 1900 powstała w Ameryce firma samochodowa pod nazwą General Motors. I że jest sławna zagadka ekonomiczna, którą często cytują na wszystkich seminariach ekonomicznych globu: jakie były dwie najlepsze lokaty kapitału tysiąca dolarów w roku 1900? Otóż *drugą* najlepszą lokatą było kupno akcji General Motors: ówczesne tysiąc dolarów byłoby dzisiaj warte dwa miliony dolarów. A jaka była pierwsza lokata? Kupno obrazów Van Gogha, które szły wówczas po sto franków za pierwszorzędny obraz. Dzisiaj taka kolekcja 50 Van Goghów byłaby warta minimum pięć milionów dolarów.

Można by tak długo ciągnąć, bo Mackiewicz radykalnie nie docenia znaczenia maszynizmu, techniki, ekonomiki. Byłoby dziwne gdyby było inaczej. Choć dzieli nas — jego i mnie — niecałe 10 lat, jeśli chodzi o wiek, dzieli nas całe pokolenie, jeśli chodzi o zainteresowania, o mentalność (ten termin jest lepszy od „poglądów”, bo te się zmieniają, natomiast mentalność nie zmienia się prawie nigdy, każdy jest dzieckiem swej epoki). Zawsze mnie uderzała przepaść między ludźmi, którzy mieli 18 czy 20 lat w roku 1914, i przeżyli aktywnie wielki przełom z 19-go na 20-y wiek, a tymi, którzy wówczas byli dziećmi, a więc uformowali się dopiero po wojnie (pierwszej). To są dwie generacje. Mój i mych dokładnych rówieśników stosunek do „orientacji”, do „zaborców” już nie był wynikiem pasji, Rosja, Austria — to były dla mnie państwa ościenne. Dla Mackiewicza nie tylko Legiony, NKN i koło polskie w Dumie, ale nawet Witte, nawet Azef — to czasy współczesne.

Za największy brak książki Mackiewicza uważam nie zneglizowanie maszynizmu i ekonomiki: ostatecznie każdy ma prawo doboru tematów. Zarzucam mu błędy konstrukcji i błędy perspektywy. Błędy konstrukcji — to przede wszystkim wmieszanie spraw polskich w tło epoki, która ma być snopem światła na dzieje Europy, może nawet świata. Cóż ma Stapiński czy Stojałowski do tej wielkiej panoramy? To tak jakby opis oceanu przeplatać uwagami o stawie w rodzinnej wiosce. Przed 1914 r. sprawa polska nie grała, tak samo jak nie grała sprawa czeska, czy ukraińska, podczas gdy serbska już grała, bo Serbia miała swój rząd, miała niepodległość, Serbia zdecydowanie wpłynęła na wybuch wojny 1914 r. Natomiast ani Piłsudski, ani Lenin najmniejszego wpływu na ówczesne wypadki nie mieli, coś dopiero Stojałowski.

Dużo ważniejsze jest złe uszeregowanie omawianych krajów. Na czoło w obrazie Europy autora wybijają się Francja i Rosja. Działają tu sympatie Mackiewicza, oraz fakt, że zna dobrze te dwa języki. Ale to wyróżnienie mąci całość obrazu. Niestety, w 1900 roku Francja już nie była sercem świata, i Paryż przestał być jego stolicą. Wszystkie wielkie prądy naszego wieku — nacio-

nalizm, socjalizm, antysemityzm — które zburzyły Europę 19-towieczną, wylęły się w Niemczech. Nacjonalizm rozwalił Austrię, socjalizm najpierw rozwalił Rosję, potem co dziwniejsze, zrobił z niej wielką potęgę. Antysemityzm sprawy Dreyfusa był antysemityzmem salonowym, raczej modą; ten prawdziwy zrodził się w Wiedniu, był dzieckiem Luegera, i Hitler był uczniem Luegera, jak de Gaulle jest uczniem Maurrasa. Fabrykacja seryjna, *mass consumption* — wszystko to wywodzi się z Ameryki, nie z Francji. Antyklerykalizm Combes'a okazał się zjawiskiem lokalnym, inne siły wstrząsnęły podstawami kontr-reformacyjnego Kościoła. Filozofia Bergsona była drobną zmarszczką na tafli myśli ludzkiej, wielkie prądy filozoficzne wyszły z Niemiec. Pasteur i nauka francuska XIX wieku nie mieli godnych następców. W potężnej rodzinie socjalistycznej Francuska SFIO, czy później komuniści francuscy mieli stale marginesowe role; pogarda Lenina dla Jaurès'a nie miała granic. Jaurès odegrał czołową rolę w sprawie Dreyfusa, w rozdzieleniu Kościoła od państwa, ale co zdziałał dla robotnika francuskiego? O ile bliższy prawdy był jego antagonistą, Jules Guesdes, który wywodził, że walka z Kościołem jest wymysłem burżuazji francuskiej dla odwrócenia uwagi klasy robotniczej od wyzysku, którego była ofiarą! Radykalowie u władzy walczyli z zakonnikami i wysiedlali je do Anglii, a wodzowie „lewicy” Clémenceau i Briand rywalizowali w tłumieniu strajków przy pomocy nie tylko policji ale i wojska, lub mobilizowania kolejarzy.

Jeżeli w freskach Mackiewicza rola Francji jest wyolbrzymiona, to cóż dopiero jego ujęcie roli Rosji! Patologiczny rusofilizm Mackiewicza wychodzi na jaw na każdej stronie. Pal diabli jego kult Dostojewskiego, z którego robi mędrca i geniusza. Ale Mackiewicz nazywa Wittego genialnym mężem stanu. Z jakiej racji? Że nie chciał wojny z Japonią? Ładny to geniusz, który jest najwplywowszym ministrem i nie umie nawet zapobiec temu, że jego car tę wojnę wypowiada! Mackiewicz opowiada barwnie i z wielkim talentem potworną rolę prowokacji w Ochranie. I co? Rzekomo genialny Witte, zamiast się dobrać do tego wrzodu, rozpedzić całą Ochranę i Żandarmerię, zniszczyć tę kazirodczą spółkę, sam, według autora, prosi Ochranę, by urządziła na niego zamach, przegłonić co prawda dodając, że zamach ten udać się nie powinien. Ładny to geniusz, który tolerował policję zabijającą wielkich książąt, a potem i jego następcę, Stołypina, który tak ślicznie zorganizował administrację, że potem rosyjski *attaché* wojskowy w Belgradzie mógł na spółkę z serbską Dwójką mordować austriackiego następcę tronu i rozpętać wojnę światową, który sam dożył czasów, gdy Rosją już rządził Rasputin.

Mniejsza o Wittego, postać bardzo epizodyczną. Ale rozdziały o Ochranie i prowokacji są najciekawsze i najlepsze w całej „Europa in flagranti”. Rozdziały te powinna medytować emigracja, ale także i reżym. Czekaj, GPU, NKWD, MWD — to są wszystko bękarty Ochrany, to znaczy wszystkie te instytucje hodujące latami szpiegów, agentów, prowokatorów, propagandzistów. Zga-

dzam się całkowicie z opinią Mackiewicza w sprawie Brzozowskiego: Brzozowski był konfidentem Ochrony. Gdyby nasz rząd londyński medytował nad Ochroną, to by nie dał się tak dziecinnie nabrać przez wszystkich Litauerów, i tylu innych podobnych huncfotów. Na szczęście, nigdy nie miałem i nie mam żadnych stosunków z policją, ale, o ile mogę się orientować, Francja używa od czasu do czasu agentów i szpicli, ale jednorażowo, nie hoduje ich latami, a gdy potrzeba, która ich powołała znikła, Francja likwiduje wszystkie odpowiednie *barbouzes'y*, jak to na pewno uczyniła po zakończeniu wojny algierskiej i walk z OAS'em. Natomiast Rosjanie i Bolszewicy latami wychowują i utrzymują agenturę na Francję, na Niemcy, na Polskę, na emigrację taką czy inną, i maczają palce w każdej akcji terrorystycznej: jestem głęboko przekonany, że to oni finansują separatystów w „Süd-Tirol”, że oni są zamieszani po uszy w akcjach terrorystów chorwackich, że przeniknęli całą emigrację rosyjską, że mają pełno swych ludzi we wszystkich Wietnamach, Kongach, Indonezjach, Irakach, słowem wszędzie gdzie odbywają się zamachy, gdzie knują się rewolucje, gdzie leje się krew. Pamiętajmy zawsze, że Bezpieka jest daleką wnuczką Ochrony.

Rozdział o Azefie, rewolucjoniście i prowokatorze jest najlepszym rozdziałem w całej książce Mackiewicza. Wszystko co Mackiewicz w tym rozdziale pisze, to są rzeczy znane, ale w naszych środowiskach ludzie młodszy, a także starsi ale z innych zaborów, nigdy o Azefie nie słyszeli. Gdyby dzieje Azefa były znane na Zachodzie, to Francuzi, Anglicy i inni nie dawaliby się tak często i tak łatwo nabierać na intrygi rosyjskie, w gruncie rzeczy prymitywne i szyte białymi niemi. O ile analizy i wywody na temat leninizmu i linii partyjnej wydają mi się mało pouczające, o tyle każde źródłowe opracowanie o policji carskiej czy sowieckiej trzeba witać z radością i wdzięcznością, bo policja, a zwłaszcza tajna policja, a już specjalnie cały aparat prowokacji, stanowi zawsze, jakakolwiek jest jego nazwa, kość pacierzową państwa rosyjskiego. Azef i Jagoda — oto dwa symbole państwa rosyjskiego.

Gdy Mackiewicz pisze o Rosji, znajduje się oczywiście na pewniejszym gruncie, choć stale przecenia jej rolę, jej możliwości, jej stan kulturalny, jej stopień cywilizacyjny. Mackiewicz nie napisał słowa o 45 miliardach franków złotych, które Francja utopiła w Rosji, w formie pożyczek, obligacji i inwestycji w przemyśle rosyjskim. Bez tych francuskich zastrzyków Rosja znalazłaby się w XX wieku w sytuacji Turcji, byłaby chorym człowiekiem Europy. Sojusz francusko-rosyjski był z punktu widzenia rosyjskiego tylko środkiem szantażu dla dwudziestoletniego dojenia Francji, potem do wpakowanie jej w wojnę z Niemcami o interesy rosyjskie na Bałkanach. Jeden Jaurès zorientował się w sytuacji: cały dzień 31 lipca, aż do chwili gdy został zastrzelony w kawiarni Le Croissant (z tyłu przez Raoul Villain), powtarzał i krzyczał: *Cette guerre — c'est une intrigue RUSSE!* Gdyby Francja te miliardy zainwestowała równie ro-

zumnie jak Anglia, w swym imperium, w Ameryce, w Zachodniej Europie, a przede wszystkim u siebie, to by pozostała *la grande nation*, nie spadłaby do poziomu dodatku do Rosji czy Anglii.

Mackiewicz zupełnie nie docenia centralnego problemu Rosji, którym było stworzenie klasy rządzącej. Zresztą dzisiaj Kosygin stoi przed tymże problemem. Bat i pałki Mikołaja I, plus tępą biurokracja mogły wystarczyć w społeczeństwie nędzarzy, głodu, analfabetyzmu. Jak za czasów Iwana Groźnego. Ale w 1905 roku konieczna była klasa rządząca. Państwa, które ją miały — jak Anglia, jak Francja, jak Niemcy, jak Włochy — mimo wszystko jakoś wybrnęły z wojny czy klęski. Upadek Hohenzollernów nie zniszczył armatury Reichu. A w Rosji, gdy runął carat i Ochrań, nie zostało nic na placu, aż do chwili kiedy Lenin stworzył nową, lepszą Ochrań. Mackiewicz jest za surowy dla Kadetów. Każda „nowa szlachta” nie ma dostatecznego wyrobienia, bo nie ma doświadczenia. Skąd Milukow i towarzysze mieli je mieć? Jak my sami byśmy wyglądali w 1918 r., gdyby nie było tej szkółki politycznej, którą było Koło Polskie w Wiedniu i polska administracja Galicji? Jak wyglądałyby Niemcy w r. 1945, gdyby im nie został ze szczęśliwszych czasów Adenauer? Milukow też nie był taki głupi, że żądał kontroli nad wojskiem i polityką zagraniczną. Wiedział, że Mikołaj II był kukłą w ręku swych doradców, i że tymi doradcami byli przeważnie tęp i źli generałowie. Póki nowy reżym nie opanuje wojska i policji, póty jest zawsze na łasce i niełasce klik wojskowych i policyjnych, a w Rosji już bardziej niż gdzie indziej. Poza tym w Rosji oczywiście koniecznością było radykalne obcięcie ambicji mocarstwowych, i zmniejszenie budżetu wojskowego o dwie trzecie, oraz przeznaczenie zaoszczędzonych sum na szkoły, na higienę, na walkę z brudem, na skrócenie czasu pracy, na podniesienie płac robotniczych, na transport, na budownictwo, na inwestycje rolne. Są tylko dwa sposoby rządzenia: albo zwiększając dobrobyt i wykształcenie całej ludności, albo taki czy inny terror. W Rosji problem wyglądał tak samo. O „bogactwie” Rosji przedwojennej, Rosji carskiej, mogą mówić tylko ci, którzy popełniają błąd optyczny, wpatrując się wyłącznie w stopę życiową i dochody minimalnej części ludności, która wynosiła w najlepszym razie jakiś ułamek jednego procentu społeczeństwa. Już mały urzędnik administracyjny nie mógł się utrzymać z poborów, i kradł lub brał łapówki. Tak samo nauczyciel w szkole wiejskiej. Tak samo urzędnik na poczcie. Oczywiście chłop i robotnik żyli w ostatniej nędzy. Gdyby nie było wojny w 1914 r., Rosja carska też stanęłaby wobec katastrofy: musiałaby skapitulować wobec burżuazji i kapitału, albo wobec robotników i chłopów. Imperializm rosyjski, który rozpętał wojnę 1914 roku, operując załganym słowianofilstwem (przy jednocześnie nienawiści do Polaków), nie miał zdrowej, twardej podstawy gospodarczej, jak np. imperializmy angielski czy niemiecki, czy nawet francuski.

◆

Mackiewicz pisze barwnie, zajmująco: ja mam coraz silniejszą tendencję do nudnego szukania logiki w dziejach. Stąd ciągły spór między nami: to co mu się wydaje ważne czy znamienne, mnie się wydaje błahe. W ocenie Zachodu różnię się z Mackiewiczem jeszcze bardziej niż w ocenie Rosji. Mackiewicz jest bardzo stronnicy, gdy chodzi o Anglię. Póki stoimy na gruncie państw narodowych i koncertu mocarstw, z jakiego stanowiska można Anglii zarzucać, że nigdy nie prowadziła innych wojen, jak koalicyjne, że nie pozwalała swoim aliantom siebie wyzyskiwać i szantażować, jak to Rosja robiła dwadzieścia lat w stosunku do Francji, że wreszcie potrafiła swą predominację w koncercie mocarstw utrzymać wyjątkowo tanim kosztem, to znaczy kosztem floty i baz morskich, z reguły terytorialnie bardzo szczupłych: na Dalekim Wschodzie Rosjanie od razu załapali całą Mandżurię, Anglicy zadowolili się Hong Kongiem i koncesją w Szanghaju. Pisząc o Anglii, Mackiewicz zupełnie pomija dwa dalsze ważne momenty. Po pierwsze prymat Anglii był związany z epoką „panowania na morzach”, które za naszych czasów ustąpiło na rzecz „panowania w powietrzu”, a w tym elemencie już nie Anglicy górują, tylko Amerykanie. Potęgą Polski była związana z konnicą, i zmierzch konia oznaczał zmierzch Polski. Zmierzch okrętu wojennego więcej wpłynął na cofnięcie się roli Anglii, niż Hitler i Stalin razem wzięci. Drugi moment — to rola funta i londyńskiej City. W dziedzinie przemysłowej prymat Anglii trwał niedługo: już w r. 1900 Stany górowały nad Anglią, a w r. 1913 Niemcy Wilhelmśkie wprowadziły nie wyprzedzały Anglii Asquitha w tym stopniu, w jakim to czynią dzisiaj Niemcy Erharda wobec Anglii Wilsona, ale awantaż Niemiec już był wyraźny w stali, w maszynach, w kolejnictwie, ale nie w węglu i nie w tekstyliach, które wówczas były głównym towarem eksportowym. Natomiast do 1914 r., częściowo do 1939, funt był główną walutą świata, i tę rolę spełniał nieporównanie lepiej niż frank francuski, czy dolar, czy marka niemiecka, a rubel rosyjski nigdy, ani jednego dnia, walutą międzynarodową nie był. W tym miejscu mam ochotę zrobić na benefis Mackiewicza kilka wykładów z zakresu elementarnej ekonomiki. No, ale by nie rozszerzać tej kobyły, odkładam te wykłady do osobistego spotkania, obyż jak najprędzej, w Paryżu.

Co do Francji, poglądy Mackiewicza są błyskotliwe ale nie trafne. Przecenia rolę Clémenceau, który tak samo jak Churchill a nawet więcej, był tylko wybitnym ministrem wojny, potrzebnym w chwili krytycznej, kiedy decyzja i wola walki były wszystkim, ale który nie miał żadnych talentów męża stanu. Przecenia znaczenie tarć burżuazji (którego to terminu nie wolno tłumaczyć terminem „mieszczaństwo”) z resztkami dawnej szlachty francuskiej, która nigdy nie stanowiła jednolitej grupy (*noblesse de robe, d'épée, de province, de cour etc.*). Natomiast nie docenia tego wyjątkowego i zdumiewającego faktu, że Francja potrafiła się bez mała 50 lat rządzić BEZ RZĄDU, że ta anarchia, która Polskę zgubiła, Francji nie zgubiła, ale pozwo-

liła jej osiągnąć zbyt kosztowne ale jednak kolosalne zwycięstwo, a poza tym stworzyć cywilizację niezmiernie finezyjną, choć powierzchowną i płytką. Mimo tego, ta cywilizacja nie była aż tak pusta, by można było cytować Anatola France’a, jako czołowego przedstawiciela kultury francuskiej. Anatol France — to tak jakby Siemiradzki w malarstwie polskim. Kiczarz, z podkładką erotyzmu dla podniecania sztubaków i sędziwych impotetów. Równie dobrze można by napisać książkę o sztuce francuskiej na podstawie roczników *La Vie Parisienne*. Albo biografię Rotszyldów nazwać historią arystokracji francuskiej. Albo z wychowanka Budkiewicza czy Wyżła zrobić wyraziciela „myśli konserwatywnej”. To wszystko byłoby na poziomie opracowania: „Bierut a POLSKA racja stanu”.

Co do Niemiec, to nasz autor ich i nie zna, i nie znosi, i ta niechęć Wilnianina, Litwina, a więc człowieka Wschodu, jest dużo gwałtowniejsza, niż pozornych germanofobów poznańskich, wiecznie dumnych ze swego pruskiego porządku, uczciwości, plonów z hektara, i innych cnót, które są akurat przeciwieństwem wszystkich cech rosyjskich, w których Mackiewicz się lubuje. Autor rozpisuje się dużo nad pamiętnikami Bülowa, może słusznie miesza go z błotem, ale przede wszystkim kolosalnie wyolbrzymia jego rolę. Bülow był jednym z tych niezliczonych premierów, którzy żadnego głębszego wpływu nie wywarli: za niego rządili Wilhelm, Holstein, Eulenburg, sztab niemiecki, Ballin, wiele innych czynników. Rzekomo scentralizowany rząd niemiecki był w gruncie rzeczy pełną anarchią, bo w parlamencie francuskim deputowani i senatorowie przynajmniej się znali, a w systemie niemieckim nikt nie znał Holsteina, i nikt nie znał Schlieffena, i nikt nie znał płk. Ludendorffa, a Tirpitz znowuż siedział na swoim paszaliu, a do tego dochodzili różni Rathenau, i Krupp, i Thyssen, i junkrzy, i każdy robił co innego. Niepopularny wśród Polaków, ale jednak bardzo wybitny i utalentowany historyk angielski A. J. P. Taylor, autor biografii Bismarcka, historii dyplomatycznej Europy etc., słusznie podkreśla, że już w r. 1914 nic nie pozostało ani z konstytucji ani z testamentu politycznego Bismarcka, że Prusy były już całkowicie zaabsorbowane przez Niemcy, że puls cesarstwa już nie tętnił w Berlinie, ale w Ruhrze i w Hamburgu, że rusofilizm, który był kamieniem węgielnym całej filozofii Bismarcka, był najgłębiej wstrętny całym Niemcom Wilhelmińskim. Wilhelm szalenie mi przypomina Chruszczowa. Tak jak Chruszczow, który marzył tylko o dogadaniu się z Ameryką, a o mały włos nie wpakował się w wojnę z nią o... Kubę, tak Wilhelm marzył tylko o aliansie z Anglią, a wpakował się najgłupiej z Anglią w wojnę, której nigdy nie pragnął. A poza tym Wilhelm zrobił kolosalny błąd, nie oddawszy Francji Alzacji i Lotaryngii, którą Bismarck, wbrew swemu przekonaniu pozwolił w końcu sztabowi niemieckiemu zaanektować. No, ale z tym gdyby....

◆

Książka Mackiewicza ma wreszcie stronę historiozoficzną. Chodzi mu o ustalenie mechanizmu i głębokich sprężyn wojny 1914 r. W gruncie rzeczy przyczyny te upatruje w montowaniu koalicji anglo-franko-rosyjskiej przez Anglię, w ultimatum Bercholda, i tylko bardzo częściowo w polityce panslawistycznej Sazonowa. Zamiast po kolei polemizować z jego poglądami, wyłożę zwięźle co myślę o źródłach konfliktu 1914 r.

Koncert mocarstw (i związana z nią doktryna *balance of power*) istniał od XVI wieku, a od 1815 r., od Kongresu Wiedeńskiego, został usankcjonowany formalnie. Fundamentem tego Koncertu było utrzymanie *status quo*: ilekroć ten *status quo* był zagrożony, członkowie Koncertu przesuwaniem aliansów mieli go ratować. Na swój sposób Koncert ten dobrze działał, skoro w ciągu stu lat nie doszło do wojny *powszechnej*. Mocarstwa potrafiły w międzyczasie wojny i rewolucje zlokalizować, tak jak dzisiaj Stany i Rosja lokalizują wojny w Korei, w Wietnamie, w Kongo, w Suezie, w Kaszmirze, i we wszystkich innych punktach zapalnych globu. Z punktu widzenia Koncertu majstersztykami było utworzenie bez wojny dwóch państw suwerennych z Niderlandów, odbudowa jedności Włoch przy pomocy małych wojen lokalnych, i zapobieżenie wojnie powszechnej z okazji wojny francusko-pruskiej. Z biegiem lat utrzymanie koncertu mocarstw stawało się coraz trudniejsze, więc doszło do trójpřzymierza i Ententy, tak że zamiast gry sześciu kulami, trzeba było operować już tylko dwoma aliansami. Ale i tak koncert mocarstw zdołał zlokalizować wojny bałkańskie, które przyniosły dość poważne zakłócenie *status quo*.

Koncert mocarstw był katastrofą z punktu widzenia tych, którzy byli pozbawieni niepodległości, więc przede wszystkim Polski, bo Koncert wychodzi zawsze na rzecz *Beati Possidentes*. Wojna Krymska, jedyna nasza szansa w czasie całego XIX wieku, wyraźnie dowiodła, że bez wojny powszechnej, czyli rozlecenia się Koncertu, odzyskanie przez Polskę niepodległości było utopią. Ale nasze aspiracje nie były decydujące dla szczęśliwych uczestników Koncertu, który był — i zawsze będzie — KARTELEM posiadających.

Był i drugi minus, który grał ciągle, ale pod koniec 19-go wieku zaczął, w związku z postępem technicznym, gwałtownie przybierać na sile: wyścig zbrojeń. Wojna krymska była technicznie nadal wojną czysto Napoleońską, tak samo wojna rosyjsko-turecka, ale już wojna rosyjsko-japońska wyglądała zupełnie inaczej. Wyścig zbrojeń sprawił, że utrzymanie pokoju stało się kosztowniejsze. Sztabowcom i dyplomatom było coraz trudniej oceniać i wymierzać siły partnerów i przeciwników, bo trzeba było uwzględnić wagę zupełnie nowych elementów: siły ognia, transportu kolejowego, a już nie tylko ilości dywizyj czy liczby okrętów. Niepewność ocen wzmogła podejrziwość, obawy, a więc i szanse wojny.

W moim przekonaniu Mackiewicz nie rozumie mechanizmu Koncertu Mocarstw, co nie jest dziwne, bo Polacy nigdy w

nim nie brali udziału, więc się nie nauczyli subtelnych rachunków, które są fundamentem Koncertu. Mackiewicz gromi Agnora Gołuchowskiego za to, że będąc ministrem spraw zagranicznych Austro-Węgier nie zrobił nic dla sprawy polkiej. Ależ nic zrobić nie mógł! Monarchia Habsburska była najstarszym, obok Włoch, członem Koncertu, i musiała ciągle dbać o to, by z niego nie wylecieć. Za wszelką cenę Austria musiała prowadzić *le jeu*, to znaczy załatwiać spory kompromisami i, broń Boże, nie prowokować innych członów Koncertu. Austria musiała być stale w defensywie. Gołuchowski mógł teki spraw zagranicznych nie przyjmować, ale nie mógł zmienić faktu, że to sam Franciszek Józef prowadził politykę austriacką, właśnie pod kątem konserwacji Monarchii, zabezpieczenia jej przed wstrząsami, których by już nie przeżyła. Ci co chcieli walczyć o niepodległość przed 1914 rokiem, musieli być rewolucjonistami. W ustalonym porządku europejskim sprzed 1914 r. nie było miejsca dla aktywnie propolskiej polityki ani w Austrii, ani we Francji, nawet gdyby te dwa państwa były w jednym obozie, a były w dwóch przeciwnych. Austria nie chciała wojny z Rosją, chciała jej uniknąć.

Natomiast Sazonow i jego klika zwariowali i pchali do wojny z Austrią, chcieli ją rozwalić, jako siłę katolicką, przeciwną panslawizmowi, reprezentantkę tradycyjnej polityki państw katolickich, które widziały na granicy Polski granicę Europy. Sazonow z Izwolskim popierał roszczenia serbskie, akompaniowane terroryzmem, które były nie do pogodzenia z uratowaniem Austrii, a więc godziły w same podstawy Koncertu Mocarstw.

Chodzi o to, czy ultimatum austriackie i nawet wypowiedzenie wojny Serbii musiało spowodować powszechny *casus belli*? Nie było po temu żadnego powodu. Wojnę austro-serbską można było doskonale zlokalizować. Serbia dostałaby nauczkę, płk. Dimitrjewicz i jego towarzysze zostaliby rozstrzelani przez tegoż regenta Aleksandra, tylko o trzy lata wcześniej, a tron rosyjski byłby wyszedł z tej operacji nawet wzmocniony. Po paru dniach czy tygodniach działań wojennych Anglicy zwołaliby nową konferencję pokojową, znowu w Londynie, która by po raz trzeci przywróciła na Bałkanach spokój. Utrzymanie Austro-Węgier było absolutną koniecznością i deską ratunku dla całej środkowej Europy.

Momentem krytycznym w 1914 r. była rosyjska decyzja powszechnej mobilizacji. Kolejy odgrywały wówczas tę samą rolę co dzisiaj bronie atomowe: to był *le pivot* wszystkich planów strategicznych. Koncert mocarstw nie trzymał swych sztabów w garści. Gdy tylko jedno wielkie mocarstwo zadekretowało powszechną mobilizację, reakcje łańcuskowe zaczęły się we wszystkich stolicach. Niemcy mieli mniej wojska od Francji i Rosji: liczyli tylko na szybszą mobilizację. Sztab niemiecki sforsował rękę Wilhelma, który, w przeciwieństwie do Hitlera, żadnej wojny nie chciał. A Poincaré, według opinii francuskiej, był o tyle winien, że nie dość energicznie wpływał na Petersburg:

nie zażądał od Sazonowa i cesarza cofnięcia dekretu o mobilizacji, pozostawienia Serbii na łasce konferencji mocarstw. Bał się szantażu rosyjskiego, bał się, że Rosja zemści się na Francji, przechodząc do obozu niemieckiego.

Odpowiedzialność za wybuch pierwszej wojny światowej ponosi Rosja.

Tego wszystkiego Mackiewicz zdaje się nie dostrzegać. Pisze dużo o Montenegro, o carze Ferdynandzie Bułgarskim, o Wittem, którego czegoś promuje na geniusza, zwala winy na Aerenthala i Berchtolda, dwóch słabych ale pokojowych ludzi, na Anglików, a potworności dyplomacji rosyjskiej nie dostrzega. Sazonow i Izwolskij — to byli dwaj Azefowie wobec Francji, wobec Austrii, wobec Europy.

„Europa in flagranti” jest książka utalentowanego rusofila. Jest dziwnym paradoksem, że dzisiaj rządy w Polsce z ramienia Moskwy sprawują dwaj ludzie wyrosli z tradycji austriackiej, anty-rosyjskiej, a że czołowy polski rusofil jest obiektem naganki i znajduje się stale w cieniu więzienia. Ten paradoks świadczy o nizinach rozeznania politycznego dzisiejszych władców Rosji i ich faksji w Polsce. Są to błędy i dureństwa na poziomie porwania przez Gestapo krakowskich profesorów, którzy byli przeważnie wychowani w kulturze niemieckiej i zdecydowanymi zwolennikami współżycia Polski z Niemcami. Walić we wrogów zawsze wolno, walić we własnych popleczników — jest równoznaczne ze skazaniem wszystkich swych zamysłów na przegraną.

Jeżeli jest człowiek, który by mógł z towarzystwa przyjaźni polsko-rosyjskiej zrobić żywe ciało, a nie martwą melinę dla rubłołapów, to tym człowiekiem może być tylko Mackiewicz. Jeżeli jest człowiek, który mógłby zamienić obecną warszawską satrapię w alianta Moskwy, to byłby nim Mackiewicz, bo to jest jedyny Polak, który kocha i podziwia Rosję. Mnie, jako człowieka który uważa Rosję za wcielenie zła, a Rosjan za ludzi poza nawiasem Europy, ta ślepotą reżymu, a jeszcze bardziej jej moskiewskich protektorów może tylko cieszyć.

W. A. ZBYSZEWSKI

P.S. Na str. 173 „Europy in flagranti” autor pisze: Zrobiłem.. (to a to).. pod wpływem uwagi Mieczysława Grydzewskiego, jednego z najlepszych redaktorów jakich znałem, chociaż ponosi on wielką winę w deformowaniu języka polskiego”. Oczywiście co do deformowania języka przez Grydzewskiego zgadzam się z Mackiewiczem całkowicie, z tym, że niestety jego własna polszczyzna jest dzisiaj zalana rusycyzmami (np. M. stale pisze „przedtem niż” zamiast po prostu i prawidłowo „zanim”). Co do zasług redaktorskich Dr. Grydzewskiego, to długo można by na ten temat dyskutować, bo jest to cenzor, tyran i besserwisser. Ale choć się zgodzę, że każda historia emigracji musi się zająć

nazwiskiem Dr. Grydzewskiego, choć mogę się pogodzić z tezą, iż jego nazwisko powinno także figurować w dziejach Dwudziestolecia, nie mogę się dopatrzyć powodów umieszczenia jego nazwiska w dziejach Europy w latach 1900-1914. Dr. Grydzewski miał przecie wówczas zaledwie sześć do 20 lat. Myślę, że i on sam nie rości sobie pretensyj do odegrania jakiegokolwiek roli w tych czasach!

“Drum-Majorette” Alicja

Na czele amerykańskich parad ulicznych maszerują dziewczęta w karnawałowych mundurkach. Podrzucają pałeczki od bębna i zgrabnie łapią je w locie. Kuglarskie sztuczki sympatycznych doboszek publiczność nagradza rześistymi oklaskami. Taką *drum-majorette*, tanecznym krokiem towarzyszącą swym „pryszczatym” na warszawskim Broadway’u jest Alicja Lisiecka.

Who is who? Najpierw kilka słów o Alicji Lisieckiej, a później o tych tajemniczych „pryszczatych”. Czytelnikom krajowym zjawiska *Alice in Wonderland* przedstawiać nie potrzeba. Natomiast czytelnikom na emigracji, nie wsłuchującym się w nowinki z Krakowskiego Przedmieścia, winniśmy wyjaśnienie.

Jeśli państwo pozwolą, ceremonii prezentacji stanie się zadość. *Habemus...* Właśnie! Co my też takiego *habemus*? Krytyka literackiego w spódnicy, pióro rączne, jakby w Boy’owym kałamarzu maczane, umysłowość niespokojną, lubo racjonalistyczną, raczej galijską niż rodzimą. „Pokój — szczęśliwość, ale Boy’owanie byt nasz podniebny” — powtórzmy z Sęp-Szarzyńskim. Ta werwa intelektualna, ciekawość świata, bakcyl *polemitis*, czytanie w nowościach, rozległość zainteresowań, uwrażliwienie na wydarzenia bieżące, zwłaszcza na ciekawą dla socjologa otoczkę obyczajową literatury, na barwny szczegół biograficzno-anegdotyczny, ploteczkę środowiskową, snobistyczną sensacyjkę lokalnego targowiska próżności (czego się lękać nie należy: literatura *jest* ewenementem towarzyskim!), a chyba i pewna arbitralność sądów, przywilej młodości, kojarzą mi się z tym arcy miłym archetypem polonistki z pierwszego roku studiów, która z reguły wie i czyta więcej od profesora, a o której, nie bez życzliwego przekąsu, mawiać się zwykło, że jest „piekielnie inteligentna”.

Przyjaźniłem się kiedyś — o melancholio wspomnień! — z postępowymi erudytkami, wiem więc o czym mówię.

— Kolego, nie brońcie Orzeszkowej. To prowincjałka: nie znała Hegla! — mrużyły piękne oczy — a ten Sienkiewicz, to stetryczały klerykał!

Tere-fere-kuku, strzelały panny z łuku. Z Łuku Tryumfalnego swej druzgocącej przewagi umysłowej nad resztą ludzkości.

Wszystkie proporcje uczciwszy, dodajmy jeszcze: Alicja Lisiecka, to niemal-że Madame de Staël *repetita*, oczywiście w skromniejszej edycji. Zamiast dworu i salonu w Coppet nad Lemaniem, przydzielono jej kawiarnię PiW'u na Foksalu i stołówkę ZLP z melancholijnym widokiem na Plac Zamkowy bez Zamku, ale za to z fanatycznym klerykiem na kolumnie. Jeśli Madame de Staël, to bez mściwości wielkiego Bonaparta nad głową — lokalni Bonapartacze, jakby powiedział Nowaczyński, wystarczają w zupełności. Jeśli quasi-sobowtór, to z ograniczonym przez kontekst historyczny rozmachem. Tamta, salonowa Sybilla, córeczka ministra finansów Ludwika XVI-ego, nieprzytomnie bogata, ruchliwa orędowniczka praw kobiety do związków poza-mażeńskich (zagadnienie znała z autopsji), wnikliwa autorka *De la littérature considérée dans ses rapports avec les institutions sociales*, obrać się, co prawda, wśród koryfeuszów epoki (Diderot, Grimm, Buffon, Schiller, Goethe, Wieland, Schlegel), podczas gdy jej nadwiślańskie wcielenie musi się siłą rzeczy kontentować tym gwiazdobiorem, co nad lechicką strzechą miejscowym błyszczy blaskiem.

Trubadurka „pryszczatych”, do pewnego stopnia również i nasza Simone de Beauvoir (bez Sartre'a) *en miniature* — gdzież szukać tych mandarynów? — zdobyła sobie rozgłos publicystyką literacką na łamach nieistniejącego już tygodnika społeczno-literackiego „Nowa Kultura”, w którym grała pierwsze skrzypce, póki jej nie wyjęto smyczka z ręki.

Pisała żywo, chętnie, komparatystycznie. O literaturze, filozofii, estetyce, socjologii. O Kafce, Boutorze, Kisielu, Majakowskim, Brezie, Żółkiewskim, Sandauerze, typologii światopoglądów Dilthey'a, eseistyce intelektualnej typu Lévi-Straussa, o egzystencjalizmie, historyzmie, alienacji, niebezpieczeństwach krytyki impresyjnej... O czym ta nasza ibłowska „wnuczka Courage” nie pisała!

W jednym z jej artykułów czytamy:

„Nasze doświadczenia społeczne bogatsze są dziś od doświadczeń, które ma do przekazania Gombrowicz, Camus czy nawet Kafka. Konflikty historyczne, obserwowane w kraju, który ma za sobą rewolucję socjalistyczną, całkowicie odmienne są od konfliktów epoki „buntu przeciw filistrowi”.

Parbleu! — jak mawiały nasze babki. To brzmi dumnie, niemal po sarmacku. *Si fabula vera...* Jeżeli bogate doświadczenia społeczne rzeczywiście posiadają właściwości azotniaka w literaturze, skąd tyle lichego żyłka na ojczystym zagonie? Gdzież to dzieło, z polskich doświadczeń społecznych poczęte, istna ozdoba literatury światowej? Ale nie zaperzajmy się, nie czas tu i miejsce na dyskusję o sprawdzalności pewnych marksistowskich dezzyderatów w sztuce czy wręcz o nieporozumieniach, wynikających z fetyszyzacji rewolucji, macierzy wszechrzeczy; już sam fakt, że czytelnik rad by się w tym miejscu zapisać do głosu, nienajgorzej świadczy o instygatorskich talentach autorki.

Jeden z jej artykułów o właściwościach prowokacyjnych, co w polskich warunkach niejednokrotnie utożsamia się z zabiegiem pedagogicznym, artykuł domagający się odkurzenia obowiązkowych lektur szkolnych, („Maszyna zamulająca”) uraził starą gwardię polonistyczną niczym głośnie wytarcie nosa na nabożeństwie, (od „Starej baśni” — wara!) i raz jeszcze ukazał *trade mark* wytworów, wychodzących spod pałeczek naszej *drum-majorette*: szukanie guza, talent robienia sobie wrogów po różnych zakątkach barykady. Większość barykad na lechickim padole wystrzyżona jest z papieru (może to i lepiej), ale ludzie są autentyczni, ciśnienia krwi lekceważyć nie wolno, i stąd nie jeden kłopot bierze się na klepisku, ba — gigantomachie szaleją w szklance wody, przy czym aparycja zawodniczek, jak znawcy psychologii męskiej utrzymują, częściej bywa w tym homeryckim *catch-as-catch-can* obciążeniem niż atutem. Zoilowego gadu nie ugłaszczesz.

Nie dowierzajmy wrogiej plotce, że tylko ułomne brzydulki idą do klasztoru, że na desparacką ucieczkę w aktywny komunizm ważą się kobiety zawiedzione, przez naturę upośledzone. Może tak drzewiej bywało, za Róży Luksemburg. Dzisiaj jest inaczej. I chociaż nad brzegiem srebrnej Wisłoki dojrzysz jeszcze czasem w poświęcie miesiąca — a kyszl! — niejedną zgrzytliwą ciotkę rewolucji z KW Łysa Góra rodem, emerytowaną Erynię z ubeckiego Erebu, walpurgiczną Passionarię ponad spiz i wytrzymałość widowni trwalszą, przyłóżcie, *citoyens*, ucho do gościńca historii: idzie Nowe. Już ma się pod koniec fanatyzmu światu tych furii bezlitosnych, które rzekocąc o dyalektyce materialistycznej dyktaturze proletariatu, walce klas, w przepływie cyklicznych, i jakże zrozumiałych, erupcji nienawiści do świata i do ludzi, brały bezlitosny odwet za niedośpik erotyczny, za tę czy inną awarię hormonową. Biologio, precz! Jesteś tyranem! Nie zdziwiłbym się, gdyby jakiś adept determinizmu fizjologicznego na podstawie badań przeprowadzonych wśród aktywistek napisał wreszcie rozprawę naukową z dziedziny endokrynologii politycznej pt. „Wpływ folikuliny, substancji estrogenowej, na zaostrenie czujności w minionym okresie”.

Autorka „Pokolenia pryszczatych”, lubo w klasykach marksizmu rozczytuje się skwapliwiej niż dopiero co wyświęcony księżyk w brewiarzu, bynajmniej nie kojarzy się nam z zaciętrzewioną *Grand-daughter of the revolution*. Raczej już z kuzynką Bietką tejże dziejowej awantury. Czapka frygijska od Diora. Marksizm na modnych szpilkach. Butów podkutych gwoździami od dawna już się nie nosi. *Les Temps Modernes* w każdym calu. Roger Garaudy, coś słodkiego! Z czego wcale nie wynika, by towarzyski-Paryżanki z Marszałkowskiej wybierały się ideologicznym autostopem w drogę do Damaszk. *Right or wrong — my Party*.

I pewnie marszczą czołka, gdy czytają, co Ludwиг Marcuse powiedział po przestudiowaniu Sartre'a *Critique de la raison dialectique*: — „Z rozważań tych wynika niezbicie, że demaskator gęb plutokratycznych, George Grosz, automatycznie przestałby

być wielkim artystą, gdyby ołówek swój obrócił na karykaturowanie czołowych przedstawicieli klasy panującej w Rosji sowieckiej!"

Tibi Mars lex, mihi ars lex — miał powiedzieć Tycjan do Karola V. Nie jestem Tycjanem. Autorka „Pokolenia pryszczatych” nie jest cesarzem. Mimo to mam ochotę pokusić się o kalumbur:

— Zaliż *tibi Marx lex, puella?*

I jeszcze jedno! Pamiętniki ks. Pstrońskiego zawierają następującą wzmiankę: na Wileńszczyźnie, w wieku XVII, dziewczica Lisiecka, nawiedzona przez siły nieczyste, mówiła bezceństwu, obrażające uszy wiernych. Trzeba ją było egzorcyzmować! (Wiadomość tę przepisuję z uroczego szkicu Alicji Lisieckiej, ogłoszonego na łamach bydgoskich „Wiatraków”, ale w tę zaszczytną parantelę niebardzo wierzę, pamiętając o słowach Gottfrieda Benn’a, że próżność jest chorobą zawodową krytyków literackich).

ZNASZ-LI TEN KRAJ, GDZIE „PRYSZCZACI” DOJRZEWAJĄ

Ale dość delicii dla Alicji! I solą attycką można przesolic potrawę. Po tych dość podejrzanych komplementach, które w kibicach nieczułych na uroki przedrzeźnionego komparatywizmu gotowe jeszcze wyrobić mniemanie, że sprawcę niniejszego felietonu, satyra z siwą brodą, bardziej urzekła sama osoba autorki niż jej opus, przejdźmy teraz do „pryszczatych” towarzyszy.

„Pryszczaci”? A cóż to za fenomen dermatologiczno-literacki? Z jakich ingrediencji złożony? Filareci, chłopcy z placu broni, harcerze, komsomolcy, podchorążacy, kuzyni Cezarego Baryki, żeromszczycy, bezprizorni, straszne dzieci, kryjaki, płomieniści, literackie bitlesy rewolucji? Praw przyrody obejść się nie da: gdy kogucik zamienia się w koguta, wyrasta mu grzebień i zaczyna pisać; młody człowiek chwytą za pióro i zaczyna pisać. Tak dzieje się od niepamiętnych czasów. Cóż dopiero mówić o latach, które tzw. „wicher historii” przewiewa na przestrzał!

„Pryszczaci” do grupka pisarzy, którzy poderwali skrzydła do lotu na pobjowisku ostatniej wojny, a więc w warunkach bez precedensu w naszej historii. Jeśli chodzi o przemiany społeczno-ustrojowe: w godzinie zero. Cóż ich łączyło poza przejściowym zanieczyszczeniem cery, związanym z wiekiem dojrzewania (*acne vulgaris* — według terminologii lekarskiej), balastem ponurych przeżyć oraz wspólną tęsknotą do naprawy świata, choćby przy pomocy czernienia papieru? Niewątpliwie chcieli ruszyć z posad byłą świata i na nowe popchnąć ją tory, o czym marzy bodaj każde pokolenie wkraczające na arenę życia, póki nie zacznie powtarzać błędów swych poprzedników. Kto jak kto, ale ta ge-

neracja z pewnością miała szczególne powody, by nie ograniczać się do recytowania „Ody do młodości”.

Obraz tego „buntu młodych” błędnie jednak cokolwiek, gdy uświadomimy sobie, że „płonące żagwie” żarzyły się pod ochronnym kloszem, większość spontanicznych odruchów była licencjonowana, ba — premiowana, a Cezary Baryka w zamienionym paradował szynelu. Nie maszerując na Belweder, przyspieszył swój awans życiowy.

Na wstępie swej charakterystyki (chyba nie charakteryzacji) „pryszczatych” wajdelotów nowego porządku Alicja Lisiecka wysuwa przypuszczenie, że młodych dynamitardów łączyła „legenda ZSRR”, „kult Borowskiego” i „entuzjazm akceptacji”. Byli więc: „młodzi, gniewni, z zaciśniętymi pięściami”. „Nagan w jednej kieszeni, książka Marksa w drugiej”. Niektórzy z nich — „lewaczcy”. Albośmy to jacy tacy, chłopcy „dzierżyńszczacy” i „lewacy”. Po kilku latach jeden z „pryszczatych”, Tadeusz Konwicki, na kartach powieści „Władza” napisze: „Ty byś przez krew, ofiary chciał dochodzić do tego, co można osiągnąć bardziej ludzką drogą. Lewactwo. Niebezpieczne odchylenie”.

Gdzie hartowała się ta „pryszczata” stal? Któremu z sześciu miast, sprzecających się między sobą o zaszczyt wyhołubienia tej dziarskiej plejady, przypada palma pierwszeństwa? Życzliwa dla Łodzi opatrność, wsparta decyzją władzy ludowej, wyróżniła fabryczny Tuwimogród. A więc pierwszego kroku w chmurach dokonali na uniwersytecie łódzkim, w inkubatorze przyszłych kadr, w partyjnej infirmii, przy powielaniu dwutygodnika „Życie” (powielacz — polska *Wunderwaffe*). A później — żeby nie było rozzdźwięku między przodującą w świecie teorią a praktyką, by ideał sięgnął bruku — spotkali się przy realizowaniu aktualnych zadań politycznych. Czas uderzyć w strunę drugą, w czynów stal! Młodzi „entuzjaści akceptacji” (*acceptare humanum est*), za dnia polujący na kułaka a po nocach, z wypiekami na twarzy, rozczytujący się w klasykach marksizmu-leninizmu, ani się spostrzegą jak ich partyjna wróżka Kirke w okresie „normatywnej estetyki z lat pięćdziesiątych” (lubię ten eufemizm) przemieni w bojowo pochrząkujących ministranów doktora Faula. Oj, homo, homisko, stoczyłeś się nisko. Nie ma w tym nic rewelacyjnego. Ustroje totalitarne mogą liczyć na młodzież. Niekonformizm wśród młodych intelektualistów jest zjawiskiem równie powszechnym jak dziewictwo wśród pensjonariuszek Domu Marynarza w Hong-Kongu.

Bądźmy jednak sprawiedliwi: niewątpliwe sukcesy fałszywych praeceptorów w dziedzinie zniewalania umysłów nie wynikały jedynie z umiejętnego zastosowania metod demagogii, korupcji i zastraszenia, ale i stąd, że odwoływano się do sytuacji odczuwanych przez młodych jako nieznośne. Na obronę rodzimego Pawełka Morozowa czy Pawki Korczagina powiedzieć jeszcze trzeba, że pisarze od nich wiekiem, doświadczeniem i rangą literacką starsi, poza nielicznymi wyjątkami, nienajlepszym świecili przykładem. Wręcz na odwrót. Nawet bezzębni starcy, uskrzy-

dleni kannibalistyczną euforią, próbowali się wgryźć dziąsłami w łydkę wroga. Cena życia tuż po wojnie skacze w górę. Ogłoszenie-wizytówka epoki tłumaczy niejedno: „Zmienię nazwisko Umieralski na Przetrzymaniec”.

A jednocześnie w zaprzyjaźnionym mocarstwie, pod słońcem żdanowszczyzny, zapadały uchwały przeciwko estetom-bumelan-tom, jednomyślnie podejmowane przez pisarzy:

„Poeci, którzy niepotrzebnie trwonią czas na jałowe dyskusje o kształcie artystycznym wierszy, zamiast zająć się ich treścią polityczną, powinni pamiętać, że kiedy oni zabawiają się piękną rozmową, inni budują miasto-cud w tundrze, Norylsk, wznoszą Elektrownię Krasnojarską i Nazarowską, przerzucają mosty na trasie Abakan-Tajszet, nie szczędzą wysiłków, by podnieść poziom cywilizacyjny Tadżykistanu, Turkmenii, Azerbejdżanu, Jakucji, Kirgizji...” (Spotkanie pisarzy Tuły, Riazania, Orła i Kaługi).

„Czołgiem literatury poprzez okopy wroga!” — proponowała Siuj-Guan-pin, wdowa po „chińskim Gorkim” Lu Hsunie, na spotkaniu z masami pracującymi Taszkientu w Pałacu Włókniarzy.

Ale piekło to nie tylko — inni; to także swoi:

„Dosięgnijcie waszą ostrą bronią kułaka, spekulanta, szpiega, dywersanta, amerykańskiego podżegacza i neohitlerowca — brzmiał manifest mobilizacyjny Jakuba Bermana — odśłońcie zażyły mechanizm kułackiej postawy, kułackiego wyzysku, jego perfidne zesłanie się chłopem mało- i średniorolnym.

Hej, chłopcy, bagnet na broń! Piórem — pchnij! Słowem — praż! Czołówka ideologiczna „pryszczatych” w natarciu! Jeśli dosięgać wroga, zrywać maskę z dywersanckiej gęby, odśaniać zażyły mechanizm kułackiej intrygi, wyszydzać zaplutego karła reakcji, sławić czujność towarzyszy z Bezpieczeństwa. A ze słabością uczmy się łamać za młodu. Pryskają nieczułe lody i przesady, światło ćmiące. Niecierpliwszi uwierzyli, że Historia rzeczywiście posiada „śmietnik”, na który każde nowe pokolenie wywozi na taczkach wszystko co „wsteczne” i „szkodliwe”. I że ten kaganek oliwny z trzech pagórków (Akropolis, Rzym, Golgota), który od stuleci oświeśla naszą ziemię, trzeba zastąpić światłem naukowej prawdy, sprawiedliwości społecznej i postępu, jakie dla dobra całej ludzkości bije od wzgórz Leninowskich. Więc: „ciszy nie szukaj, wzrokiem stalowym niebo i ziemię pruj, nie zamilkł jeszcze ostry klasowy bój, bój, bój!”

Rozmaite były stopnie ochotnictwa. Od świadomego zaangażowania w dobrą wiarę poprzez symulowany entuzjazm aż po quasi-wallenrodyczne „przedobrzenie” zamówienia, graniczące z chęcią skompromitowania zleceniodawcy. Tak czy inaczej, literatura polska na mobilizacji „pryszczatych” zyskała mniej niż niewiele. (Chociaż przekora intelektualna i perwersja estetyczna każą dzisiaj wyrafinowanym smakoszom-krytykom „rehabilitować” tę czy inną powieść produkcyjną. Zbyt piękne, aby było prawdziwe. A jakże — przekopaliśmy się masochistycznie przez kopiec tej literatury i, czując się gorzej niż lekarz sądowy po sekcji zwłok, donosimy nieuprzejmie, że wszystkie *bez wyjątku* produk-

cyjniaki są tandetne). Człowiek tak nieprzeciętnie inteligentny jak Berman nie mógł, rzecz prosta, nie wiedzieć, że zalecana przez niego „poetyka” z góry przesądzała o porażce artystycznej całej imprezy. — „Warusie, oddaj mi legiony!” — lamentował August na wieść o klęsce w Lesie Teutoburskim i samobójstwie swego niefortunnego wodza. — „Jakubie, oddaj nam nasze lata! — mogliby zawołać „pryszczaci” po klęsce socrealizmu do Bermana. — Lata zmarnowane na pisanie utworów, które nie przynoszą nam dzisiaj zaszczytu!”

Być może, że droga w głąb stalinowskiej nocy rzeczywiście wybrukowana była najlepszymi intencjami. Tym lepiej czy tym gorzej? Po owocach ich poznać je. Nieliczenie się z obiektywnymi okolicznościami, chęć budowania przyszłości na przesłankach czysto postulatywnych zmierzały w prostej linii do ślepego zaułka dogmatyzmu, którym to eufemizmem obdarza się najczęściej zwykły fanatyzm. Pojawił się nawet na naszej ziemi typ świeckiego misjonarza, dwunożny *furor theologicus*, ekshumowana wersja tego Hiszpana podbijającego Amerykę Południową, którego bardziej radowała myśl o zniszczeniu niż nawróceniu poganina. A jak wam się podoba błąd młodziemiec w okularach w drucianej oprawie, ten co szczuł i uzbrajał „naukowo”, (wtedy wszystko było „naukowe”) postrach odchyleńców, ekspert od teorii, prymus polit-talmudyzmu, cytolog zaciekły, szermierz konsekwencji moralnej, niemal tak tragi-absurdalny jak ów mic-kiewiczolog z polonistycznej anegdoty, który natrafiwszy w puściznie Mistrza Adama na słowa: „Rękawiczkami-śmy Polskę zgubili”, tak długo bez rękawiczek chodził, aż przyszła „zima stulecia” i palce sobie odmroził.

Teologia polityczna łaknie diabła. Z tym wynalazkiem nawet agnostyk rozstać się nie umie. Więc malowano go na ścianie. Znalazła się również woda z Lourdes *à rebours*: niezawodna „woda na młyn wroga”. Demoralizacja, owoc wojny, sprzyjała ekscesom. Gorliwcy, urzeczeni moralnością obozowego kapo: „Licz się talent życiowy”, zaczęli się popisywać wcielaniem ideologii w życie niczym nietrzeźwy milicjant jazdą na motocyklu. Ponura zabawa skończyła się w rowie. Motocyklistom nic się nie stało. O przejechanych kroniki milczą.

Czy nie za wiele tej faryzejskiej mikromoralistyki, panie Nowakowski? Może nie wypada się dzisiaj rozwodzić na ten temat, skoro koniec końców święty Jerzy w czerwonym krawacie puścił się z kopyta na smoka bermanizmu, chłopcy z placu broni chwacko stanęli w pierwszym szeregu odnowicieli, potykali się mężnie, a bunt janczarów, co bodaj najważniejsze, obrodził literacko, i to w postaci utworów z których niejeden posiada wartość artystyczną. Wśród „pryszczatych” są moi rówieśnicy. Ba, ten czy ów kum telepatyczny znalazłby się w tym towarzystwie. Spotkania z rówieśnikami nie pozbawione są aury sentymentalizmu. Więc nie przyglądam się ich niezagojonym sprawom przez szlifowany szmaragd, kibic w zagranicznej łoży rozparty. I wcale nie jestem pewien, czy w tamtym, złym okresie, nie

urzekłby mnie flet szczurołapa? Na dobrą sprawę, kiedy człowiek ma myśleć o awansie życiowym i karierze, jeśli nie koło trzydziestki? „Raz się żyje”. Czy, na równi z innymi, nie zacząłbym wymierzać niesprawiedliwości widzialnemu światu? Czy nie stałbym się jakimś drugim „Nad-Madalianem patosu”? Wszystko w ręku wroga. „Nie sądzicie” — to bodaj jedno z najwznioślejszych wskazań w ludzkim języku. I chyba nikt z nas, żyjących poza codziennym doświadczeniem polskiej rzeczywistości (wiadomo: „ludzie za burtą”), nie kwapi się do odgrywania w emigracyjnym teatrzyku-buffo groteskowej roli cioci łą-moralistki z misji dworcowej. „Jesteśmy samotni razem”. Ale trudno nie zadać sobie czasem pytania, czy nie było przypadkiem i nie-„pryszczatej” młodzieży w kraju? O jej kłopotach mówi się raczej niewiele, jakby „miniony okres” stał pod znakiem przykrości, wymierzonych wyłącznie w jeden tylko odłam młodej społeczności pisarskiej. Nie trzeba absolutnego słuchu, by w tym czy innym zapewnieniu: „Uwiedziono nas, oszukano!” nie dosłyszeć się fałszywej nutki. Dziwne oglądaliśmy konfesjonały: jeszcze się penitent nie wypowiadał, a już się sam rozgrzeszył. Gdy wybiła październikowa „godzina prawdy”, tu i tam pojawiły się literackie *confessiones* ofiar Historii, skropione wodą kolońską marki *Self-pity*. Lub z Camusa zerżnięte. Jeszcze elegijniej wypadli ci, którzy wyjaśniali uprzejmie, iż jeśli nawet „akceptowali”, to na własnych warunkach i w „pewnej mierze”. Jak ta wiochna, co poszła w żyto z kozakiem, ale nic się tam nie wydarzyło: patrzeli w gwiazdy. Szczerze mówiąc, moje nieuprzedzone emigranckie oko przyglądało się tym tekstom z tym samym zażenowaniem co argusowe ślepie policaj-zamordysty z natolińskiego rezerwatu. Przypomina mi się fraszka, jaką czytałem w krajowej gazecie: „Pisarz X. rozsiewa pogłoski, że się sprzedał — wstyd mu, że go mieli za darmo”.

Jak się wam podoba myśliciel, twierdzący że „stalinowskie wypaczenia”, coś na kształt wypadku przy pracy, nie powinny wpływać na ocenę samej istoty radzieckiego ustroju? Kto się lekkomyślnie doszukuje związku przyczynowego między systemem „jako takim” a „kultem jednostki”, obiektywnie wspiera politycznych różnowierców.

A cóż sądzić o obłudnikach, którzy obruszyli się na literaturę obrachunkową „pryszczatych”, na jej „rewizjonizm”, „kapitulantstwo”, „trzecią drogę” itp. grzechy „zaprzaństwa”? Świętoszek, który zarzucał takiemu Woroszyłskiemu „kalanie własnego gniazda” i „odejście od ideałów rewolucyjnej młodości, graniczące ze zwykłą dezercją” (poszło o „Okrutną gwiazdę”) wiedział dobrze, że to rewolucja zdradziła Woroszyłskich, a nie Woroszyłscy rewolucję, ale mimo to wołał się zachowywać jak ta opisywana przez Baudelaire’a kurewka paryska za pięć franków, która znalazłszy się w Luwrze przed nagim posągiem greckiego herosa, zaczerwieniona ze wstydu, zasłaniając przerażone oczy rękami, krzyknęła: „Cóż za świństwo!”

Ale wróćmy do tematu: do Baedekera naszej „pryszczatoloż-

ki”. Z pieczołowitością Liwiusza, który w swych księgach *Ab urbe condita* opisywał historię Rzymu od założenia miasta aż po tragiczny upadek z konia pogromcy Germanów, Drususa (9 przed narodzeniem Chrystusa), Alicja Lisiecka kreśli przygody duchowe, polityczne, literackie „pryszczatych” od łódzkiej tego zastępu kolebki (75 po narodzeniu Lenina) aż po spadnięcie Stalina z cokołu.

Podobno pewien Chińczyk, omawiając wydaną niedawno w Pekinie Wielką Historię Powszechną, miał skrytykować jej redaktorów za uwzględnienie rozdziału o Rewolucji Francuskiej:

— Czy nie za wcześnie, aby już teraz, na gorąco, bez należytego dystansu i właściwej perspektywy, zabierać się do oceny tego wydarzenia?

Historyjka ta przypomina mi się, ilekroć zagłębiam się w lekturze szkiców o najnowszej historii lub opracowań, poświęconych jeszcze nie ostygłej literaturze współczesnej. Pozbawiona chińskiej zalety cierpliwości Alicja Lisiecka, nie chcąc poczekać tysiąca lat, podjęła się zadania niewdzięcznego: bohaterowie jej książki, z wyjątkiem jednego, bawią między żyjącymi i spacerują po Warszawie. Dopiero weszli w wiek męski, wiek kłęski. Nie wiadomo jeszcze, ile ich czeka perypetii duchowych, metamorfoz i stadiów rozwoju. A nuż który z nich, niczym Sofokles, zechce owocować na dobre dopiero pod grudzień swego życia? Niespodzianki nie wyłączone — zwłaszcza w epoce postępów gerontologii. Co gorsza autorka szkiców przypominała Pawłom, że byli Szawłami. Przeczytała ich dawne utwory. To i owo nieogłędnie przytoczyła. Niewybaczalne. Nietakt towarzyski. O żyjących — *nil nisi bonum*.

Niezbyt kurtuazyjnie przez recenzentkę potraktowani literaci rozsiewają tatarskie wieści, że na dnie jej duszy drzemie niezdrówą tęsknota do prywatnej justycji. Porównują ją do tej Alice Lenshiny, żmijowatej podszczuwajki z sekty Lumpa w Zambii, ubezwłasnowolnionej przez prezydenta Kaunda. Słowem: Alicja w krainie koszmarów. Ale ja to między bajki włożę.

Podobno stewardessy linii lotniczych są bystrzymi obserwatorkami. Spojrzą na pasażera, i już wiedzą o nim wszystko. Lisiecka, stewardessa odrzutowca, wypełnionego pryszczatym frachtem, na ogół ocenia i charakteryzuje obiektywnie, chociaż chwilami — jakie to sympatyczne i ludzkie! — trudno w jej spojrzeniu nie dostrzec kobiecego zaciekawienia barwniejszymi egzemplarzami męskiej fauny. Oto rzut oka na Czeszkę:

„Kim jest w literaturze dwudziestolecia ten ciężki, niedźwiedziowaty, burczący pod nosem soczyste przekleństwa słowa czterdziestoletni mężczyzna, który jeszcze niedawno gwizdał manifestacyjnie gangsterskie „Rififi”, ile razy wchodziłem do klubu literatów?”... „Mrukliwy, leśny człowiek” (...) „Krząkał stolarz i aktywny działacz ruchu komunistycznego rywalizują w nim z przerafinowanym, niekiedy załęcznionym wobec ciężarów życia, inteligenckim moralistą, z leśnym kudłaczem i samotnym myśliwym”...

Mówią, że pewna Angielka, specjalistka od antropometrii, na widok Murzyna w kąpiei zawołała z zachwytem:

— *Hurrah!* Ciągłość gatunku ludzkiego zapewniona!

Flaubert powiedział: „*Madame Bovary — c'est moi*”. Lisiecka również by rzecz mogła: „Pryszczaci, to ja!”. Szkice swe oczywiście napisała bez obawy przed stoczeniem się w przepaść grzechu stronniczości czy subiektywizmu. Panorama „W krainie pryszczatych” zbudowana jest na zasadzie przeciwstawienia. Tacy byli *wtedy*: gniewni, w gniewie swym piękni, nieopierzeni, w gorącej wodzie idealizmu kąpani. Ale zmieniają się czasy, zmieniają się pisarze. (Rzecz dałaby się wyjaśnić dialektycznie.) Dzisiaj są inni: dojrzalsi, ustatkowani, rozczarowani i sceptyczni. Poparzeni chuchają na zimne. Gdyby nie powaga zagadnienia, można by się pokusić o niefrasobliwą uwagę na stronie: bohaterowie są zmęczeni, przypominają kombatantów, którym nie tylko brzuszki przeszkadzają w składaniu wieńców przed obeliskami chwały, ale i melancholijna refleksja: „Po co to wszystko?” Czas zrobił swoje. Poprawiły się cery, socjalistycznie-humanistycznie przejaśniło się w głowach, mniej arogancji, więcej tolerancji, żab już więcej jeść nie będziemy, Husa nie spalimy, mądry Polak po szkodzie. Nastroje rozczarowania, frustracji, osamotnienia mają zły wpływ na żołnierzy, — pisarzom zaś często wychodzą na zdrowie. Nie wzdychajmy jednak: „Wieczne rozczarowanie racz dać im, Panie”, gdyż Nemezis dziejowa pod tym względem dość hojnie obdarza nasze plemię. Zbyt często kazano się „pryszczatym” śmiać „gromkim śmiechem odbudowy”. Nic więc dziwnego, że ze świecą w ręku trzeba by szukać na kartach ich książek uśmiechu i szczerej radości. „Entuzjazm” — słowo nieprzyzwoite. Jest smutek, zaduma, ironia, grymas i drwina, trochę powściągliwego gniewu, nieufność wobec etyk opartych na głosie sumienia, niechęć do politycznej felicytologii. „I nie miłować ciężko, i miłować nędzna pociecha”. Ale czyż może być inaczej. Czy można sobie wyobrazić utwór bez stempla czasu?

Ex-pryszczaci pod wpływem zmian, jakie zaszły w ich umysłach i poetykach (i brzuchomówcy przechodzą mutację głosu — powiedziałyby Lec) stali się lepszymi pisarzami (nie wszyscy), co w pewnym sensie mogłoby pozornie przyznawać słusność tym, którzy najniesłuszniej w świecie wierzą w istnienie jakiejś współzależności między prawdą polityczną a artystyczną w utworze literackim, a że to niby fałsz historyczny czy kiks typu ideolo mszczą się na harmonii i stylistyce dzieła i tp.

Ale czy nie za wiele uwagi poświęcamy tu politycznemu, na którym rozgrywały się wielkie i małe dramaty „pryszczatych”? Pisarz, czy mu się to podoba czy nie, jest zwierzęciem politycznym, zwłaszcza pod naszą szerokością geograficzną, ale ten właśnie aspekt jego egzystencji z pewnością, i na szczęście, nie zawiera pełnej prawdy o filozofii twórczej artysty. (Zastrzeżenie to odnosi się przede wszystkim do prozaików o poetyckim widzeniu świata. Nie jest sprawą przypadku, że krytyka marks-

stowska najnieporadniej porusza się na „grząskim” gruncie poezji lirycznej). W przypadku „pryszczatych”, pisarzy o wyczulonym zmyśle współczesności i znacznej wrażliwości na problematykę filozoficzno-polityczną (jakże ich, na przykład, pasjonuje temat władzy!), trudno nie zauważyć, że czym skorupka nasiąka za młodu, tym w kwiecie wieku trąci. Niektóre utwory „obrachunkowe”, dokumenty rozczarowań i rozterki, pisane już jakby na drugim brzegu Rubikonu, jeszcze noszą na sobie osad odrzuconych postaw, odciski palców minionej estetyki. Łatwiej jest przejść ewolucję poglądów niż wyzbyć się nerwowego tików dawnej umysłowości. (Konwicki przemieniony, ten już po „Władzy”, ale jeszcze przed „Dziurą w niebie”, w powieści „Z obłąkanego miasta” sądzi, na przykład, że zmiana obywatelstwa jest jednoznaczna ze... „zdradą”). Przestroga dla późnego wnuka: zmiana partytury nie wystarcza. Trzeba jeszcze odrzucić stary instrument. (Przykład-widmo: Jewtuszenko na strażackiej trąbce gra przeciw Stalinowi). Nie masz chyba również większej radości wśród panienek, co na Parnasie „ippokreńską rosą włosy swe maczają”, jeśli buntowi społecznego sumienia nie towarzyszy bunt wyobraźni.

Dopiero ostatni, pod względem literackim najciekawszy, okres twórczości wybitniejszych przedstawicieli omawianej (a raczej: obmawianej) przez nas grupki pokoleniowej pokazuje, że te same sprawy, troski, postulaty, przywidzenia i obsesje, które jawiły się dotychczas bezpośrednio, jakby w publicystycznej dosłowności i w pedagogicznym funkcjonalizmie, można pogłębić intelektualnie, zweryfikować filozoficznie, ująć w sposób bardziej uniwersalistyczny, oprzeć na doświadczeniach literatur zachodnich, wyrazić w języku poszukiwań formalnych.

Książka Lisieckiej nie jest monografią. Nie przyświecają jej ambicje syntezy. Barwne oceny twórczości Romana Bratnego, Andrzeja Brauna, Aleksandra Ścibora-Rylskiego, Wiktora Woroszyńskiego, Bohdana Czeszki, Tadeusza Konwickiego, Jacka Bocheńskiego i Witolda Wirpsy nie próbują więc w pełni wyjaśnić złożonej i delikatnej zarazem sprawy przemian ideowo-politycznych, jakim ulegało niegdyś (i nadal ulega) pokolenie „pryszczatych”. Z pewnością nie o wszystkim można dzisiaj pisać otwarcie. (Czy można sobie pozwolić na luksus pełnej szczerości w kraju, gdzie cenzura, biorąc osiemnastowieczny muskiet za współczesną bombę kobaltową, wykreśla z pracy historycznej zdanie Aleksandra Hamiltona (ur. 1757!): „Dla podtrzymania idei wolności w społeczeństwie wcale nie potrzeba osłabiać władzy wykonawczej, wystarczy pielęgnować naturalną niechęć człowieka do każdej egzekutywy”).

Starszy brat „pryszczatych”, Tadeusz Borowski, pisarz Oświęcimia, którego legendzie autorka słusznie poświęca osobny rozdział, doczekał się wprawdzie śmierci Hitlera, ale nie doczekał się ani pierwszej ani drugiej śmierci Stalina, wydarzeń które przyspieszyły niejedną metamorfozę wewnętrzną w młodym środowisku twórczym. Ciekawe, jakby się też zachował w czasie

październikowego „trzęsienia ziemi”? Czy pisywałby do „Po prostu”? A może przekradłby się na ochotnika na Węgry? Sytuacja psychologiczna, którą Niemcy określają powiedzeniem: *Die Flucht nach vorn*. (Wyprawa na Węgry, przy całej swej naiwności politycznej, mogłaby się stać dla młodych komunistów polskich przeżyciem równie uskrzydlałym i legendotwórczym jak w latach trzydziestych wycieczka lewicy europejskiej na wojnę hiszpańską. Trzeźwy racjonalizm marksizmu-leninizmu łaknie legendy, romantycznego pióropusza, męczeństwa, baśniowego wątku, hagiografii w nie mniejszym stopniu, co irracjonalny fideizm). A jak by też autor „Pożegnania z Marią” myślał, pisał i działał dzisiaj, w okresie „małej stabilizacji”? On, dość osobliwy racjonalista i antysentymentalista, eschatologią wypełniony po brzegi! Może to i lepiej, że ulubieńcy bogów umierają młodo? Zostaje po nich wieść gminna. Więcej: legenda wśród pisarzy. Fascynacja samobójstwem i podświadomy podziw dla ludzi, którzy dobrowolnie zeszli ze świata, zawsze są większe wśród intelektualistów niż wśród innych grup społecznych. Dramat moralisty nawiedzonego, który w przystępie samounicestwienia twórczego, jeszcze zanim odebrał sobie życie, zaprzął się dobrowolnie do propagandowego beczkowszu. (*Das Jauchepferd* — nazywano w Oświęcimiu więźnia przywiązanego do wózka z nieczystościami), by zabić w sobie artystę-pięknoducha, czeka na wnikliwe i prawdopodobne studium psychologiczne. Znałem go na tyle, by na motto dla takiej pracy zaproponować słowa, które go kiedyś głęboko zastanawiały w czasie spaceru na przedmieściu Monachium: „I nie wódz nas na pokuszenie”.

Czytamy, że pryncypalista Borowski był dla „pryszczatych” autorytetem moralnym, politycznym, pisarskim. I że pozostała po nim siła fatalna: dwaj „pryszczaci” po powrocie z pogrzebu autora „Kamiennego świata” poprosili o przyjęcie do partii — „aby zastąpić poległego”... Trudno jednak mówić o jakimś większym wpływie jego twórczości na rówieśników czy młodszych kolegów po piórze. Przykłady, wspomniane przez Lisiecką, nie brzmią przekonująco. Dodatkowa niezwykłość talentu pisarskiego Borowskiego polega na jego niepowtarzalności. Po kłeskach artystycznych epigonów poznać go. (Promieniowanie „pryszczatych” na następną generację pisarską w ogóle jest znikome.)

PO HUKU, PO SZUMIE, PO TRUDZIE...

Ostatnie utwory „pryszczatych” (epitet ten będzie się włókł za nimi do późnej starości, a może nawet po dni sądu ostatecznego historii literatury) uświadamiają czytelnikowi, że o ile pisarze ci, mimo różnych indywidualności, mogli od biedy uchodzić za grupę w okresie pierwszym — „burzy i naporu” lub drugim — „estetyki normatywnej” i ewentualnie trzecim — „literatury obrachunkowej”, to dzisiaj niewiele ich już łączy ze sobą.

Intelektualna proza Bocheńskiego („Boski Juliusz”), eksperymenty Wirpszy („Pomarańcze na drutach”), beletrystyka Bratnego („Spacer w Zoo”), pół-faulknerowski „Tren” Czeszki, neo-schematyczna nowela Ścibora-Rylskiego („Człowiek z marmuru”), kostiumowe, aż zakrzuszone od niedopowiedzeń „Sny pod śniegiem” (cóż za symboliczny tytuł!) Woroszyńskiego, Braun jakby bardziej skupiony, neo-attycyzm liryczny u Słuckiego — w rzeczy samej: każdy sobie apolińską rzepkę skrobie, zmieniało się wiele, przeważnie na lepsze. Przypatrując się charakterowi, poziomowi, strukturze formalnej, substancji filozoficznej (*if any*) tych — jakże niepodobnych do siebie! — osiągnięć, sukcesów, porażek i nieporozumień, powiedzieć by można, iż właściwie jeszcze tylko dwie cechy szczątkowe łączą dzisiaj byłych „pryszczatych” ze sobą, tylko dwie obręcze spajają rozsychającą się beczkę Danaid:

1) że piszą po polsku,

2) że znaleźli się razem w książce Lisieckiej.

W literackim akwariu tejże autorki obok karpów królewskich uwijają się anemiczne płotki. Nic w tym złego. Już Wilde mówił, że woli dobrze namalowaną główkę kapusty od źle namalowanej głowy Świętego. Więc i nas bardziej zaciekawia w tym zbioru udany szkic Lisieckiej o... (nie, nazwiska nie wymienię!) niż mniej udane studium o pisarzu z prawdziwego zdarzenia. I tak pewnie spotkają ją zarzuty, że nie wszystkich włączyła do swej kolekcji. A gdzie Różewicz? Gdzie Kubiak, Zalewski, Mandalian, Gruszczyński? Przydałaby się również jakaś „pryszczata” Safona dla ozdoby. Jeszcze niejedną skalp dałoby się przytroczyć do pasa. Widowisko literackie *Alice get your gun* — tak się powinien nazywać następny tom Lisieckiej — niewątpliwie uwzględni wszystkie reklamacje.

Coraz częściej słyszy się i czyta o „inwazji socjologii”. Wpadła mi niedawno w ucho wypowiedź teologa starszej daty, który uskarżał się przed telewizzami że socjologia zaczyna niebezpiecznie ciążyć nad współczesnym życiem umysłowym. Tenże teolog utrzymywał również, że ludzkość przez długie stulecia dawała sobie radę bez tej modnej obecnie nauki, — i „tyż piknie”. Takim zrządzeniom oczywiście, przyklaskiwać nie należy. Tym bardziej, że na uraz anty-socjologiczny najczęściej cierpią ludzie o określonej formacji intelektualnej. Hitlerowcy nazywali socjologię „żydowską sektą”, a w stalinowskiej Rosji odnoszono się do niej z chorobliwą nieufnością. Niemniej faktem jest, że moda i popyt na socjologię istnieją, i to nie tylko wśród Amerykanów, którym już sam dźwięk słowa „sosiolodzi” sprawia przyjemność fizyczną, niemal tak dużą jak piękne słowo „sajkoanalizys”. Także i w naszym w kraju, który poszczycić się może zastępem socjologów o międzynarodowym rozgłosie, i gdzie co jakiś czas rozlega się załęknione pytanie, czy współczesna humanistyka polska nie jest przypadkiem staroświecka, socjologię, ma się rozumieć, otacza się powszechnym szacunkiem. Nie można już sobie wyobrazić poważnej krytyki literackiej, która by nie korzystała

ze zdobyczy socjologii. Tu i tam tego socjologizowania aż za wiele. Nic zatem dziwnego, że i w szkicach o „pryszczatych” (których autorka tak żywo interesuje się typologią), natrafiamy na próby znalezienia powiązań biograficzno-psychologicznych „przedmiotu opisu” z socjologicznymi aspektami ideologii, estetyki, polityki kulturalnej w latach 1945-1964. Próby raczej nieśmiałe.

(Tutaj nawias, a w nawiasie dygresja. Słusznie: sama psychologiczna interpretacja literatury nie wystarcza. Wiemy, że marksizmowi złudzenia psychologizmu są obce. Tym chętniej napasłbym oczy rozprawką, rozpatrującą twórczość naszych pisarzy w ścisłym związku z procesami społecznymi i gospodarczymi w Polsce powojennej. Proszę bardzo: niechaj powstanie marksistowska historia literatury polskiej powojennego dwudziestolecia, na tle ścierania się materialistycznych i idealistycznych tendencji filozoficznych, na fundamencie solidnej analizy przeobrażeń struktury społecznej, z krytycznym rozpatrzeniem polityki gospodarczej, społecznej i kulturalnej, z ukazaniem etapów walki klasowej i jej refleksów w nadbudowie ideologicznej — *why not?* Nic przeciwko kryteriom, nic przeciwko metodzie, byle rzecz była autentyczna, żadnym „nadrzędnym” względem nie podporządkowana, bez ufryzowanej empiryki, bez zmistyfikowanych prawidłowości rozwoju, bez wstydliwych przemilczeń, bez pedagogizacji, bez egzemplifikacji dobieranej pod apriorycznie podejmowane wnioski.

Wróćmy do „pryszczatych” i do ich Egerii. Alicja Lisiecka — o czym zresztą pisze w post scriptum „Trochę socjologii” — wie dobrze, że nowoczesne teorie socjologiczne przywiązują szczególne znaczenie do zmian pokoleniowych w rozwoju społeczeństw. Że podobne „zmiany warty” nie są bynajmniej częstą alegorią literacką, pozbawioną żywej treści społeczno-kulturowej. Zmiany, jakie za sobą pociąga każda zmiana warty, są uchwytnie i wymierne. Sądzi również za Mannheimem, twórcą pojęcia „jednostki pokoleniowej”, że każda nowa generacja wnosi ze sobą wiano w postaci tzw. *fresh contact* — „świeżej wrażliwości”, czegoś w rodzaju zwierciadła, jakie podsuwa zastanej rzeczywistości. (Nowa generacja — to zarazem nowa instancja, o której pojawieniu się powinni pamiętać *consules!*) Jakkolwiek sztafety pokoleń zaprzatają wyobraźnię badawczą Lisieckiej w niemniejszym stopniu, co Jana Błońskiego, autora „Zmiany warty”, głośnej książki krytycznej o generacji pisarskiej, która zadebiutowała po 1956 roku, to jednak do teorii pokoleniowych i do tez o odrębności generacyjnej grup pisarskich odnosi się ze sceptycyzmem. Modny „szumek pokoleniowy”, namiastka poważniejszych badań i dyskusji, nie przypada jej do gustu. Słusznie: jeszcze się u nas nowe pokolenie pisarskie dobrze nie wykluje z jajka, a już je oklejają etykietkami.

Sceptyk mógłby tutaj jeszcze dorzucić, że niemal każde pokolenie pisarskie posiada swoją literacką legendę, uważa siebie (z własnego punktu widzenia — nie bez słuszności) za coś nie-

zwykłego, autoportretuje siebie i samookreśla bądź za pochlebnie bądź do przesady niekorzystnie (co na jedno wychodzi), ale najczęściej z egzaltacją.

Weźmy dla przykładu Niemcy. W roku 1920 Karl Pinthus, wydając antologię pod zamaszystym tytułem „Zmierzch ludzkości — symfonia najmłodszej liryki”, tak pisał:

„Oto przedstawiam wam generację przetrąconych, błędnych i niespokojnych. Tych którzy spalają się w walce i tych którzy wolą niezauważone męczeństwo. Pokolenie przedwcześnie zmarłych, zmarnowanych, posiwiących. Pokolenie jakiego z pewnością nigdy i nigdzie nie oglądała literatura światowa”.

O następnym pokoleniu pisarskim diagnostyk Hermann Glaser pisał w „Drogach literatury niemieckiej”:

„Generacja tych, którzy przywlekli się z frontu do pustego domu, przerażeni chaosem, ruinami, zagładą. I ponowili krzyk swych poprzedników: druga fala *des expressiv-explosiven Schaffens*”.

O trzeciej fali pisano: „Synowie bezrobotnych”, „młodzieńcy z pieca gorejącego”, „zakażeni śmiercią”. (Pomyśleć tylko, że to sugestywne określenie bynajmniej nie jest *made in Poland*, a co dziwniejsze: powstało przed rokiem 1939!) Już nie będę przytaczał eksklamacji krytyki, charakteryzującej „oszukany rocznik Wolfanga Borcherta” czy *Kahlschlag-Periode* (sporo materiału można znaleźć w szkicach o „Gruppe 47”).

Jeśli jeszcze poczytamy, co o *beat generation* czy *angry young-men* piszą Anglosasi, nawet Rosjanie o swej „trzeciej generacji”, uderza nas podobna nuta, co w polskich rozważaniach: swoista *mistyka młodości*, i to nawet u szermierzy trzeźwego racjonalizmu. Mistyka, nota bene, optymistyczna. Bo czy oni tam „pryszczaci” czy „wściekli”, czy zbuntowani czy ugłaskani, grafomani czy geniusze, oszukani czy tryumfujący, uskrzydleni czy przyziemni, — zawsze jednak uważani są za siłę, mogącą zmienić świat.

I jeszcze jedno spostrzeżenie. Biorąc do ręki ten czy inny elektrokardiogram pokolenia, uświadamiamy sobie z żalem, że umysłowość — rzecz nabyta, psychologia zaś — chyba jednak przyrodzona. Po dojściu do wieku kłęski — oj, biologio, biologio, cóżes ty za pani? — budzi się sentyment do pryszcz młodości.

— Przeglądałem niedawno swe bojowe wiersze, pisane do pisemka *Hitlerjugend* — zwierza mi się jeden z czołowych pisarzy niemieckich, szczerzy demokratą, polonofil, przeciwnik wąskiego nacjonalizmu — i wie pan co? Uśmiechnąłem się do tego półgłówka w krótkich majtkach. Pamiętając o słowach Turgieniewa, że największą skazą człowieka jest ukończenie 55 lat, powiadam sobie: błędziliśmy, bo błędziliśmy, ale przynajmniej byliśmy młodzi...

Na szczęście sentymencik dla własnej młodości, zjawisko wymykające się spod kontroli *ratio*, nie popycha jeszcze ludzi pióra w ramiona recydywizmu. Jeśli by nawet nasi polscy „prysz-

czaci" zeszli się kiedyś na kombatancką agapę, by w długi jesienny wieczór z uśmiechem rozrzewnienia przypomnieć sobie „lata chmurne i durne” (osobiście w takie zaduszki nie wierzę), nie lękajmy się: ciągu dalszego „Węgla”, „Lewantów”, „Zgodnie z prawem” czy „Władzy” nie będzie. Traktory również nie zdobędą wiosny. Wręcz przeciwnie. Posłuchajcie proroctwa emigracyjnego Wernyhory: wśród byłych „pryszczatych” są pisarze, którzy staną się ozdobą naszej literatury.

Amen!

Tadeusz NOWAKOWSKI

Nadeślane nowości wydawnicze

- WANDYCZ (P.) i FREN DL (L.). *Zjednoczona Europa*. Teoria i praktyka. Str. 308 z Bibliografią i Indekssem. (Wyd. Polonia Book Fund, Ltd.) Londyn. 1965).
- BRODZIŃSKI (Bohdan). *Stopa życiowa w Polsce w latach 1945-1963*. Str. 148 z Bibliografią. (Wyd. Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych, London, 1965).
- MACKIEWICZ (Stanisław). *Europa in flagranti*. Str. 312. (Wyd. Instytut Wydawniczy „PAX”, Warszawa, 1965, cena 25 zł.).
- PANKOWSKI (Marian). *Kozak i inne opowieści*. Str. 102 i 2 nlb. Nakładem Autora, Bruksela, 1965).
- SOKOLNICKI (Michał). *Dziennik AnkarSKI 1939-1943*. Str. 576 z załącznikami, wyjaśnieniami i Indekssem nazwisk. (Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego Londyn - New York, nakładem Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1965).
- WŁODKOWSKI (Władysław). *Metafizyczne doświadczenia*. Str. 170 i 6 nlb. (Nakładem Autora, drukowano w Warszawie).
- SAPIEHA (Lew). *Wojna z wysokości siodła*. Str. 160. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1965. Okładkę projektował T. Terlecki).
- WITTLIN (Tadeusz). *Modigliani*. Cz. I.: *Cygan z Montmartre'u*. Str. 318 i 2 nlb.; Cz. II.: *Księżę Montparnasse'u*. Str. 278 i 2 nlb. Okładkę do obu części projektował Stanisław Gliwa. Liczne reprodukcje w tekście. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1965).
- ROMANOWICZOWA (Zofia). *Próby i zamiary*. Str. 159 i 1 nlb. Okładka: Danuta Laskowska. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1965).
- ROSTWOROWSKI (Jan). *Nasi ludzie*. Str. 160. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej. Okł. projektował T. Orłowicz).
- RUCKER (Jan Jerzy). *Wspomnienia o Lwowie*. Wyjątki z pamiętników z lat 1867-1939 Str. 40. (New York, 1965).
- U progu drugiego roku. Str. 24. Komunikat Informacyjny Nr. 4 Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie (wrzesień 1965).
- GOŁAWSKI (Michał, mgr.). *Szkolnictwo w Anglii*. Informator i poradnik dla rodziców i nauczycieli. Str. 56. Biblioteczka Szkolna Nr 10. (Wyd. Polska Macierz Szkolna Zagranicą, Londyn. 1965).
- KOŁAKOWSKI (Tomasz, ks.). *Tablice z Góry Wyczerpania*. Str. 85 i 5 nlb. (Nakł. Zakonu Króla Ducha, Londyn, 1962).

Listy do Redakcji

Londyn, 6 listopada 1965

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Komar ukąsił pana Zbyszewskiego, zaś pani Lindnerowa („Kultura” nr 11/217) wytknęła panu Komarowi, że „się” stawia się po czasowniku, jak to uczono w szkołach.

Przeczytajmy, co napisał polski językoznawca, o uznanej powadze, Witold Doroszewski w swej doskonałej książce pt. „O kulturę słowa, Poradnik językowy”, Warszawa 1964, wydanie drugie, str. 150:

„Się (miejsce w zdaniu). Czy właściwy jest szyk wyrazów w takim zdaniu: W celu tym a tym należy się zgłosić... Czy nie należałoby powiedzieć „zgłosić się”?”

W przytoczonym zdaniu wszystko jest w porządku. Nie ma w języku polskim zasady, która by wymagała umieszczania zaimka się tylko po czasowniku, przeciwnie, do dobrej tradycji językowej należy ruchomość tego zaimka w zdaniu.

„Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie odzywał do ech ciemnej okolicy” — pisze Słowacki, nie tylko wysuwając się przed czasownik, ale jeszcze przedzielając jedno od drugiego dwoma wyrazami. W tym wypadku zdanie jest może trochę sztuczne, ale łatwo o inne przykłady z różnych epok.

Oto niektóre: „Ta pani się nie obejźrzy” — Górnicki (XVI w.). „Cnota się sobie samej sobą płaci” — Wespazjan Kochowski (XVII w.). Pospolite przysłowia: „Kto się lubi, ten się czubi”, „jak sobie kto pościele, tak się wyśpi”, „jak się da, to się zrobi”. Używanie się tylko po czasowniku jest cechą języków ruskich i polszczyzny pozostającej pod ich wpływem albo w historycznych z nimi związkach. Tadeusz Łopalewski w noweli „Góra dawnych bogów” („Nowiny Literackie”, 1948) mając w toku narracji przejść na posługiwanie się mową wileńską czyni to w ten sposób, że pisze: „Gości mnie pani znajoma *wydajesz się*” — i to właśnie *wydajesz* z się na końcu jest charakterystyczne. Refleksy tego zwyczaju językowego znajdziemy u Mickiewicza w *Panu Tadeuszu* i możemy nawet sądzić, że poeta akcentował na sposób ruski: „często zastanawiał się”, „więc zbliżył się”, „tak skradał się Tadeusz” itp. Ale są i wypadki użycia zgodne z powszechnym zwyczajem językowym, np. „Stała Podczaszyca dwukonna dryndulka, która się po francusku zwała — a nie która po francusku zwała się, co — niezależnie od rytmu — byłoby rażące. Do takiej samej dobrej tradycji jak ruchomość zaimka się należy ruchomość końcówek osobowych czasownika. Lepiej brzmi *jakeśmy tam byli*, niż: *jak tam byliśmy*; *wtedyśmy się wreszcie przekonali*, niż: *wtedy wreszcie przekonaliśmy się* itp.”

Łączę wyrazy poważania

T. ANDRZEJEWSKI

Paryż, dn. 9 listopada 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł o sławistyce w Ameryce, na ogół dokładny, pomija zupełnie katedrę Mickiewiczowską, założoną przez prof. Manfreda Kridla. Przypuszczam, że autor pominął tę ważną placówkę z powodu subsydiów rządu Polski Ludowej. To jest ogólnie przyjęte na uniwersytetach prywatnych w Ameryce. Casa Italiana była utrzymywana przez rząd Mussoliniego, a nie było tam ani jednego faszysty; jest to bardzo poważna uczelnia romańskich języków i literatury.

Prof. Kridl był uczonym europejskiego formatu i zrobił bardzo dużo dla polskiej katedry. Miłośz też zdziwi się, że został pominięty. Miłośz miał odczyty w Columbii kiedy jeszcze był radcą kulturalnym w Waszyngtonie. Polacy chcieli obsadzić tę katedrę prof. Lehrem z uniwersytetu Jagiellońskiego, ale statuty Columbii żądają kogoś, kto jest już w Stanach. Kogoś — ale nie tyle kogo, wyraźnie odmówiono kandydatury Colemana, mimo jego zabiegów. Wybór padł na Kridla.

Z głębokim szacunkiem

E. K. BERNAUT

b. lektor w Dep. Sławistyki w Columbii



Chapell Hill, dn. 10 października 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Na marginesie tłumaczenia artykułu profesora Mihajlova, pragnąłbym zwrócić uwagę na niewłaściwe użycie terminu — jugosłowiański, szerzące się dziś w prasie polskiej.

Termin ten może być tylko użyty w odniesieniu do kraju, a nie języka, gdyż jak wiadomo Jugosławia jest zlepkiem kilku narodów południowo-słowiańskich posiadających odrębne języki i kulturę. Nie ma i nie było „języka jugosłowiańskiego”, tak jak nie ma języka szwajcarskiego. Urzędowymi językami Jugosławii są serbo-chorwacki, słoweński i wprowadzony po wojnie macedoński. Autorzy przekładu mieli, zapewne na myśli język serbo-chorwacki, którym mówią mieszkańcy Serbii, Chorwacji, Bośni i Hercegowiny, Czarnej Góry, oraz wychodźcy chorwaccy i serbscy rozsiani prawie po całym świecie.

Z poważaniem

Tadeusz Z. GASIŃSKI

(Assistant Professor of Slavic Languages)



Londyn, październik 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Niech mi wolno będzie poczynić parę uwag na temat artykułu p. W. A. Zbyszewskiego „Mackiewicz a wolność prasy w Polsce” (*Kultura*, Nr 10/216, październik 65).

Wbrew temu co mówi, cytowany przez p. W. Z., Rousseau — człowiek nie rodzi się wolny. Wręcz przeciwnie, przyroda nałożyła mu pęta, uczyniła go bezwolnym przedmiotem swych surowych praw biologicznych, jeszcze nawet przed przyjściem na świat, genetyka wytyczyła mu dalszy

rozwój fizyczny i umysłowy. Jest więc od stworzenia igraszką różnych, często mu nieprzychylnych sił. Niemniej jednak Rousseau, jakkolwiek był niebezpiecznym wariatem, zasługuje na rangę pewnego autorytetu. Nie pojmuję jednak dlaczego przyznanie tego zaszczytu trzeba było okupić poniżeniem Marksa, nawet jeśli niejedna z marksistowskich teorii leży w gruzach. Ubolewam bardzo, że p. W. Z. sprzedał całego Marksa za jedno zdanie Rousseau. Zamierzam go bowiem polecić jako najskuteczniejszego sprzymierzeńca w krusadzie o wolność prasy.

W rozdziale „Über die Pressfreiheit” (Marx-Engels Gesamtausgabe erste Abt., Band I, stronica około 200) sponiewierany Marks pisze (cytuję w wyjątkach: Cenzurowana prasa pozostaje zła, nawet gdy tworzy dobre produkty, wolna prasa pozostaje dobra gdy wydaje złe produkty... Kastrat pozostaje ułomnym człowiekiem, chociaż ma piękny głos, natura pozostaje doskonała, nawet jeżeli wydaje potwory... Demoralizująco działa cenzura na prasę... Obłuda jest nieodstępna od niej i z tej zasadniczej ułomności wypływają inne... Rząd słyszy tylko swój własny głos, wie, że słyszy tylko własny a utrwała się w złudzeniu, że słyszy głos ludu. Żąda również od ludu, aby poddał się temu złudzeniu. Lud tkwi częściowo w politycznym przesądzie częściowo w politycznej niewiedze lub, zupełnie od politycznego życia odwrócony, pędzi życie jako pospólstwo... Więc kłamie taka prasa nieustannie a jest zmuszona zaprzeczać nawet świadomości kłamstwa...” Tak więc z Marksa nie zrezygnowałbym, gdy chodzi o wolność prasy.

Pan W. Z. zdradza nieznaną podobieństwa rodzinnego. Nazywa „Times” kuzynem „Kuriera Warszawskiego”, chcąc przez to uwypuklić niski poziom angielskiej gazety. Tymczasem angielski „kuzyn” ma nakład 250.000 egzemplarzy — na wszystkie trybuny urok — i jest, jeśli nie najlepszą, to jedną z najlepszych gazet świata. Czytam ją z największą rozkoszą a tak świetny znawca publicystyki jak Londyńczyk, w tym samym numerze *Kultury*, str. 123, przytacza rezultat ciekawej ankiety, która umieszcza „Times” na drugim miejscu listy najlepszych gazet świata. Nie mam nic przeciwko temu, aby p. W. Z. czytał „Le Monde” — *chacun à son goût* — ale proszę o względy i uczciwość, gdy osądza inne dzienniki. Na temat warunków koniecznych do spełnienia aby zasłużyć na miano wielkiego publicysty, zabiorę głos gdzie indziej. Ubolewam jednak, że p. Z. potraktował p. Rubla tak łagodnie. Tak Rubel jak i Dąbrowski z resztą ferajny „Ilustr. Kuriera Krakowskiego” mają ciężkie grzechy na sumieniu. Idąc na pasku p. Becka, podtrzymując i podsycając idiotyczną politykę wrogości wobec Czechów, są współodpowiedzialni za nasze dzisiejsze położenie.

Nie pojmuję dlaczego obciąża p. W. Z. społeczeństwo polskie zarzutem wyuzdanej zazdrości. Co za uogólnienie i jaka dowolność! Jestem przyzwyczajony, że p. W. Z. wylewa przy każdej sposobności kubeł najprzeróżniejszych zarzutów na upośledzone i mniej wartościowe w jego opinii społeczeństwo polskie. Nieraz nawet się dziwię, dlaczego i dla kogo pisze. Zapewniam, jednak sz. autora, że dla publicysty, zwłaszcza niezależnego, dzisiejszy inteligent polski ma szacunek i podziw a kolega-dziennikarz uznanie a nawet wdzięczność.

Pan W. Z. powraca chętnie do afery Dreyfusa. I ja uważam, że ta sprawa godna jest pamięci i rozdrapywania ran przez nią zadanych. Ale, niestety, p. Zbyszewski zdaje się nie znać istoty afery, do czego powrócę w innym piśmie. Również pragnę zauważyć, że historia z Żydami w Anglii, reagującymi cmokaniem (nie podejrzewałbym nigdy nikogo, że tak beceremonialnie nazydnie się w towarzystwie p. W. Z.) na wiadomość o pisaniu ich współwyznawców dla radia niemieckiego tak się ma do cenzury w Polsce jak się ma Rzym do Krymu.

Last but not least kwestia cenzury redaktorskiej. Że redaktor *Kultury* przepuścił takie dowolności, jakie znajdują w ostatnim ustępie, to jego sprawa. Może ze złośliwości, aby sprowadzić skargi p. W. Z. do absurdu. Uważam jednak, że wtrącanie się do spraw redakcji jest co najmniej nietaktem. Pan W. Z. może łatwo pozbyć się prześladowań, terroru, znieszczenia etc, wydając własne pismo, przeznaczone wyłącznie na własny użytek. Tak załatwiali sprawę swych konfliktów z ortodoksyjnymi redaktorami naprawdę wielcy publicyści: Maximilian Harden (*Die Zukunft*) i Karl Kraus (*Die Fackel*). Poproszę o zarezerwowanie mi pierwszego miejsca na liście prenumeratorów a dalszych, co najmniej dziesięciu, dla inteligentów polskich, pełnych uznania dla pracy niezależnego publicysty.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

F. GOLDSCHLAG



Londyn, 8. 11. 1965

Drogi Panie Redaktorze,

Pozwoli Pan, że do notatki pt. Katedra literatury polskiej w Chicago w nrze. listopadowym „Kultury” zgłoszę kilka uzupełnień. Nie jestem specjalistą od sławistyki na terenie USA, ale w notatce „Kultury” dostrzegłem, że pominięto nazwiska takich wykładowców literatury polskiej oraz języka polskiego w okresie przedwojennym i powojennym jak Prof. Manfred Kridl i Dr Ludwik Krzyżanowski z uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Dr L. Krzyżanowski jest poza tym od lat redaktorem pisma „The Polish Review”. Notatka nie wspomina o pracy Prof. Wiktora Weintrauba z uniwersytetu Harvard oraz o innych wykładowcach literatury polskiej na innych wszechnicach USA (Prof. Wacław Lednicki, Czesław Miłosz, M. K. Pawlikowski z Berkeley i, jeżeli mnie pamięć nie myli, Dr Z. Folejewski). Moja lista jest na pewno mocno niekompletna, ale wydaje mi się, że w szkicowej nawet notatce nazwisk tych nie powinno być zabraknąć.

Jeżeli chodzi o sam uniwersytet w Chicago, który, o ile wiem, należy dzisiaj do najpierwszych wszechnic USA, to chyba należało wspomnieć o dwóch polskich uczonych, którzy tam wykładali: Prof. Florianie Znanieckim znakomitym socjologu, autorze pomnikowej pracy o chłopie polskim w Ameryce (w latach międzywojnia Znaniecki wykładał na uniw. poznańskim) oraz Prof. Oskarze Lange, który zanim wszedł na pechową raczej dla niego drogę polityczną uważany był za jednego z czołowych ekonomistów świata. Wśród wielkich sław uniw. chicagowskiego wspomnieć należało największego dzisiaj religioznawcę, rumuńskiego uczonego, Mircea Eliade.

Proszę przyjąć serdeczne słowa

Zbigniew GRABOWSKI



Pernhos Home, 9 listopada 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

W liście do Pana Redaktora („Kultura” 11/217) p. J. Lindnerowa stawia mi zarzut, iż korykuję innych, a sam błędnie piszę po polsku

i opiera swoje twierdzenie na tym, że w trzech zdaniach zaimek zwrotny „się” umieściłem przed czasownikiem, a zdaniem pani L. powinien on być zawsze umieszczony za czasownikiem; dodaje przy tym, że ładnie wyglądałyby nasze wypracowania (w szkołach) z takimi błędami.

O tym, że takie umieszczanie zaimka „się” jest błędem — nie wiedziałem, ale może p. J. Lindnerowa zmieni swój werdykt w stosunku do mnie, gdy zwróci uwagę, iż w tym samym numerze „Kultury” takie pióra jak pp. W. A. Zbyszewski i J. Mieroszewski popełniają te same „błędy”; p. W. A. Zbyszewski na str. 66 i 67 aż 6 razy: „chcą się sami bronić”, „nikt się nie pytał”, „chcą się bić”, „mogą się łudzić”, „może się rozlegać”, „że się pozbyła”; a p. J. Mieroszewski pisze na str. 47: „może się zgadzać”, „nigdzie się nie objawia”, na str. 48: „nie chcieliby się przyznać”, „że coś się stanie”; na str. 50: „nie możemy się zająć”, „byłoby się nam opłaciło”; na str. 51: „by to się stało”, a na str. 52: „nie potrafimy się zdobyć”.

Jeśli p. Lindnerowa nie da się przekonać, że to nie są błędy, to skoro znalazłem się w tak wyborowym gronie ludzi, którzy popełniają te same „błędy”, nie będę się ani tym martwić, ani miejsca stawiania słowa „się” — nie zmieniać, a wydaje mi się, że jest to szukanie dziury w całym. Absolutnie całym.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Henryk Z. KOMAR

Bruksela, dn. 6. 11. 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

W listopadowym numerze „Kultury” w swym artykule „Współczesna wersja 'Mitteleuropy’” pan W. A. Zbyszewski zastanawia się: „...które kraje nazwiemy zachodnią połową Środkowej Europy?... Czy także Belgie?” Pan Zbyszewski sam nie jest pewien, gdyż zaczyna swą odpowiedź od „myślę”, ale mimo to kontytuuje w sposób kategoriyczny, „że póki spór językowy między Wallonami a Flamandami (z winy Flamandów) pozostaje w stanie obecnego wrzenia, póty Belgię trzeba z mapy Europy, i to każdej Europy wykreślić: jest to człon ciężko chory, maniackalna nienawiść Flamandów do języka francuskiego jest psychopatyczna, jest „szokowaniem”, podobnym do tego, który Żydzi i Polacy odczuwają w stosunku do Niemców, czy rasiści z Rodezji i Płd. Afryki w stosunku do Murzynów.

Mieszkam w Belgii od dwudziestu lat, kończyłem tu studia i tak się złożyło, że znam zagadnienia stosunków walońsko-flamandzkich bardzo dobrze. Pozwalam też sobie, choć na bardzo krótkie i niekompletne, sprostowanie bezpodstawnych twierdzeń pana Z.

Przede wszystkim zaczniemy od tego, że w państwie gdzie współżycją dwie grupy językowe nie będzie można nigdy uniknąć nieporozumień w mniejszym lub większym stopniu. W Belgii spór językowy nie powstał „z winy Flamandów” ale z powodu tego, że dopominają się oni, i słusznie, *administracyjnie* biorąc, zastosowania praw przewidzianych dla obu języków, bez żadnej dyskryminacji, przez konstytucję. Prawa te niestety jeszcze do niedawna były lekceważone, jeśli chodzi o flamandzki.

Czy p. Z. wie np., że Flamandzi nie znający francuskiego (są i tacy) byli komenderowani w okopach pierwszej wojny światowej przez oficerów Belgów, jedynie po francusku? Fakt, że pierwsze posiedzenie Rady Ministrów w języku flamandzkim miało miejsce dopiero w 1964 r. mówi chyba sam za siebie.

Ale mimo wszystko, żadnego „stanu wrzenia” w Belgii nie ma. Nienawisć Flamandów do języka francuskiego pozostanie jedynie tworem imaginacji p. Z. nie mającym nic wspólnego z rzeczywistością. Cała inteligencja flamandzka zna francuski, praktykuje i kultuluje go systematycznie, wydaje gazety w tym języku, często posyła swe dzieci do szkół i uniwersytetów, gdzie językiem wykładowym jest jedynie francuski, a więc...

Żeby jeszcze upewnić pana Zbyszewskiego, że Belgia wcale nie jest ciężko chora dorzuć, że: eksportuje ona 40% swej produkcji rocznej za wartość około sześciu miliardów dolarów, w 1958 zorganizowała wspaniałą międzynarodową wystawę uniwersalną, Belgowie są obecni na wszystkich poważnych kongresach z najróżnorodniejszych dziedzin naukowych i mają zawsze coś mądrego i dokładnego do powiedzenia, a na obecnym Soborze episkopat belgijski, tak ekspresji flamandzkiej jak francuskiej, odegrał wspólnie bardzo ważną rolę.

Na koniec o Polakach, tak jak z tym słoniem, ponieważ p. Z. o nas mówi dla potrzeby porównawczej.

Spędziłem pięć lat w obozie koncentracyjnym, jak również cała moja rodzina, i oświście nie odczuwam „szokowania” i nienawisći do narodu niemieckiego. Nie sprostregłem też tego ani u Polaków w Belgii, ani w kraju, gdzie od kilku lat bywam regularnie. Na jakich zatem podstawach pozwala sobie pan Zbyszewski na tak łatwe uogólnienia?

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Jerzy KONARZEWSKI

Londyn, 12 listopada 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Parę słów w związku z recenzją płka Tadeusza Nowackiego z mej książki „Od Wiednia do Maciejowic”, bardzo wnikliwą i bardzo życzliwą („Kultura” Nr 10/216). Jeden tam błąd: Korzon nie polemizował z mymi poglądami na Kościuszkę i Maciejowice, bo dawno już nie żył. Autor ma rację co do nałogów wyniesionych przez Kościuszkę z wojny amerykańskiej, działania siłami zbyt rozciągniętymi w przestrzeni. Ale przejdźmy do jego bitew za Insurekcji. Racławice: całą siłą rozporządzalną bije podzielnego przeciwnika. Szczekociny: całą siłą jaką mógł zebrać stawia czoło prusko-rosyjskiej armii króla Fryderyka Wilhelma II, mającej dwukrotną przewagę; w całodzienniej bitwie nie daje się rozbić i wyprowadza swe wojsko mimo grożącego odcięcia pod Warszawę. Warszawa: główną siłą polską stawia odpór głównym siłom prusko-rosyjskim, wytrzymuje oblężenie i zmusza przeciwnika do odwrotu. Wysłunięcie Sierakowskiego na Brześć było konieczne by przynajmniej opóźnić marsz Suworowa (co mimo swej klęski Sierakowski osiągnął); Mokronowski pod Grodem wiązał siły o wiele większe od jego własnych.

I Napoleon przy zagrożeniu z kilku stron postępował podobnie.

Co do niedostatecznych sił użytych przeciw Fersenowi, uwzględniłem to w mej rozprawie. Ale nie ze wszystkim się godzę z zarzutem czynionym samemu Kościuszce w sprawie Ponińskiego. Idzie o te „poprzednie rozkazy” o których nie wykonanie go winił, a których Poniński nie otrzymał i o upieranie się przy tym.

Tu pytanie: czy Kościuszko nie był pewny, że były wysłane? Wiemy o pochwyconym w przeddzień bitwy oficerze polskim, na którym Fersen

wymusił zeznania o przywołaniu Ponińskiego do bitwy („Od Wiednia do Maciejowic”, str. 122, 143). My wiemy z rosyjskich raportów o ujęciu tego oficera. Kościuszko nie wiedział i tym się może tłumaczą wątpliwości co do powodu nie przybycia Ponińskiego. A złe obliczenie czasu i przestrzeni wynikało na pewno z niedokładności posiadanych map, o czym była mowa w mej pracy.

Płk. Nowacki wyraża żal z powodu jakby niemiłych cech charakteru Kościuszki, różnych od wyniesionego ze szkoły jego obrazu. Otóż legenda Kościuszki to najrzetelniejsza prawda gdy idzie o jego patriotyzm ofiarny, o poświęcenie, wytrwałość, odwagę i wolę żelazną a przy tym wiele dobroci i serca zwłaszcza dla ludu. Ale Kościuszko był także człowiekiem. Była w jego usposobieniu pewna doza podejrzliwości, nieufności, uporczywość w niechęciach — cechy właściwe jego współziomkom z Czarnej Rusi. A cechy te rozwinęły się właśnie po Maciejowicach, nie bez związku z raną ciętą w tył głowy. Naruszona była czaszka i kora mózgowa. Kuracja przepisana przez wielkie konsylium lekarzy angielskich, a przeprowadzona w Ameryce (elektryzacje!) była skuteczna; odzyskał również władzę w nodze utraconą przez pchnięcie piki kozackiej. Ale pewne zmiany w jego usposobieniu pozostały i odbiły się na jego stosunku do Polski napoleońskiej w roku 1806 i 1812.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

M. KUKIEL

Chicago, 16 listopada 1965

Szanowny Panie Redaktorze.

Józef Mackiewicz w zeszycie wrześniowym „Kultury” na str. 47-48 w recenzji o książce M. K. Pawlikowskiego „Wojna i Sezon” stwierdza, że pogłoski i plotki, jakie szerzyły się w Wilnie w końcu roku 1918 o tym, że mocarstwa Ententy postawiły Niemcom warunek utrzymania dalszej okupacji terenów naddnieprzańskich dla obrony tych obszarów przed bolszewikami nie była ani śmieszne ani naiwne, gdyż rzeczywiście marszałek Foch postawił na interwencję Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu w § 12 warunków rozejmu takie zastrzeżenie.

Zakończył jednak J. Mackiewicz te słuszne wywody uwagą, że nie stało się zadość § 12, gdyż na skutek przerzucenia się wybuchłej w Niemczech rewolucji na oddziały liniowe kordon wschodni pękł, z czego czytelnik musiał odnieść wrażenie, że dla tego tylko wojska niemieckie wycofały się z frontu wschodniego. Otóż ta końcowa uwaga jest niezgodna z prawdą.

Wojska niemieckie wycofały się z frontu wschodniego nie na skutek ogarnięcia ich przez wybuchłą w Niemczech rewolucję, lecz na skutek interwencji Józefa Piłsudskiego z początku u dowódcy niemieckiego frontu wschodniego generała Hoffmana, a następnie u samego marszałka Focha. Piłsudskiemu spieszo było do otwarcia furty z Polski do Wilna, które po wycofaniu się Niemców zajął Rydz-Śmigły w dzień Wielkiej Nocy 1919 r., lekceważąc okoliczność, że było to zarazem otwarciem na oścież bramy dla bolszewików do centralnej Polski zanim zdołała ona okrzepnąć.

Zaniedbano przy tym tak ważnej rzeczy, jak możliwości przejścia przez wojska polskie znacznej części uzbrojenia armii niemieckiej, której pozwolono spłynąć do Niemiec poprzez Prusy Wschodnie wraz z uzbrojeniem, które było następnie użyte do zwalczania przez Niemców powstania wielkopolskiego, któremu Piłsudski nie okazał żadnej pomocy.

Z poważaniem

Jan O. SOKOŁOWSKI



Drogi Panie Redaktorze!

W ostatnim numerze KULTURY czytam w artykule Juliusza Mieroszewskiego, że mojego „Ojca zadzumionych” napisał Tadeusz Nowakowski. Ogarnia mnie niepokój, czy nie zaszło przypadkiem jakieś nieporozumienie?

Juliusz SŁOWACKI (1809-1849)
c/o Królestwo Niebieskie



Vancouver, 10. XI. 1965

Szanowny Panie Redaktorze!

Pracuję nad rozprawą o życiu i twórczości Brunona Schulza, i w związku z tym poszukuję danych biograficznych dotyczących tego pisarza. Będę wdzięczna czytelnikom Pańskiego poczytnego pisma za wszelką pomoc, w postaci materiałów, wspomnień, w tym zakresie.

Z góry dziękuję za ogłoszenie tego listu.

Łączę wyrazy szacunku,

R. TOREN

Mrs. R.Toren
c/o Department of Slavonic Studies
University of British Columbia
Vancouver 8, B. C.
C A N A D A



Bordeaux, dnia 18 października 1965

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Gratuluje Panom odwagi przyznania, że „Rosjanie w Europie liturgicznie są anty-amerykańscy, lecz w rzeczywistości w pełni oceniają funkcję czynnika amerykańskiego w obecnym układzie europejskim... Dialektyka „podwójnej hegemonii”, w sensie ideologicznym zawsze konfliktowa, w sensie politycznym... działa konstruktywnie. W naszej sytuacji pro-rosyjskość nie może oznaczać anty-amerykańskości” (ani odwrotnie — mój dopisek).

Podobną odwagę wykazuje gomułkowska „Polityka”, która pisze: „tak samo my jak i Związek Radziecki nie robiliśmy z tego tajemnicy, że uważamy za nierealistyczne myślenie o tym, by Francja odwróciła swój sojusz z USA-NRF na sojusz z nami przeciw USA-NRF” (Nr 447 str. 9).

Rewelacje takie spotyka się nie tylko w prasie polskiej. „Jeune Afrique” np. pisze: „Wydarzenia, które nas w tym roku czekają... zrozumiemy tylko, jeżeli raz na zawsze porzucimy nieaktualną, martwą, pogrzebaną ideę antagonizmu amerykańsko-sowieckiego, a zamiast tego będziemy zakładać istnienie... sojuszu amerykańsko-sowieckiego” (Nr 245, str. 6).

Pytanie tylko, czy to łuski spadają z oczu (łuski bardzo zrogowaciałe, zważywszy ich wiek), czy też Moskwa lub Waszyngton do takich rewelacji zachęcają?

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy niezmiennego szacunku,

Jan ULATOWSKI

PRZYPOMINAMY
O ODNOWIENIU
PRENUMERATY
NA ROK 1966

Indeks autorów i tematów rocznika "Kultury" za rok 1965

Spis autorów

A. Cz. AKUŁA K., ANDRZEJEWSKI T., ANONIM. — BEDNARCZYKOWA Krystyna, BELL Daniel, BERNAUT Elsa K., BIENKOWSKA Danuta Irena, BOCHENSKI Adolf, BOHUSZ-SZYSZKO Marian, BOROWSKI Stefan, BORWICZ Michał, BRODSKI J. Josif, BRODZIŃSKI Bohdan, BRZEZIŃSKI Zbigniew, BUCZEWSKI Zenon. — CERIZAY de Gaston, CHCIUK Andrzej, CHLECKI Andrzej J., CHMIELOWIEC Michał, CIAŚ Witold W., CIECHANOWIECKA Ludwika, CIMACHOWICZ-POPIEL Zofia, CIOŁKOSZOWA Lidia, CLAIR-SOBELL J. St., CYBA Henryk, CZAJKOWSKA Magdalena, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERNIAWSKI Adam, CZERNIAWSKI E.J. — DANILEWICZOWA Maria, DAROWSKI Jan, DERY Tibor, DŁUGOSZEWSKI E., DOBEK Czesław, DRYMMER Wiktor Tomir, DUTKIEWICZ H., DZIEWANOWSKI M. K. — ERDMAN Marta. — GASIŃSKI Tadeusz Z., GIEŁGUD Jan, GIERTYCH Jędrzej, GINTER Maria, GOLDSCHLAG Ferdynand, GOMBROWICZ Witold, GOSTKOWSKI Stan., GRABOWSKI Zbigniew, GRONOWSKI Roman. — HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HŁASKO Marek, HOSTOWIEC Paweł. — IWANIUK Wacław, IWANČZAK Mieczysław, IWAŃSKA Alicja. — JACEWICZ A., JAKSIŃSKI Józef Piotr, JASIŃSKI Zbigniew, JEDLIŃSKI Witold, JENNE Benjamin Józef, JONES Jack, JORDAN Zbigniew A. — KARAJEWICZ Mustafa, KATELBACH Tadeusz, KINASTOWSKI W., KIRKOFF Milica D., KOMAR Henryk Zygmunt, KOMARNICKI Tytus, KONARZEWSKI Jerzy, KORCZYŃSKI Mieczysław. KORN Halina, KOTWICZ Piotr, KOZŁOWSKI St. W., KROŃSKI Jerzy, KRÓTKI Karol, KRYGIER Ryszard, KUKIEL Marian, KUŚ Witold, sen. — LANGNAS I. A., LASSOTA H., LAWRENCE D. H., LEDOCHOWSKI Włodzimierz, LENARTOWICZ Teofil, LESZCZA

Jan, LEWICKYJ Borys, LINDNEROWA Jadwiga, LISICCY Tad. i Radmiła, LONDYŃCZYK, LUCZYSZYN Iwan, — ŁOBODOWSKI Józef. — MACKIEWICZ Józef, MARCINKOWSKI W. M., MARKIEWICZ Zygmunt, MAURER Jadwiga, MIĄZEK Bonifacy MIECZKOWSKI Bogdan, MIEDZIŃSKA Janina, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIHAJLOV Mihajlo, MIŁOSZ Czesław, (m. l. d.), MŁOTEK Mieczysław. — NOCH Henryk, NOWACKI Tadeusz, NOWAK Jan, NOWAKOWSKI Tadeusz. — OBERLEITNER J., OBSERWATOR, OSEROVICIUS Hirsas. — PANKOWSKI Marian, PAPROCKI Stanisław J., PAWLIKOWSKI Michał K., PIEKUT Stanisław, POGONOWSKI Iwo C., PONIATOWSKI Józef, PRISOK, PRAWDZIWY KOMUNISTA. — REDAKTOR, REWUCKI Walerian, ROKICKI T., ROSTWOROWSKI Jan, RUDZIŃSKI Aleksander Witold, RUSZKOWSKI Andrzej. — SCHEURING Zofia, SIEMASZKO Zbigniew S., SŁOWACKI Juliusz, SŁOWIKOWSKA Irena, SOKOŁOWSKI Jan O., SOKOŁOWSKI Ryszard, SOWA Paweł, SUKIENNICKI Wiktor, SZANDRUK Paweł, SZARLAK Bogdan, SZCZEPAŃSKI Jan, SZWEJS Stanisław. — ŚMIEJA Florian, ŚWIĘCICKI Tadeusz. — TERLECKI Tymon, TOREN R., T. Ś., TURKIEWICZ Zygmunt, TYMIŃSKI A. — ULATOWSKI Jan. — VASARIS V., VIEHÖVER, VINCENZ Andrzej. — WANDYCZ Damian, WIENIEWSKI Ignacy, WIERZYŃSKI Kazimierz, WIĘCKOWSKI M., WITTLIN Józef, W. N., WRÓŃSKI Henryk, WRÓBLEWSKA Wanda. — YEATS William Butler. — ZAGÓRSKI Wacław, ZAPOROWSKI Bogdan, ZBINDEN Hans, ZBYSZEWSKI W. A., ZDZIECHOWSKI Paweł, ZUBRZYCKI Jerzy. — ŻELEŃSKI Władysław, ŻOCHOWSKI Stanisław, ŻUŁAWSKI Marek.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

- BELL Daniel: *Nowoczesność i społeczeństwo masowe* (5/211), przeł. Paweł Zdziechowski.
- BRODZIŃSKI Bohdan: *Gospodarka polska na przełomie* (6/212).
- BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Droga do przyszłej Europy* (4/210), przeł. z angielskiego.
- DANILEWICZOWA Maria (tłumacz) ob. Jones Jack.
- HERTZ Aleksander: *Kennedy i druga rewolucja* (7/213-8/214).
- JONES Jack: *Nowa koncepcja ideologii pomarksistowskiej* (dok.) (1/207-2/208), przeł. Maria Danilewiczowa.
- KORCZYŃSKI Mieczysław: *„Na przełomie” czy w stojącej wodzie* (6/212).
- KOZŁOWSKI S. W.: *Przegląd niemiecki* (1/207-2/208, 4/210, 5/211, 9/215, 10/216, 11/27).

- LEWICKYJ Borys: *Chruszczowizm bez Chruszczowa* (1/207-2/208).
- LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/207-2/208, 3/209, 4/210, 5/211, 6/212, 7/213-8/214, 9/215, 10/216, 11/217, 12/218).
- MIEROSZEWSKI Juliusz: *Ideologia samobójstwa* (1/207-2/208).
- *Komunizm — nacjonalizm — Afro-Azja* (5/211).
 - *Koń przed wozem* (11/217).
 - *Polityczne neurozy* (9/215).
 - *Religia a polityka* (10/216).
 - *Rosja między Europą a Azją* (12/218).
 - *Spotkanie w Torgau* (4/210).
 - *Wybór i wybory* (3/209).
 - *Zjednoczenie Europy a ideologia* (6/212).
 - *Zjednoczenie Niemiec i Europy a Polska* (7/213-8/214).
- ZBYSZEWSKI W. A.: *„Establishment” londyński* (1/207-2/208).
- *Przyszłość emigracji w Anglii* (5/211).
 - *Współczesna wersja „Mitteleuropy”* (11/217).
- ZDZIECHOWSKI Paweł (tłumacz) ob. Bell Daniel.

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- A. Cz.: *William Butler Yeats* (10/216).
- CZAPSKI Józef: *Głosy z daleka* (7/213-8/214).
- DAROWSKI Jan: *Wulkan północy* (5/211).
- GOMBROWICZ Witold: *Dziennik Transatlantycki* (1/207-2/208).
- *Fragment z dziennika* (9/215).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Kafka w Rosji* (12/218).
- *Wieczny więzień* (10/216).
- HOSTOWIEC Paweł: *Abram Terc* (12/218).
- *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (6/212, 10/216).
- LISICCY Tadeusz i Radmiła (tłumacze) ob. Mihajlov Mihajlo.
- ŁOBODOWSKI Józef: *Komentarz tłumacza* (do poezji Brodskiego) (1/207-2/208).
- MACKIEWICZ Józef: *Wtrącenia do przekroczonego czasu* (9/215).
- MIHAJLOV Mihajlo: *Martwy dom Dostojewskiego i Sołżenicyna* (9/215), przeł. Tadeusz i Radmiła Lisiccy.
- MIŁOSZ Czesław: *Myśli o T. S. Eliocie* (3/209).
- *Wyprawa w „La belle époque”* (1/207-2/208).
- ZBYSZEWSKI W. A.: *Mackiewicz a wolność prasy w Polsce* (10/216).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Judy w Jugosławii* (3/209).
 BOCHENSKI Adolf: *Skromna malutka wojna* (7/213-8/214).
 CZERNIAWSKI Adam: *Albowiem* (5/211).
 — *Wojaż* (4/216).
 DERY Tibor: *Synowa* (6/212), przekład z węgierskiego.
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Z biografii Diego Baltassara* (7/213-8/214).
 HŁASKO Marek: *Drugie zabicie psa* (1/207-2/208).
 — *Piękni, dwudziestoletni* (11/217, 12/218).
 IWANIUK Wacław: *Zapiski bywalca* (7/213-8/214, 10/216).
 IWAŃSKA Alicja: *Świat przetłumaczony* (10/216).
 KORN Halina: *Wakacje kończą się we wrześniu* (5/211).
 KRYGIER Ryszard: *Dziennik podróży na północ* (4/210).
 MAURER Jadwiga: *Po egzaminie* (7/213-8/214).
 PANKOWSKI Marian: *Królestwo* (7/213-8/214).
 SOKOŁOWSKI Ryszard: *Trzy ojczyzny* (11/217).
 SOWA Paweł: *Pamiętnik znaleziony w... Bochni* (10/216, 11/217).

Utwory poetyckie

- ANONIM: *O kapłaństwie* (10/216).
 — *Pytania* (10/216).
 BEDNARCZYKOWA Krystyna: *Biała flaga* (9/215).
 — *Out of bounds* (9/215).
 BIEŃKOWSKA Danuta Irena : *Niebo* (7/213-8/214).
 — *Piekło* (7/213-8/214).
 BRODSKIJ Josif: *Do Archangielska...* (7/213-8/214), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Na ogrodowy parkan* (7/213-8/214), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Objąłem te ramiona* (7/213-8/214), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Obóz* (7/213-8/214), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Ogrodnik wylażł niby drozd...* (7/213-8/214), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Okna* (1/207-2/208), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Palono w piecu* (1/207-2/208), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Wielka elegia na Johna Donne* (3/209) przeł. Józef Łobodowski.

— *Ze smutkiem i czułością* (1/207-2/208), przeł. Józef Łobodowski.

CZAYKOWSKI Bogdan : *Budowa przestrzeni* (6/212).

— *Gwałtownikami kogo nazywamy dziś* (6/212).

— *Własny rytm morza* (6/212).

CZERNIAWSKI Adam (tłumacz) ob. Yeats W. B.

DAROWSKI Jan: *Droga* (10/216).

— *Dzieci nasze będą mówiły* (10/216).

— *Homo Faber* (10/216).

— (tłumacz) ob. Lawrence D. H.

IWANIUK Wacław: *Ci, których noc uwalnia* (12/218).

— *Co pozostało nam, którzyśmy przeszli* (12/218).

— *Co ze mnie pozostało* (12/218).

— *Dla moich zwięzłych słów* (12/218).

— *Gdy w Nowym Jorku umierał Dylan Thomas* (12/218).

— *Jak one rosną, te milczące drzewa* (12/218).

— *Krzyczeć? Ach, po co?* (12/218).

— *Mozart* (12/218).

— *Od razu nas wprowadza* (12/218).

— *Taka cisza, jaka cisza we mnie?* (12/218).

LAWRENCE D. H.: *Dajcie nam bogów* (5/211), przeł. Jan Darowski.

— *Jaki wstrętny ten burzuj jest* (5/211), przeł. Jan Darowski.

— *Kolibr* (5/211), przeł. Jan Darowski.

MIĄZEK Bonifacy: *Eschatologia* (12/218).

— *Jesień* (12/218).

— *List do Hebrajczyków* (12/218).

— *Moje mieszkanie* (12/218).

— *Rysunek brzozy* (12/218).

— *Spacer po cmentarzu* (12/218).

LESZCZA Jan: *Ten ruch morza jest wszędzie obecny* (9/215).

MIŁOSZ Czesław: *Antypody* (5/211).

— *Dytyramb* (5/211).

— *Po drugiej stronie* (5/211).

— *Sentencja* (5/211).

OSEROVICIUS Hirsas: *Bezsilność* (3/209), przeł. V. Vasaris.

— *Miód poznania* (3/209), przeł. V. Vasaris.

— *Najważniejsze* (3/209), przeł. V. Vasaris.

— *Paradoks* (3/209), przeł. V. Vasaris.

— *Pokolenia* (3/209), przeł. V. Vasaris.

— *Po wyzwoleniu* (3/209), przeł. V. Vasaris.

— *Radość i smutek* (3/209), przeł. V. Vasaris.

— *Zaczarowane koło* (3/209), przeł. V. Vasaris.

VASARIS V. (tłumacz) ob. Oserovicus Hirsas.

WIENIEWSKI Ignacy: *Pseudo-Homera bój żabomysi* (4/210).

WIERZYŃSKI Kazimierz: *Akwedukt* (9/215).

- *Dialog przy fajce* (5/211).
- *Dyrygent* (5/211).
- *Fiera della fragola* (9/215).
- *Gniew* (5/211).
- *Hannibal ante portas* (9/215).
- *Imiona* (5/211).
- *Italienische Reise* (9/215).
- *Końskie kolana* (5/211).
- *Quai d'Anjou* (6/212).
- *Rozmowa z zawiadowcą stacji* (9/215).

YEATS William Butler: *Wielkanoc 1916 r.* (10/216), przeł. Adam Czerniawski.

Najnowsza Historia Polski

- GOSTKOWSKI Stanisław: *Week-end* (3/209).
- MACKIEWICZ Józef: *Władysław Studnicki* (12/218).
- Pamiętniki amb. Majskiego* (3/209).
- ŚWIĘCICKI Tadeusz: *Z kronik Buchenwaldu* (6/212).

Sprawy krajowe

- CERIZAY de Gaston: *Adwokatura po roku* (7/213-8/214).
- *Klasa najbardziej niezadowolona* (3/209).
 - *Konwencja międzynarodowa* (3/209).
 - *Literaci warszawscy a prorosyjskość doktryny Hallsteina* (6/212).
 - *Podziemie gospodarcze* (9/215).
 - *Trzy zagadki sprawy Wańkowicza* (1/207-2/208).
- Głos z Kraju* (10/216).
- HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (3/209, 4/210, 5/211, 6/212, 7/213-8/214).
- JEDLICKI Witold: *Mały Kodeks Karny* (9/215).
- KOTWICZ Piotr: *Pokolenie Polski Ludowej* (9/215).
- KROŃSKI Jerzy (tłumacz), ob. Zbinden Hans.
List od przyjaciół (3/209).
- MIEDZIŃSKA Janina: *Bezrobocie w Polsce* (9/215).
- ZAPOROWSKI Bogdan: *Młoda inteligencja Polski i jej stosunek do Zachodu* (7/213-8/214).
- ZBINDEN Hans: *Polska szuka drogi na Zachód* (10/216), przeł. Jerzy Kroński.

Sąsiedzi

- DRYMMER Wiktor Tomir: *Trust* (11/217).
 DZIEWANOWSKI M.K.: *Pamiętniki gen. Szandruka* (6/212).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Szandruk Paweł.
 OBSERWATOR: *Historycy sowieccy* (5/211).
 SZANDRUK Paweł: *Historyczna prawda o Ukraińskiej Armii Narodowej* (6/212), przeł. Józef Łobodowski.
 VINCENZ Andrzej: *Nowa literatura na Ukrainie* (5/211).
Za co gen. Szandruk dostał Virtuti Militari (6/212).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BRODZIŃSKI Bohdan: *Książki ekonomiczne* (7/213-8/214).
 BORWICZ Michał: „Medal” im. Ossietzky'ego (11/217).
 CHCIUK Andrzej: *Dzielnica Szwarckopów* (3/209).
 CHMIELOWIEC Michał: *Krotochwilna egzegeza* (5/211).
 CZAPSKA Maria: *Bestseller 1900 r. we Francji* (11/217).
 — „Zakłete lata” (6/212).
 — „Z matki obcej...” (4/210).
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Korboński na emigracji* (7/213-8/214).
 — *Współczesna myśl polityczna* (5/211).
 CZERNIAWSKI Adam: *Filozofia dla wszystkich* (3/209).
 — *Poeta sam* (4/210).
 DANILEWICZOWA Maria: *Słownik pisarzy polskich* (4/210).
 HOSTOWIEC Paweł: *Antyczny szlak Wieniewskiego* (1/207-2/208).
 IWANIUK Wacław: „Madonny” o. Chabrowskiego (3/209).
 JAKSIŃSKI Józef Piotr: „Monogramy” (4/210).
 — *Nowy tom Iwaniuka* (7/213-8/214).
 KIRKOFF Milica D.: *Dwie antologie poezji polskiej w Jugosławii* (9/215).
Krytycy amerykańscy o Antologii Miłosza (7/213-8/214).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Pochylony nad „Pamiętnikiem Kijowskim”* (7/213-8/214).
 MARKIEWICZ Zygmunt: *Poeci poetom* (9/215).
 — *Polscy przyjaciele Szewczenki* (11/217).
 (m.l.d.): *W oczach Londynu* (3/209).
 MŁOTEK Mieczysław: „Opowiadania starego kaprała” (9/215).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: „Drum-Majorette” Alicja (12/218).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/207-2/208, 3/209, 4/210, 5/211, 6/212, 7/213-8/214, 9/215, 10/216, 12/218).

- NOWACKI Tadeusz: *Osiemdziesięciolecie prof. Kukiela* (10/216).
 SIEMASZKO Z.S.: *List de Jana Huszczy* (5/211).
 ŚMIEJA Florian: *Nowe przekłady z hiszpańskiego* (1/207-2/208).
 TERLECKI Tymon: *Żeromski i echa społeczne* (10/216).
 WITTLIN Józef: *Dar intelektu* (1/207-2/208).
 WROŃSKI Henryk: *Prof. Lipiński a polska myśl ekonomiczna* (4/210).
Wydawnictwa Biblioteki „Kultury” (6/211, 7/213-8/214).
 ZBYSZEWSKI W.A.: *„Europa in flagranti” St. Mackiewicza* (12/218).
 ZDZIECHOWSKI Paweł: *Taksówkarz, laureat i pisarz amerykański* (3/209).

Kronika kulturalna

- Alfons Bronarski* (6/212).
 BOHUSZ-SZYSZKO Marian: *Malarstwo Mariana Kościółkowskiego* (1/207-2/208).
 BOROWSKI Stefan: *Refleksje śląsko-mazowieckie* (7/213-8/214).
 BRODZIŃSKI Bohdan: *Raport o stanie kultury polskiej w Londynie* (3/209).
 CIECHANOWIECKA Ludwika: *Garść wspomnień o jubileacie Strzetelskim* (7/213-8/214).
 CLAIR-SOBELL J. St.: *Przyjaciele studiów słowiańskich* (4/210).
 CZAJKOWSKA Magdalena: *Rozmowa z A. Czerniawskim* (11/217).
 CZAPSKA Maria: *Florian Czarnyszewicz* (1/207-2/208).
 CZERNIAWSKI Adam: *Uwagi o krytyce literackiej* (12/218).
 DANILEWICZOWA Maria: *Toast niespełniony* (10/216, 12/218).
 HEYDENKORN Benedykt: *Zofia Bohdanowiczowa* (12/218).
 JORDAN Zbigniew A.: *Zarysy systematyzacji nauk społecznych* (6/212).
Katedra literatury polskiej w Chicago (11/217).
 LANGNAS I.A.: *Maszyna do pisania — jok* (7/213-8/214).
 LENARTOWICZ Teofil: *Listy do oo. Zmartwychwstańców* (11/217).
Maria Dąbrowska (6/212).
Maria Kosko (6/212).
 (m.l.d.): *W oczach Londynu* (4/210, 5/211).
 PONIATOWSKI Józef: *Stanisław Gryziewicz* (9/215).
 PIEKUT Stanisław: *Listy T. Lenartowicza do oo. Zmartwychwstańców* (11/217).

REWUCKI Walerian: *Motywy polskie w twórczości M. Rylskiego* (9/215).

Stanisław Lam (6/212).

SZCZEPAŃSKI Jan: *Malewski* (6/212).

T. Ś.: *Aleksander Kawałkowski* (9/215).

TURKIEWICZ Zygmunt: *Wystawy londyńskie* (4/210).

WANDYCZ Damian: *Jan Wszelaki* (9/215).

ŻUŁAWSKI Marek: *Zbiory Peggy Guggenheim* (3/209).

Komunikaty

Doktorat A. Vincenza (7/213-8/214).

Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego (9/215).

Jubileusz ks. Michalskiego (4/210).

Jubileusz Stanisława Strzetelskiego (4/210).

Jubileusz W. Zbierzchowskiej-Frydrych (5/211).

Nagroda Fundacji im. A. Jurzykowskiego (3/209, 11/217).

Nagroda dla Zofii Bohdanowiczowej (4/210).

Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1/207-2/208).

Nagrody literacka i plastyczna „Kultury” za r. 1964 (1/207-2/208).

Nagrody literackie (6/212).

Nagrody Roy Publishers Inc. (1/207-2/208).

Polska Biblioteka Uniwersytecka w Australii (6/212).

Polskie sukcesy w Monaco (6/212).

Polski Instytut Naukowy w Ameryce (6/212).

Pomoc dla studentów KUL'u (7/213-8/214).

Przyjaźń polsko-szwajcarska (11/217).

Rozstrzygnięcie konkursu im. Cz. Straszewicza (3/209).

Rozstrzygnięcie konkursu im. Z. Nowakowskiego (3/209).

Stypendia „Polonia Technica” (4/210).

Świadkowie historii (płyty Polskiej Sekcji radia Free Europe) (10/216).

Wieczór Marka Gordona w Chicago (1/207-2/208).

Witold Gombrowicz (6/212).

Sprawy i troski

BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Mickiewicz w Kanadzie* (9/215).

GRONOWSKI Roman: *Cienie nad Australią* (4/210).

HEYDENKORN Benedykt: *Problematyka słowiańska w Kanadzie* (11/217).

KUSS Witold, sen.: *Polacy w Argentynie* (1/207-2/208, 3/209, 5/211).

- (m.l.d.): *W oczach Londynu* (7/213-8/214, 11/217).
Polemiki australijskie (3/209).
 SIEMASZKO Z.S.: *I beg to differ* (12/218).
 SZWEJS Stanisław: *Sprawa kolonizatory* (10/216).

O religii bez namaszczenia

- Ankieta „Kultury”* (7/213-8/214).
 CHMIELOWIEC Michał: *Bez iskry Bożej* (12/218).
 — *Bomby, prezerwatywy i żonaci księży* (3/209).
 — *Katolicyzm postępowy?* (6/212).
 — *Nie ma zbawienia poza prawdą* (12/218).
 RUSZKOWSKI Andrzej: *Trzecia Sesja Soboru* (4/210).

Wolna trybuna

- CHILECKI Andrzej J.: *Ewolucja w kierunku dyktatury oświeconej* (5/211).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- BELL Daniel: *Nowoczesność i społeczeństwo masowe* (5/211, przeł. Paweł Zdziechowski).
 BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Droga do przyszłej Europy* (4/210).
 JONES Jack: *Nowa koncepcja ideologii pomarksistowskiej* (dok.) (1/207-2/208), przeł. Maria Danilewiczowa.
 LAWRENCE D.H.: *Dajcie nam bogów* (5/211), przeł. Jan Darowski.
 — *Jaki wstrętny ten burżuj jest* (5/211), przeł. Jan Darowski.
 — *Kolibr* (5/211), przeł. Jan Darowski.
 YEATS William Butler: *Wielkanoc 1916 r.* (10/216), przeł. Adam Czerniawski.

Z języka litewskiego

- OSEROVICIUS Hirsas: *Bezsilność* (3/209), przeł. V. Vasaris.
 — *Miód poznania* (3/209), przeł. V. Vasaris.
 — *Najważniejsze* (3/209), przeł.
 — *Paradoks* (3/209), przeł. V. Vasaris.
 — *Pokolenia* (3/209), przeł. V. Vasaris.

- *Po wyzwoleniu* (3/209), przeł. V. Vasaris.
- *Radość i smutek* (3/209), przeł. V. Vasaris.
- *Zaczarowane koło* (3/209), przeł. V. Vasaris.

Z języka niemieckiego

ZBINDEN Hans: *Polska szuka drogi na Zachód* (10/216), przeł. Jerzy Kroński.

Z języka rosyjskiego

BRODSKIJ Josif: *Do Archangielska...* (7/213-8/214), przeł. Józef Łobodowski.

- *Na ogrodowy parkan* (7/213-8/214), przeł. Józef Łobodowski.
- *Objąłem te ramiona* (7/213-8/214), przeł. Józef Łobodowski.
- *Obóz* (7/213-8/214), przeł. Józef Łobodowski.
- *Ogrodnik wylazł niby drożd...* (7/213-8/214), przeł. Józef Łobodowski.
- *Okna* (1/207-2/208), przeł. Józef Łobodowski.
- *Palono w piecu* (1/207-2/208), przeł. Józef Łobodowski.
- *Wielka elegia na Johna Donne* (3/209), przeł. Józef Łobodowski.
- *Ze smutkiem i czułością* (1/207-2/208), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka serbo-chorwackiego

MIHAJLOV Mihajlo: *Martwy dom Dostojewskiego i Sołżenicyna* (9/215), przeł. Tadeusz i Radmiła Lisiccy.

Z języka ukraińskiego

SZANDRUK Paweł: *Historyczna prawda o Ukraińskiej Armii Narodowej* (6/212), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka węgierskiego

DERY Tibor: *Synowa* (6/212).

Bibliografie

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1965 (12/218).

Noty biograficzne

MAURER Jadwiga (7/213-8/214).
 MIHAJLOV Mihajlo (9/215).

REWUCKI Walerian (9/215).
 RUSZKOWSKI Andrzej (4/210).
 SOKOŁOWSKI Ryszard (11/217).
 WRONSKI Henryk (4/210).
 ZAPOROWSKI Bogdan (7/213-8/214).
 ZBINDEN Hans (10/216).

Listy do Redakcji

AKUŁA K. (6/212), ANDRZEJEWSKI T. (12/218), BERNAUT Elsa K. (12/218), BORWICZ Michał (1/207-2/208), BUCZEWSKI Zenon (9/215), CIAŚ Witold W. (10/216), CIMACHOWICZ-POPIEL Zofia (7/213-8/214), CIOŁKOSZOWA Lidia (11/217), CYBA Henryk (4/210), CZERNIAWSKI E.J. (7/213-8/214), DEUTSCHLAND-FUNK (Viehöver, Prissok) (3/209), DŁUGOSZEWSKI E. (7/213-8/214), DOBEK Czesław (3/209, 4/210), DUTKIEWICZ H. (5/211), ERDMAN Marta (1/207-2/208), GASIŃSKI Tadeusz Z. (12/218), GIEŁGUD Jan (6/212), GIERTYCH Jędrzej (9/215), GINTER Maria (7/213-8/214), GOLDSCHLAG Ferdynand (12/218), GÓRSKI Kazimierz (10/216), GRABOWSKI Zbigniew (11/217, 12/218), HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (7/213-8/214), IWAŃCZAK Mieczysław (1/207-2/208), JACEWICZ A. (6/212), JASIŃSKI Zbigniew (6/212), JENNE Beniamin J. (4/210), KARAJEWICZ Mustafa (11/217), KATELBACH Tadeusz (6/212), KINASTOWSKI W. (7/213-8/214), KOMAR Henryk Zygmunt (6/212, 12/218), KOMARNICKI Tytus (1/207-2/208, 4/210), KONARZEWSKI JERZY (12/218), KRÓTKI Karol (9/215), KUKIEL Marian (12/218), KUSS Witold, sen. (7/213-8/214), LASSOTA H. (10/216), LEDÓCHOWSKI Włodzimierz (5/211), LINDNEROWA Jadwiga (11/217), LUCZYSZYN Iwan (6/212), ŁOBODOWSKI Józef (7/213-8/214), MACKIEWICZ Józef (6/212), MARCINKOWSKI W.M. (9/215), MIECZKOWSKI B. (7/213-8/214), NOCH Henryk (11/217), NOWAK Jan (4/210), OBERLEITNER J. (11/217), PAPROCKI Stanisław J. (9/215), PAWLIKOWSKI Michał K. (3/209), POGONOWSKI Iwo C. (9/215), PONIATOWSKI Józef (9/215), PRAWDZIWY KOMUNISTA (11/217), REDAKCJA (4/210), REDAKTOR (9/215), ROKICKI T. (1/207-2/208), ROS-TWOROWSKI Jan (3/209, 4/210), RUDZIŃSKI Aleksander W. (6/212), SCHEURING Zofia (4/210), SŁOWACKI Juliusz (12/218), SŁOWIKOWSKA Irena (9/215), SOKOŁOWSKI Jan O. (12/218), SUKIENNICKI Wiktor (3/209), SZANDRUK Paweł (9/215), SZARLAK Bogdan (4/210), ŚMIEJA Florian (3/209), TERLECKI Tymon (10/216), TOREN R. (12/218), TYMIŃSKI A. (11/217), ULATOWSKI Jan (5/211, 12/218), WIENIEWSKI Ignacy (5/211), WIĘCKOWSKI M. (4/210), W.N. (9/215), WRÓBLEWSKA Wanda (4/210), ZAGÓRSKI Wacław (3/209), ZBYSZEWSKI W.A. (9/215), ZUBRZYCKI Jerzy (7/213-8/214), ŻELEŃSKI Władysław (11/218), ŻOCHOWSKI Stanisław (7/213-8/214, 9/215).

Różne

Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/207-2/208, 3/209, 4/210, 5/211, 6/212, 7/213-8/214, 9/215, 10/216, 11/217, 12/218).
Zbiórka na nagrobek dla A.M. Swinarskiego (6/212).

Wydawnictwa książkowe w roku 1965

Biblioteka „Kultury”

- Tom XCIX*** : Witos Wincenty: *Moje Wspomnienia*, tom III, str. 528.
Tom CVII: Abram Terc: *Myśli niespodziewane*, str. 94.
Tom CVIII: *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7), str. 240.
Tom CIX: Iwaniuk Wacław: *Wybór wierszy*, str. 108.
Tom CX: Pawlikowski Michał K.: *Wojna i sezon*, str. 308.
Tom CXI: Herling-Grudziński Gustaw: *Inny świat*, str. 256.
Tom CXII: Gombrowicz Witold: *Kosmos*, str. 144.
Tom CXIII: Lewickij Borys: *Terror i rewolucja*, str. 288.
Tom CXIV: Vincenz Stanisław: *Po stronie pamięci*, str. 256.
Tom CXV: Mostwin Danuta: *Olivia*, str. 288.
Tom CXVI: Miłosz Czesław: *Gucio zaczarowany*, str. 56.
Tom CXVII: *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8), str. 240.
Tom CXVIII: Pietrkiewicz Jerzy: *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*, str. 200.
Tom CXIX: Grzędziński January: *Maj 1926*, str. 109.
Tom CXX: Arżak Mikołaj: *Odkupienie i inne opowiadania*, str. 128.
Tom CXXI: Koestler Arthur: *Fragmenty wspomnień*, str. 240.
Tom CXXII: Garder Michel: *Agonia reżymu w ZSSR*.

210-ty zeszyt „Kultury” (kwiecień 1965) zawierał str. 176 zamiast jak zwykle 160.

© Copyright by Institut Littéraire, 1965.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal 4^e trimestre 1965.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliothek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél.: 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanisław Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407. S. L. Lemanski, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubiński, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziwanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 11849 Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107 Ch. M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 101, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CXIX - Seria „Dokumenty”

JANUARY GRZĘDZIŃSKI

MAJ 1926

Wspomnienia o zamachu majowym, spisane przez jego aktywnego uczestnika, które rzucają nowe światło na te wypadki prostując nieścisłości i częste zafałszowania współczesnych historyków P.R.L.

Płk January Grzędziński jest jedną z reprezentatywnych postaci środowiska pisarskiego w kraju, które mimo represji i szykan walczy o wolność słowa, nawrót do praworządności (walka z Małym Kondeksem Karnym) i nie skrepowaną wymianę kulturalną Polski ze światem.

Str. 112

Cena 9 F (dol. 2,00 ; 13/-)



TOM CXX

MIKOŁAJ ARŻAK

ODKUPIENIE

I INNE OPOWIADANIA

Zbiór opowiadań sowieckiego pisarza, którego arbitralne aresztowanie jest od szeregu tygodni światowym skandalem.

Opowiadania te były drukowane w „Kulturze” na przestrzeni ostatnich lat.

Str.128

Cena 9 F (dol. 2,00 ; 13/6).